

Paweł Dybicz
Gloryfikacja „wykletych”.
Polacy przeciw Polakom**Eliza Sarnacka-Mahoney**
Trump królem?**Prof. Henryk Skarżyński**
Dzielimy się wiedzą**„Sprawiedliwe sądy”,
czyli kijem w sędziów**

UKRAINA NA KRAWĘDZI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311508

PATRONAT HONOROWY



MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA WARMIŃSKO-MAZURSKIEGO
Marcin Kuchciński



Patronat Honorowy
Michał Missan
Prezydent Elbląga



CENTRUM SPOTKAŃ
EUROPEJSKICH
ŚWIATOWID W ELBLĄGU



Instytucja
Samorządu Województwa
Warmińsko-Mazurskiego



XXVII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL Sztuki Słowa

„...czy to jest kochanie?”

20.03.2025

godz. 19:00

Duża Sala Kina Światowid
cena biletu: 60zł

**Koncert
zespołu PLATEAU
"Projekt Grechuta"**

22.03.2025

godz. 10:00-14:00

Scena na piętrze
wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii recytacja**

godz. 16:00-20:00

Galeria Nobilis
wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii piosenka poetycka**

23.03.2025

godz. 17:00

Duża Sala Kina Światowid
cena biletu: 130 zł

**Koncert Galowy
Koncert Laureatów
XXVII edycji OFSS**

„...czy to jest kochanie?”

oraz

**Koncert "Po miłości kres"
w wykonaniu Artura Żmijewskiego
z zespołem**

Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu, Plac K. Jagiellończyka 1, 82-300 Elbląg
tel. 55 611 20 50, fax 55 611 20 60 email: info@swiatowid.elblag.pl www.swiatowid.elblag.pl

Sponsorzy:



BRANIEWSKO-PASŁĘCO
BANKI SPÓŁDZIELCZY
Z SIEDZIBĄ W PASŁĘCU



Patronat medialny:



Zastrzegamy sobie możliwość zmian w programie. Aktualne informacje na stronie www.swiatowid.elblag.pl lub pod numerem telefonu 55 611 20 59



Pod Twoją obronę

Mamy czas chaosu i to się pogłębia. Niektórzy próbują tę sytuację racjonalizować, że oto stary świat odchodzi i przychodzi nowy, że mija epoka liberalnej demokracji, nudnej, ale przewidywalnej, a światem będzie teraz rządzić grupa autokratów, szefów największych państw. I że musimy się z tym pogodzić.

Owszem, w tym kierunku zmierza świat, w tym kierunku pcha Amerykę Donald Trump, ale czy to mu się uda, jak to się skończy – tego przecież nie wie nikt. Na razie widzimy szamocącego się prezydenta USA, który co godzinę ogłasza coś innego: to podejmuje decyzje, to się z nich wycofuje.

Wrogiem USA stała się Kanada. A w zasadzie nie wrogiem, tylko sąsiadem, którego Stany Zjednoczone chcą anektować.

Wrogiem numer 2 stała się Unia Europejska. „Ona powstała, by nas d...”, mówią trumpiści. I to wystarcza, by ją zwalczać. Jestem dziwnie pewien, że cokolwiek Europa by zrobiła, to dla Trumpa będzie źle. Atakował ją, że za mało wydaje na obronność. Teraz, po brukselskim szczycie, Europa zobowiązała się do większych wydatków. Czekam więc, kiedy Trump zacznie ją atakować, że chce wojny, a nie pokoju...

Wróg numer 3... Jeszcze nie tak dawno prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski był fetowany w Kongresie. Dziś prezydent USA mówi o nim „dyktator”, poniża go, obarcza winą za wojnę, wycofuje pomoc. Za to Władimir

Putin awansował do roli człowieka, któremu amerykański prezydent ufa. I z którym już współpracuje – Rosja ma pośredniczyć w rozmowach z Iranem na temat jego programu atomowego. Czyli jest wciągnięta w sprawy Izraela i Bliskiego Wschodu. Jest partnerem.

Ameryka dokonuje kolejnego zwrotu w swojej historii, porzucając dotychczasowych sojuszników. Mocarstwa tak mają. W tym stuleciu Amerykanie porzucili rząd w Afganistanie, porzucili Kurdów, porzucili demokratyczne grupy w Syrii i Libii. Łatwo to im przychodzi.

Czy potrafimy z tego wyciągać wnioski? „Tylko Trump może coś wymusić na Rosji!”, woła Andrzej Duda i przekonuje, że dobry Trump nigdy nas nie przehandluje. Jest to wiara w rodzaju modlitw z przydrożnych kapliczek: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...”.

Duda i wielka część polskiej prawicy wierzą, że służalczością, pokornością dobiją się pańskiej łaski i prezydent USA weźmie nas w swoją opiekę. Łączy się to z jeszcze jednym przekonaniem – że Polska może być Trumpowym koniem trojańskim, który rozwałać będzie Unię Europejską. Będzie więc sługą i uniżonym, i pożytecznym...

Polska dzieli się na naszych oczach na tych, których Trumpowski reset niepokoi, a niektórych nawet przeraża, i na tych, którzy w Trumpa wierzą. Tworzy się nowy podział. Ważny, bo dotyczy i egzystencji narodu, i wizji jego przyszłości. On już dzieli. Kości zostały rzucone.

BAKOWSKI



ARCHIWUM PRZEGLĄDU



Twoje okno do historii
tygodnikprzeglad.pl

CZYTAJ I ODKRYWAJ

**Ponad 1000 tekstów
najwybitniejszych autorów**



NUMER 20/2017

**„Zbrodni nie wolno przemilczać”
August Grabski**

KRAJ

- 8 Polacy przeciw Polakom**
Kult „wyklętych” nasila podziały
- 10 Nie zdajemy sobie sprawy ze skali katastrofy Ukrainy**
– rozmowa z prof. Rafałem Chwedorukiem
- 14 Złodziejstwo i szczucie pod auspicjami rządu PiS**
Sprawiedliwość za „Sprawiedliwe sądy”
- 18 Banki spółdzielcze: życie w czekoladzie**
Przestały służyć swoim klientom
- 20 Podatnicy płacą za kształcenie księży**
Zasłanianie się konkordatem
- 32 Potrafimy podzielić się wiedzą**
Po 6. Kongresie „Zdrowie Polaków”
- 51 Sułoszowa – magia pasków i skał**
Widoki, które zachwyciły świat

ZAGRANICA

- 22 Trump królem?**
Korespondencja z USA
- 26 Deklaracja przez pośredników**
Czy Kurdowie zaprzestaną walki z Turcją?
- 54 Kryzys mieszkalnictwa w Hiszpanii**
Obcokrajowcy windują ceny

HISTORIA

- 28 Od hrabiego po księdza**
Kto napisał w PRL akademickie podręczniki do historii

SPORT

- 36 Świetny sezon Atlético Madryt**
Boiskowi awanturnicy trzecią siłą

KULTURA

- 38 Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy**
– rozmowa z Moniką Majorek
- 41 Kulturalia**
- 42 Boskość abstrakcji**
Malarstwo Aleksieja Jawlenskigo
- 66 97. Aukcja Nowej Sztuki**

NAUKA

- 44 Ardi schodzi z drzewa**
Haluksy spuścizną po praprzodkini

PSYCHOLOGIA

- 48 Bez śladów na ciele**
– rozmowa z Urszulą Struzikowską-Marynicz

TECHNOLOGIE

- 56 Sztuczna inteligencja a etyka**
Moralność AI kształtujemy my

ZWIERZĘTA

- 59 „Cesarz” na lodzie**
Jak pingwiny przystosowały się do zimna

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Pod Twoją obronę
- 17 Jan Widacki**
Bójcie się obcych?
- 31 Roman Kurkiewicz**
Trumpolityka
- 35 Tomasz Jastrun**
Gęsty czas
- 47 Wojciech Kuczok**
Pan Tupecik i wieczność



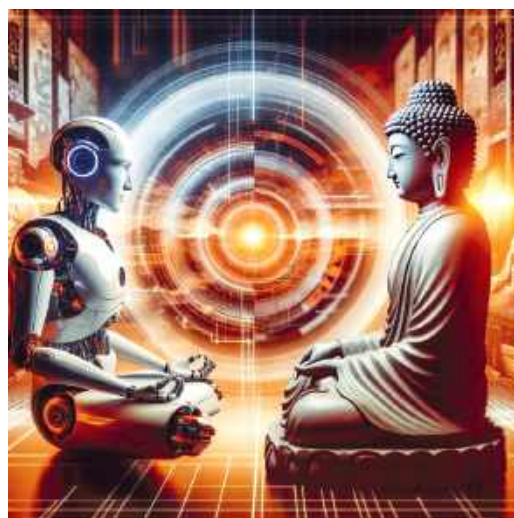
26
ZAGRANICA

DEKLARACJA PRZEZ POŚREDNIKÓW

Czy Kurdowie zaprzestaną walki z Turcją?

56
TECHNOLOGIE

SZTUCZNA INTELIGENCJA A ETYKA
Moralność AI kształtujemy my



59
ZWIERZĘTA

„CESARZ” NA LODZIE

Jak pingwiny przystosowały się do zimna

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl e30352c13b





f Klient płaci za wszystko

Oczywiste jest, że banki, tak jak towarzystwa ubezpieczeniowe, są piramidami finansowymi, tyle że lepiej regulowanymi (obowiązkowe rezerwy, wskaźniki WIBOR itd.), żeby nie zbankrutowały jak Amber Gold. Owszem, taka instytucja jest konieczna, aby cywilizacja funkcjonowała. Ale czy nie wystarczyłby jeden bank? Przecież banki nie wytwarzają wartości dodatkowej, tylko funkcjonują w jej wtórnym podziale i zyski (bajeczne) są pochodną zysków przemysłu (ponieważ źródłem zysku jest wartość dodatkowa wytworzona przez robotników). Ach, marzenie ściętej głowy, bo nikt na lewicy nie myśli o zmianie sposobu produkcji z kapitalistycznego na socjalistyczny.

Artur Kozłowski

f Co nam szkodzi Trump?



„My” zgadzamy się na zbrojenia to za dużo powiedziane – ja się nie zgadzam na rozwijanie przemysłu zbrojeniowego, zgadzam się z Czechowem i nie chcę, żeby strzelba z pierwszego aktu brała udział w naszym „teatrze”. Nagromadzenie broni nie jest żadną gwarancją bezpieczeństwa! Przeciwnie, im jej więcej, tym bliżej wojny. Bezpieczeństwo to zdrowe, wykształcone, sprawne fizycznie społeczeństwo, rozwinięta nauka, mądra młodzież, czyste powietrze i woda – i można tu dodać, co komu jeszcze przyjdzie na myśl. Nie broń! Kto wreszcie zacznie mówić

o rozbrojeniu i pokoju – czy są już u nas tacy bohaterowie? Kiedyś byli. W wywiadzie skrupulatnie wymieniono „wrogów” Europy: Rosję, Chiny, Iran, Koreę Północną – to są potencjalni przeciwnicy USA, nie Europy.

Ewa Wesołowska

f Kochali USA, bo dostawali pieniądze

Można być naiwnym i wierzyć, że utrzymankowie USAID czy funduszy filantropa Sorosa w zamian za żołd wypłacany im w formie rozmaitych grantów realizowali szlachetne cele, zgodne z interesem swoich krajów. Jednak ten, kto wyciąga lepkie łapki po pieniądze od zagranicznych instytucji, powinien mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, by robić to jawnie. Tymczasem często ci sami, którzy z potwornym jazgotem tropili dwojące się im i trójące w oczach „ruskie onuce” i rubelki z Kremla, byli futrowani dolarkami z Waszyngtonu (tylko towarzystwo z „Krytyki Politycznej” przytuliło w parę lat 5 mln dol. – można pożyczyć!). Pewnie nawet byśmy się o tym nie dowiedzieli, kiedy odcięte od korytka sierotki nie zaczęły skomleć wniebogłose, gdy widmo wzięcia się do jakiejś uczciwej pracy zajrzało im w oczy. (...)

Roland Wagner



ZDJĘCIE TYGODNIA



Start rakiety SpaceX Starship z bazy kosmicznej w Boca Chica w Teksasie, 6 marca 2025 r. Podczas ósmego lotu testowego, tak jak przy poprzedniej próbie, doszło do eksplozji statku kosmicznego.

Gdy Zjednoczona Prawica zaczęła rządzić w 2015 r., **zadłużenie państwa było na poziomie 924 mld zł**, a gdy kończyła w 2023 r., **sięgało 1,7 bln.** W 2024 r. **przekroczyło 2 bln i rośnie o ponad miliard dziennie.**

Zmarł **Janusz Roszkowski** (96 lat). Wybitna postać polskich mediów. Redaktor naczelny i prezes Polskiej Agencji Prasowej (1972-1986), przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji (1986-1989). Świetny znawca problematyki niemieckiej i historii II wojny światowej. Miłośnik książek i dobrej kultury. Współpracował z naszym tygodnikiem. Zostawił po sobie dobrą pamięć.

Były komendant główny policji Zbigniew M. został aresztowany na trzy miesiące. Jest podejrzany o przestępstwa skarbowe i gospodarcze oraz utrudnianie śledztw.

Za sprawę Collegium Humanum został odwołany komendant główny Państwowej Straży Pożarnej nadbrygadier Mariusz Feltynowski. Jego miejsce zajął nadbrygadier Wojciech Kruczek, komendant wojewódzki PSP na Śląsku.

Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski w rządzie znany jest głównie z licznych konferencji prasowych, po których niewiele się zmienia. Pochwalił się sukcesami na Ukrainie. **Polska zamówiła kolejne 5 tys. zestawów Starlink.** Według Gawkowskiego „Polska utrzymuje internet na Ukrainie. Starlinki zapewniają internet, bezpieczeństwo w obszarze cywilnym i wojskowym. Dzięki temu front się trzyma”.

W Polsce jest już **ponad 67 tys. osób, których**

majątek wynosi przynajmniej 1 mln dol.

433 tys. osób pobierało w 2024 r. emeryturę niższą od minimalnej, czyli od 1780,96 zł.

Renata Kim z „Newsweeka” została **laureatką Nagrody im. Andrzeja Woyciechowskiego przyznawanej przez Radio Zet.** Kapituła nagrodziła ją za cykl materiałów śledczych dotyczących Collegium Humanum.

Najstarsza szkoła w Polsce, czyli Liceum Ogólnokształcące im. Marszałka Stanisława Małachowskiego w Płocku, **ma 845 lat.** Powstała w 1180 r. jako fundacja Dobiechny, wdowy po Wojstawie, opiekunie Bolesława Krzywoustego.

Dwie trzecie dzieci w wieku 7-12 lat, czyli 1,6 mln, aktywnie korzysta z internetu i ma stały kontakt z komunikatorami i serwisami społecznościowymi. Najpopularniejszy jest **TikTok, z którego korzysta 760 tys. dzieci** z tej grupy. Z Facebooka korzysta 580 tys. dzieci w wieku poniżej 13 lat, a z Messengera 900 tys. dzieci.

Ponad 10 mld zł rocznie wydają Polacy prywatnie na zabiegi rehabilitacyjne. Do tego dochodzą 2 mld zł z NFZ. Usługi pacjentom świadczy **160 tys. fizjoterapeutów i rehabilitantów.**

10,7 tys. chińskich samochodów kupili Polacy w 2024 r. 86% to samochody z silnikiem benzynowym.

W latach 2003-2023 spadło pogłowie zwierząt gospodarskich w Unii Europejskiej. Najbardziej zredukowane zostały stada owiec i kóz – o ok. 22%, natomiast bydła o 9%.

PRZEBŁYSKI

Komicji od Czarzastego

Wyborcy opuścili lewicę ze stemplem Czarzastego. Tę spod innych chorągiewek też. Łatwiej zrozumieć ich frustrację, gdy się czyta też sfrustrowanego Dariusza Cychola. Szef „Faktów po Mitach” przypomina popularny przed trzema laty filmik z Anną Marią Żukowską przekonującą, że mężczyzna może urodzić dziecko, bo przecież może mieć macicę. I Katarzynę Kotulę, ministrem ds. równości. „Kiedy wyszły na jaw rozbieżności z jej deklarowanym i faktycznym wykształceniem, okazało się, że jest osobą magisterską uwięzioną w ciele osoby licencjackiej”. Cychol nawiązał także do plotek o dymisji Andrzeja Szejny. Oficjalnie za nastrzelane kilometrówki, a nieoficjalnie za... niechęć do trzeźwej oceny rzeczywistości.



Z dachu do aresztu

Na drugie powinien mieć Afera. Poseł PiS Dariusz Matecki może oglądać obrady Sejmu w świetlicy więziennej. Ma tyle zarzutów, że grozi mu 10 lat odsiadki. Uważa się za wielkiego spryciarza, ale jest tylko beczelnym aferzystą. Jako człowiek Ziobry był bezkarny – już nie jest i bardzo to przeżywa. Wylazi w nocy na dach Sejmu, konkuruje z hejterami na najgłupsze wypowiedzi.

Czuł, że pętla się zaciska. W komunikatorze Signal był członkiem tajnej „Grupy Wejście”. Z aferzystami z Funduszu Sprawiedliwości ustalał, co w tej sprawie robią organy ścigania. Ale kasę z łapówek brał jawnie. W kopertach.



Plastikowa szabelka Potockiego

Samozwańczy ekspert wojenny Andrzej Rafał Potocki zarobił w tygodniku „Sieci” kupę kasy na tasiemcowym serialu o wielkich sukcesach Ukraińców i klęskach Rosjan. By aż tak się nie kompromitować, Karnowski przesunął pracownego konfabulanta na sam koniec tygodnika. Potocki nie protestował. Kasa ta sama, a myśleć można jeszcze mniej. 3 lutego Potocki wysłał w świat taką myśl: „Prezydent ZELEŃSKI już porzucił swoich dotychczasowych niemieckich przyjaciół i kadzi Trumpowi, że w negocjacjach z Rosją Europa jest niepotrzebna, wystarczą Stany i Ukraina. Ten facet ma dwie wybitne zdolności. Pierwsza to szybkie zjednywanie sobie przyjaciół, a druga to jeszcze szybsze zrażanie ich do siebie. Jednak tak otwarte olanie ludzi, którym przed chwilą wciskało się bez wazeliny, jest grubo niesmaczne”.

Czytanie felietonów Potockiego jest jednak pożyteczne. Śmiech to zdrowie.



Bujara marzy o niedzielnych kontrolach

W czołówce specjalistów od opowiadania Polakom, czego chcą, jest Alfred Bujara. Aparatczyk Solidarności, który żyje ze zwalczania handlu w niedziele. Oczywiście w trosce o życie rodzinne pracowników. Bujarze udało się zamknąć duże sieci handlowe. A że życie handlowe nie uznaje próżni, pojawiły się pomysły, jak omijać absurdalne przepisy i handlować pod szyldem biblioteki czy poczty. Bujara wie, jak z tym walczyć. Zabiega o rozbudowanie kontroli. W niedzielę nie będą pracować handlowcy, bo Bujara wyśle w kraj tysiące kontrolerów. O życiu rodzinnym kontrolerów Alfred B. nie myśli. Podobnie jak o losie klientów wystających w soboty w długich kolejkach.





PYTANIE TYGODNIA

Co dziś oznacza być Europejczykiem?

WITOLD BERES,

*redaktor naczelny magazynu
„Kraków i Świat”*

Jeszcze do jesieni 2023 r., gdy bandyci napadli na Izrael (który zareagował niewspółmiernie), a nawet 2024 r., gdy Amerykanie wybrali Forresta Trumpa, było OK. Jesteśmy Europejczykami, bo chcemy Unii Europejskiej, która powstała po to, aby uniemożliwić wojnę na kontynencie. Mało tego, współgrała z USA (dzięki wojskom amerykańskim spacyfikowano Niemcy), zacieśniała współpracę z Izraelem, który był forpocztą Zachodu na Bliskim Wschodzie, wciągnęła młodą Europę, a i wypuściła dzina kultury i sukcesu gospodarczego. Mało: próbowała zaszczepić europejskość w swoim największym przeciwniku, Rosji. Dziś wszyscy się przelicytowują, kto był bardziej antyrosyjski, ale ja tam wiem, że gdyby 20 lat temu udało się Moskwę wciągnąć w krąg Zachodu, dziś byłoby inaczej. Lecz mój świat poszedł w diabły jak głosy oddawane na Unię Wolności

– nie ma już ani jednego elementu, który przesądzał o mojej Europie. Dziś prawdziwy Europejczyk musi się szykować do wojny, wszyscy o tym trąbią na lewo i prawo, jakby to była bułka z masłem. A to mnie nie interesuje. Więc już nie wiem, co to znaczy być dzisiaj prawdziwym Europejczykiem.

DR AGNIESZKA KWIATKOWSKA,
socjolożka, politolożka, USWPS

Trzy czwarte Polek i Polaków czuje się Europejczykami, podobny odsetek widzi Unię Europejską jako ostoję stabilności w świecie pełnym niepokoju. Europejskość dziś opiera się głównie na wspólnych wartościach: demokracji i praworządności, ochronie socjalnej obywateli, odpowiedzialności za środowisko i klimat, tolerancji i solidarności. Mimo problemów wewnętrznych Europa pozostaje przestrzenią współistnienia wielu kultur, a bycie Europejczykiem zakłada gotowość do dialogu i myślenia wspólnotowego, bez utraty własnej odrębności.

W świetle obecnego kryzysu konstytucyjnego w Stanach Zjednoczonych europejskość to również współdzielona suwerenność i silne mechanizmy ochrony praworządności, które ograniczają możliwości szybkiego rozmontowywania demokracji na poziomie Unii.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk, komentator życia publicznego

Dziś bycie Europejczykiem oznacza, szczególnie w sposobie myślenia, stanie jak najdalej zarówno od Rosji, jak i od Ameryki. Obecna sytuacja na świecie jest szansą, aby Europa wreszcie zadbała o swoją integralność i zrobiła to solidnie i na serio. Warto zdać sobie sprawę, że teraz Ameryce nie będzie zależało na tym, aby Europa funkcjonowała na swoich zasadach. Dla Ameryki liczy się przede wszystkim jej własny interes. To jednak idealny punkt wyjścia do tego, aby Europa zaczęła myśleć o realizowaniu głównie swoich interesów.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Polacy przeciw Polakom

Gloryfikacja „wyklętych” przez polityków prawicy i IPN znacząco wpływa na podziały w społeczeństwie

Paweł Dybicz

Nie ukrywam, że nie lubię 1 marca, gdy obchodzony jest Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, wprowadzony na mocy ustawy sejmowej z 2011 r. Ze smutkiem, zażenowaniem, a i złością odbieram wytworzony według IPN-owskich propagandówek jednostronny obraz „leśnych”. Oto przeciwko narzuconej komunistycznej władzy i drugiemu okupantowi, tym razem sowieckiemu, kontynuowali walkę niezłomni, prawdziwi bohaterowie.

Słucham tych opowieści i zastanawiam się, kim wobec tego był mój ojciec. Władysław Dybicz, kapral podchorąży, uczestnik wojny polsko-niemieckiej 1939 r., żołnierz Armii Krajowej, aresztowany i wywieziony na początku października 1944 r. do obozu NKWD, daleko poza Moskwę, do Stalinogorska. Choć był dość słabego zdrowia, udało mu się wyjść – dzięki pomocy rosyjskiego felczera – z ciężkiej czerwoni i przeżyć. Gdy wrócił do Polski, nie chciał dalej walczyć, bo, jak mówił, „dosyć naoglądał się krwi, zabitych kolegów”, a do tego



100 tys. ludzi, co nie znaczy, że wszyscy działali w jednym przedziale czasowym. Do lasu poszło jeszcze mniej, w sumie było ich ok. 20 tys., i to też nie w jednym momencie. Jak widać, zbrojny opór przeciw powojennej władzy nie był powszechny. Warto tu przywołać słowa prof. Rafała Wnuka: „Nie jest tak, że opór zbrojny był tym rodzajem walki, który był szczególnie popularny wśród Polaków w tamtym okresie czy też popierany przez jakiekolwiek liczące się siły polityczne lub społeczne”.

Gdy do tego dodamy, że rząd RP w Londynie – nawet ten nieuznawany

i kampanii prezydenckiej. 1 marca na Powązkach Wojskowych Andrzej Duda wręcz wykrzykiwał: „Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli walczyć o Polskę. Ale nie będziemy musieli walczyć tylko wtedy, kiedy będziemy silni. O taką wolną, silną, suwerenną Polskę oni walczyli i za nią zginęli”. Na koniec dodał: „Proszę, byście wybierali polityków, którzy tak uważają”,

mając obok siebie kandydata PiS na prezydenta, Karola Nawrockiego.

Kiedy dwa tygodnie temu ukazał się mój komentarz „Mit »wyklętych«” („Przegląd” nr 9/2025), zareagowali nie tylko nasi czytelnicy.

Warto przytoczyć fragmenty wpisów w mediach społecznościowych. Łukasz Jastrzębski napisał: „Stała się rzecz bardzo zła. »Żołnierze wyklęci« stali się dogmatem. I jako dogmat nie podlegają normalnej ocenie historycznej. Zbiorowo i bezrefleksyjnie umieszczono pod tą nazwą wszystkie. Jak nie podzielasz zdania o ich zbiorowej szlachetności, mądrości i prawości – przestajesz być Polakiem. Nie ma już miejsca na żadne odcienie. Prawda ma być jedna. Dzisiaj jako »żołnierzy wyklętych« wymienia się ludzi niemających z tym nic wspólnego: Waltera-Jankego, Fieldorfa, Pileckiego, Staniszkisa czy Skalskiego. Umieszcza się ich w jednym szeregu np. z Rajsem »Burym«. To nie jest uczciwe. Odrzucam jednocześnie drugą, niemądrą klasyfikację i pisanie o »przeklętych«, i nazywanie całości podziemia poakowskiego bandyckim. Tak oczywiście nie było. Byli przecież również tacy, którzy nie mieli

„Żołnierze wyklęci” stali się dogmatem. I jako dogmat nie podlegają normalnej ocenie historycznej.

uważał, że „lepsza Polska lubelska niż 17. republika”. Zamiast pójść do lasu, stanął na czele liczącej ekipy elektryfikującej tzw. ścianę wschodnią.

Kim był mój ojciec? Pewnie to pytanie zadają sobie miliony synów i córek tych, którzy po wojnie uznali, że naród ma trwać, a nie ginąć, że czas na odbudowę kraju.

W latach 1944-1948 przez podziemie przewinęło się nieco ponad

przez wielkie mocarstwa – i większość przywódców podziemia w kraju nie chcieli dalszej walki, uważali ją za błąd, łatwiej będzie zrozumieć postawę ogromnej większości Polaków. W słuszności tej decyzji utwierdzili ich hierarchowie Kościoła katolickiego, apelując: „Nie strzelajcie do braci”.

W tym roku „żołnierzy wyklętych” wykorzystano w walce politycznej

dokąd wracać. I sam, w latach 90., wielu z nich poznałem: Antoniego Hedę »Szarego« czy Eugeniusza Gutowskiego. Historia polskiego powojnia wkomponowała się w pogmatwane losy narodu polskiego”.

Eugenia Matys wspominała: „Jestem z Podlasia, mam znajomych, których przodkowie zostali zamordowani przez bandę »Burego«. Z dzieciństwa pamiętam strach dziadków, że przyjdą leśni i będą zabijać prawosławnych

w tym AK i innych grup zbrojnych oraz konspiracyjnych. Jednak obraz przedstawiony w tekście »Mit wyklętych« jest nieprawdziwy, bo ogromna większość uczestników podziemia antykomunistycznego nie »poszła« do lasu, ale już się w nim znajdowała lub została wepchnięta do niego przez represje trwające od samego początku i powracające zaostrzającymi się falami. To był tragizm historii i pułapka, w której znalazła się znaczna część

Rząd RP w Londynie ani większość przywódców podziemia w kraju nie chcieli dalszej walki, uważali ją za błąd. W słuszności tej decyzji utwierdzali ich hierarchowie Kościoła katolickiego, apelując: „Nie strzelajcie do braci”.

mieszkańców mojej wsi. Moi dziadkowie i babcie zawsze się tego bali. Mam więc ugruntowane poglądy na temat »wyklętych«. Inka była mieszkanką powiatu i też zostawiła ślad swojego »bohaterstwa« w pamięci moich krajan”.

Historią rodzinną podzielił się też Tadeusz Kalinowski: „W mojej rodzinie był gospodarz piłsudczyk (uczestnik bitwy w 1920 r. pod Radzyminem). W 1946 r. wiosną leśni zawitali do niego na »gościnę«, czyli żarcie i picie. Wujek żonę i pięcioro drobiazgu zamknął w piwnicy, wychodząc naprzeciw żołnierzom dziś nazywanym »wyklętymi« i oświadczając, że na przednówek nie ma czym nakarmić żony i dzieci. Dlatego tym razem, panowie, nic z »gościny«. »Wyklęci« nie odpuszczali, bo zgraja rządzna i głodna, dyskusja trwała. Wujek był pewien, że to jego ostatnie chwile. Szosą obok przejeżdżał oddział KBW, »wyklęci« czmychnęli, zastużony piłsudczyk został uratowany przez władzę ludową”.

Dłuższą wypowiedź zamieścił Jerzy Halbersztadt, który był jednym z moich wykładowców na UW: „Kult »wyklętych« jest merytorycznie absurdalny i politycznie manipulatorski, tu pełna zgoda. Neguje on też i poniża postawy ogromnej większości uczestników podziemia niepodległościowego w czasie wojny,

tamtego pokolenia. Trzeba mieć szacunek dla ofiar tego dramatu, dla tysięcy ludzi, którzy służyli Polsce najlepiej, jak umieli, i często zapłacili bez swojej jakiegokolwiek winy ogromną cenę. Podobnie jak ich przeciwnicy polityczni. Twierdzenie, że alternatywą było pójście na studia i zostawanie profesorami uczelnianymi (rozumiem, że to przykład), jest niepoważne, choć każdy zna takie przypadki (i wiele więcej: nieprzyjmowania na studia i do

Historii nie zmienimy, będziemy mieli różne jej oceny.

pracy oraz wyrzucania z nich ludzi najzupełniej niewinnych, a z niewłaściwymi życiorysami czy pochodzeniem. I często aresztowania ich). Amnestie były często wykorzystywane do nasilania represji, a ich konsekwencje ciągnęły się niekiedy dziesięciolecia, dotyczyły też całe rodziny i środowiska. Trzeba skończyć z absurdami kultu »wyklętych«, ale potrafił uszanować poświęcenie i cierpienia naszych przodków (poza oczywiście tymi, którzy dopuścili się zbrodni, bo byli i tacy, po obu stronach)”.

W odpowiedzi panu Jerzemu napisałem: „Jednostronna gloryfikacja »wyklętych«, czyniona głównie przez polityków prawicy i ludzi spod

znaku IPN, znacząco wpływa na podziały w polskim społeczeństwie. Podobno politycy chcą zakopywać owe podziały. Może więc zrobią choć jeden krok w tym kierunku? Parę lat temu w czasie konferencji w Sejmie poświęconej »żołnierzom wyklętym« zgłosiłem wniosek, by 1 marca przemianować na Dzień Ofiar Wojny Domowej. Wiem, że dziś nie ma politycznej atmosfery dla takiej decyzji, ale przekonany jestem, że kiedyś do niej dojdzie. Pora zakończyć wojnę domową. Historii nie zmienimy, będziemy mieli różne jej oceny, ale bezkrytyczne gloryfikowanie jednych i niedostrzeganie powodów postępowania drugich tylko utrwała podziały w polskim społeczeństwie.

A co Pan sądzi o postępowaniu przedwojennego rektora UW, uczelni, na której Pan także pracował, prof. Jerzego Modrakowskiego, który po wojnie wraz z prof. Tadeuszem Manteufflem, prorektorem, doprowadził do rozpoczęcia roku akademickiego w 1945 r.? Czy 1 Marca nie kwestionuje tego, co on i wielu jemu podobnych robiło po wojnie?”.

Do mojej polemiki z Jerzym Halbersztadtem odniósł się Stanisław Stelmaszyk: „Bardzo dobra odpowiedź, a pomysł jeszcze bardziej, bo nie kwestionuje historii,

tylko ją potwierdza. Nawet faszysta gen. Franco kazał się w końcu pochować w specjalnym mauzoleum w Los Caidos wraz z częścią ofiar swojej wojny i systemu, bo przecież to była wojna domowa, i jednym, i drugim chodziło o dobro Hiszpanii, chociaż rozumiane inaczej”.

Zainteresowanych debatą nad postzeganiem »żołnierzy wyklętych« zachęcam do obejrzenia na stronie TVP VOD najnowszego, 23. odcinka programu „Fake czy historia?” (nadawanego na kanale TVP Historia), w którym w dyskusji z dr. Mikołajem Mirowskim tłumaczyłem, dlaczego walka „leśnych” nie miała sensu.

Nie zdajemy sobie sprawy ze skali katastrofy Ukrainy

Kiedy w czasach rządów PiS bywali tam polscy politycy, w tle widniały czarno-czerwone sztandary UPA

Rozmawia
Robert Walenciak

Badania internetu pokazały, że po spotkaniu Trump-Zelenski, po tej awanturze, polscy internauci – nie całość społeczeństwa, tylko ta grupa – opowiedzieli się po stronie Trumpa, przeciwko Zelenskiemu. To przypadek czy tendencja? Co tu się dzieje?

– Książkę można na ten temat napisać! Po pierwsze, jest to element uniwersalnego procesu. W tę stronę zmierzają postawy wyborców w wielu państwach Europy. Szczególnie naszego regionu. Prezydent Chorwacji w cuglach wygrał wybory, opowiadając się za jak najszybszym pokojem. W Bułgarii wypłynęli na tym prorosyjscy nacjonaliści. Wdzieliśmy, co się działo w Rumunii. U Słowaków kolejny raz wrócił lewicowy Fico. Na Węgrzech jest prawicowy Orbán.

W Czechach faworytem w nadchodzących wyborach jest Babiš.

– W Polsce nakładają się na to inne konteksty. Dlatego powiedziałbym, że z Ukrainą, i w aspekcie relacji państwowych, i w relacjach międzyludzkich, było trochę tak jak w polskiej polityce z ruchami Paliкота czy Kukiza. W pierwszej chwili zaskoczenie i entuzjazm. A potem, im dłużej przyglądano się zjawisku, dostrzegano coraz większe mankamenty. Rodziło się rozczarowanie, że ta postać i ten ruch są odległe od pierwotnych oczekiwań. Podobnie jest z działaniami Ukrainy.

Stąd przejście od entuzjazmu do sceptycyzmu?



PROF. RAFAŁ CHWEDORUK

– politolog z Uniwersytetu Warszawskiego

– Polska opinia publiczna z czasem musiała dostrzec skutki ekonomiczne wojny w ogóle, ale także ukraińską politykę. Kto pamięta, że tuż przed wojną Ukraina poszła na skargę do instytucji europejskich związanych z rynkiem transportu, co uderzało bezpośrednio w polskie firmy transportowe? Tuż przed wojną! Kiedy już wiedziała, że Polska będzie kluczowa dla obrony przed agresją. Takich punktów konfliktowych jest więcej: cement, miękkie owoce, rynek zbożowy... No i oczywiście polityka historyczna, gdzie nie tylko

nie doczekano się żadnego gestu ze strony ukraińskiej, ale można wręcz powiedzieć, że w tej materii trwają tam bachanalia faszystwu.

Twarde słowa.

– Jeśli latem 2022 r. – wiemy, co się działo wtedy na froncie, to były decydujące chwile konfliktu, Polska była maksymalnie zaangażowana w pomoc Ukrainie, jak tylko się dało – w Białej Cerkwi, największym mieście obwodu kijowskiego, nazwano ulicę imieniem Piotra Diaczenki... Pacyfikatora powstania warszawskiego i Lubelszczyzny, kolaboranta. Podobnie stało się jeszcze w kilku miejscowościach. Albo teraz – Ukraina, której siłą rzeczy brakuje środków na wszystko, znajduje czas i możliwości, żeby na poziomie miasta Lwów zajmować się odbudową zniszczonego bombardowaniem muzeum Szu-chewycza, wykonawcy rzezi wołyńskiej. Mam wyliczać despekty wobec polskich polityków? Kiedy w czasach rządów PiS bywali na Ukrainie, tak się dziwnie składało, że w tle widniały czarno-czerwone sztandary UPA. Trudno nazwać to wszystko przypadkiem. Sama Ukraina postarała się jako państwo – nie mówię o Ukraińcach, którzy są w Polsce – o to, żeby postawa Polski i Polaków ewoluowała w niekorzystną dla niej stronę. Do tego dochodzi tendencja uniwersalna, to znaczy migracja.

Która zawsze generuje nieporozumienia.

– Akceptacja migracji miała charakter głęboko humanitarny. Pomagamy, bo to są ludzie jak my, niewiele kulturowo od nas się różnią, spotkało ich nieszczęście. Poza tym już byliśmy przyzwyczajeni do obecności

Ukraińców na rynku pracy, często bardzo pożytecznej. Ale w dłuższym horyzoncie czasowym masowa migracja zawsze rodzi napięcia. Największe – w gorzej płatnych segmentach rynku pracy. Warto też pamiętać, że migranci, tak jest na Zachodzie, osiedlają się tam, gdzie jest taniej. Wbrew stereotypom, że Ukraińcy w Polsce jeżdżą limuzynami, odwiedzają drogie restauracje, tak naprawdę większość osiedla się w mniej zaможnych częściach dużych miast. Na tym zachodnie partie socjaldemokratyczne tracą, bo wtedy te dzielnice...

...stają się antyimigranckie, czyli prawicowe.

– Narastają konflikty, czy to z powodu sposobu życia, czy przez obawy związane z rynkiem pracy, czy po podwyżkach czynszów w okolicy. Ten proces, chociaż powolny, też w Polsce ma miejsce. Tyle że przy naszej strukturze to dotyczy elektoratu prawicy.

Należało dokonać korekty polityki wobec Ukrainy. Że trzeba pomagać i wymagać.

Lewica z dzielnic robotniczych, proletariackich dawno wyemigrowała.

– Lewicę mamy w stylu Izraela czy Turcji. Mieszczańską, kampusową itd. I ostatnia rzecz, ale ważna – my, Polacy, jesteśmy społeczeństwem proamerykańskim. Żeby nie wiem co, nie jesteśmy w stanie przyjąć do wiadomości, że Reagan i Breżniew już nie żyją. Oni organizują nasze życie! Nie Dmowski z Piłsudskim!

Polską rządzą trumny Reagana i Breżniewa?

– Raczej tamten czas. Jest zimna wojna, tu jest dobry Zachód, tam zły Związek Radziecki, który jest wszechpotężny, a Zachód zjednoczony jak nigdy. Nikt nie chce przyjąć do wiadomości, że np. Francja wyszła ze struktur militarnych NATO, że Reagan w czasie naszego stanu wojennego nałożył faktyczne sankcje na firmy z państw Europy Zachodniej za handel surowcami ze Związkiem Radzieckim. Żyjemy w jakiejś mitycznej rzeczywistości. A Trump jedynie ujawnił to, co od dawna było wiadome. Że w naszym proamerykańskim

społeczeństwie Zachód to, po pierwsze, Columbo, Kojak i westerny. A dopiero po drugie Napoleon Bonaparte.

Tak myśli prawica.

– I elektorat PiS, i Konfederacji jest w swojej masie proamerykański. A elektorat Platformy i lewicy jest podzielony, nie jest homogeniczny, jeśli chodzi o poszukiwanie balansu między Europą a Ameryką. Składa się to na obraz, który dla mnie był jasny od pierwszej minuty tej wojny – że taki będzie jej wewnętrzny finał w Polsce.

Że mając do wyboru Trumpa i Ukrainę, wybierzemy Trumpa?

– Najciekawsze jest to, że partię, która w najmniejszym stopniu wyciągnęła wnioski, było PiS. Ta partia była fanką Trumpa, ale realizowała linię Bidena. A teraz się dziwi, że wystąpił strategiczny problem i niekoniecznie jej kandydat wypada w tej kwestii wiarygodnie na tle kandydata Konfederacji.

W PiS jest pęknięcie? Czy raczej politycy ślepo opowiadają się za Trumpem?

– Najgorsze dla PiS jest to, że jego elektorat jest w tej kwestii niejednolity. We wszystkich branżach, o których mówiliśmy, pracuje ponadstandardowo wielu zwolenników PiS. Wieś, produkcja rolna, także rynek transportowy – to w większości małe firmy z prowincji.

I w te branże uderzyła najmocniej ukraińska konkurencja.

– Do tego dochodzi polityka historyczna. Jakkolwiek na to patrzeć, największy odsetek zwolenników tej formacji zamieszkuje Podkarpacie, Lubelszczyznę, tudzież Małopolskę bez Krakowa. Trafiło tam też wielu Wołyniaków uciekających przed UPA. Osiedlali się w Biłgoraju czy Stalowej Woli, dzisiaj bastionach wyborczych PiS. To są również obszary, o czym w Polsce wszyscy skrzętnie milczą, na których terror UPA szalał w latach 1944-1947. Ze wszystkich partii mainstreamowych Prawo i Sprawiedliwość powinno zatem mieć największe powody, żeby w sprawach ukraińskich manewrować, uprawiać politykę, a nie oddawać się wyłącznie wzmożeniom moralnym. I PiS za to zapłaciło – w wyborach parlamentarnych. A teraz zapłaci drugi raz. Jeśli dystans między Nawrockim a Mentzenem będzie niewielki, jedną z przyczyn tego zjawiska będzie to, że PiS nie wyczuło momentu, w którym należało dokonać korekty polityki wobec Ukrainy. Że trzeba pomagać i wymagać.

Oni to mówili: jesteśmy sługą Ukrainy. Choć myślę, że w dużym stopniu popierali Ukrainę nie z sympatii dla Kijowa, ale dlatego, że chcieli dokopać Rosjanom. To był motyw.

– Żyjemy w absolutnie fantasmagorycznym kraju! Niedawno Rada Miejska w Łodzi postanowiła uhonorować Margaret Thatcher. I to zgodnie – Platforma i PiS. Nie wiem, czy akurat robotniczy etos Łodzi ma coś wspólnego z Margaret Thatcher.

Myślę, że tu chodziło o etos Solidarności.

– Dlatego Thatcher jest honorowana, bo uznano ją w naszym kraju ▶

Zmarł

Janusz Roszkowski

Człowiek lewicy i kultury, świetny dziennikarz, niemcoznawca, dyplomata.

Szef i Przyjaciel

Bliskim Janusza serdecznie współczuję

Jerzy Stabicki

► za wielką antykomunistkę. Ironicznie mówiąc, potwierdzała to jej wizyta w Polsce i spotkanie z gen. Jaruzelskim. Polska prawica absolutnie nie przyjmuje też do wiadomości, że historycznie w Stanach Zjednoczonych to republikanie byli tą partią, która szukała porozumienia z Rosją, i to od czasu wojny secesyjnej, widząc potencjał sojuszu z nią. Zimną wojnę wywołał demokrat Truman, to demokrat Kennedy inwazję w Zatoce Świń postawił świat na krawędzi III wojny światowej. A już w końcu XX w. to za rządów Clintona NATO zaatakowało Jugosławię. Za to Nixon i Gerald Ford doprowadzili do détente, a później Reagan porozumiał się z Gorbaczowem. To George W. Bush wprowadził Rosję na salony, bo potrzebował taniej ropy naftowej po ataku na Irak. I nieprzypadkowo w czasie pierwszej prezydentury Trumpa rosyjska propaganda na wyścigi zapewniała o neutralności w sporach ekonomicznych między partnerami z Chin i ze Stanów Zjednoczonych, co de facto oznaczało wsparcie dla USA.

Czyli mięta Trumpa do Putina to coś głębszego?

– Nie cechy osobowości Trumpa określają jego zwrot w kierunku Rosji, tylko to, że stoją za tym wielkie interesy. I to, że republikanie

widzą w Rosji czynnik, który należy pozyskać w kontekście rozgrywki z Chinami. Wszyscy zapomnieli o takim kraju jak Syria, gdzie w cudowny sposób w ciągu kilku dni zniknęły potężna, 130-tysięczna armia i wielotysięczny aparat partii Baas. Jednostki Strażników Rewolucji z Iranu zniknęły. A teraz Izrael mówi, że dobrze byłoby zachować rosyjskie bazy w Syrii. Takie rzeczy nie dzieją się przypadkiem ani za darmo. Wszyscy zapomnieli o kordialnych relacjach Netanjahu i Putina sprzed lat. To sprawia wrażenie powrotu do niedokończonych porozumień z cza-

jest szczerze, czy to raczej gonienie uciekającego elektoratu?

– Polska prawica już od lat 90. jest bardzo eklektycznym konglomeratem tradycji często odległych od siebie bądź wręcz sprzecznych. Jak można pożenić Piłsudskiego z Dmowskim? Jak można pożenić reaganomikę i thatcheryzm z tradycją NSZZ Solidarność i nauką społeczną Kościoła? Myślę, że tak samo jest z podejściem do Ukrainy. PiS próbuje dogonić własnych wyborców. To profesjonalna partia, która dysponuje badaniami prowadzonymi na bieżąco, ale wyraźnie widać, że

Badania pokazują, że większość obywateli i obywaterek Ukrainy tu zostanie. Bo niby do czego mają wracać?

sów pierwszej kadencji Trumpa. Teraz też USA liczą na pośrednictwo Rosji w rozmowach z Iranem i to już układa się w pewną logiczną, spójną całość. A Polska uważa się wciąż za bardzo ważny podmiot, ale oprócz niej nikt o tym nie wie.

Ważni politycy PiS licytują się, kto mocniej uderzy w Zelenskigo.

Czarnek powiedział, że zachował się on jak głupek, Morawiecki, że był niewdzięczny wobec Polski, Nawrocki mówi podobnie. Czy to

PiS, które górowało nad konkurencją myśleniem strategicznym, w tej dziedzinie kompletnie się pogubiło, oparło na błędnych prognozach rozwoju sytuacji. Nie oni pierwsi i nie ostatni. Na tle konkurencji jest to jednak szczególnie widoczne. Bo, umówmy się, Konfederacja nie ma nawet cienia takiej sprawności, modelu organizacyjnego, zaplecza społecznego. A zaczęła wchodzić na pole PiS, co wcześniej nikomu się nie udawało. **Jak wyborcy PO potraktowali deklarację Trzaskowskiego, że powinno się odebrać niektórym Ukraińcom 800+?**

– Wygrał na tym! To znaczy, że jego sztab miał już w badaniach to wszystko zweryfikowane. Proszę pamiętać, że trzon elektoratu PO ma poglądy neoliberalne i odrzuca zasadność wielu świadczeń socjalnych. Czy dotyczyłoby to Polaków, czy Ukraińców. To była więc zero-jedynkowa gra dla Platformy i jedna z najbardziej udanych inicjatyw tej formacji. Poza tym żyjemy w Europie, w której dyskurs o migracji jest zupełnie inny niż parę lat temu. Nawet partie lewicowe mówią już innym językiem.

Mówiliśmy, że zdecydowana większość Ukraińców w Polsce dobrze sobie radzi, jest w miarę zakorzeniona i akceptowana. Teraz mogą być zdumieni, patrząc na tę zmianę nastrojów. Czy nie wylejemy dziecka z kąpielą?

100-lecie konkordatu

Stowarzyszenie Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej oraz tygodnik „Przegląd” zapraszają na sesję popularnonaukową z okazji 100. rocznicy zawarcia konkordatu

między Stolicą Apostolską i Rzeczpospolitą Polską, regulującego stosunki między władzą świecką a kościelną.

Sesja stawia sobie za cel przybliżenie wiedzy o tym akcie prawnym, a także porównanie go z aktualnie obowiązującym konkordatem.

**W dyskusji udział wezmą znawcy stosunków prawnych między państwem a Kościołem,
m.in. prof. Paweł Borecki i dr Andrzej Gerlach.**

Sesja odbędzie się 15 marca (sobota), rozpoczęcie o godz. 12.15 w Sali Konferencyjnej Muzeum Podgórze (Filia Muzeum Krakowa), Kraków, ul. Powstańców Wielkopolskich 1.



Prezydent Wołodymyr Zełenski wizytuje wojska ukraińskie w regionie Charkowa, 30 listopada 2023 r.

– To będzie zależało od stanu gospodarki. Jeśli gospodarka ruszy po zakończeniu wojny, optymizm konsumencki wzmocni się, problem będzie zniknął. Niektóre badania pokazują, że większość obywateli i obywaterek Ukrainy tu zostanie. Bo niby do czego mają wracać? Mogą wracać kijowianie, mogą wracać mieszkańcy zachodniej Ukrainy... Warto zauważyć, że drugim językiem Warszawy jest faktycznie rosyjski. Nie ukraiński, tylko rosyjski.

Bo to uciekinierzy ze wschodniej i południowej Ukrainy.

– To po pierwsze. A po drugie, z wielkich miast. To nie są ludzie z terenów rolniczych z zachodniej Ukrainy. Nie mają wielkich problemów adaptacyjnych. Są przyzwyczajeni do życia w dużych miastach, mają kompetencje, są przeważnie dobrze wykształceni. Do tego powoli będzie do nas docierała świadomość bomby demograficznej. Pomysły depopulowania i wypędzania migrantów będą zatem zupełnie bezpodstawne.

A przestępczość?

– Tu też najważniejszy okaże się stan gospodarki, a na razie najgłośniejsze są wydarzenia związane z gruzińskimi gangami. Poza tym nie wiemy, jaki będzie ostatecznie los Ukrainy, jakie jej granice. Z całą pewnością Rosja nie zechce mieć nic wspólnego z zachodnią częścią tego kraju.

Nie wiadomo więc, ilu Ukraińców zostanie, a ilu wróci.

– Nie sposób w tym momencie nie zwrócić uwagi na naszą wielką polską hipokryzję. Chcemy pomagać Ukrainie, kochamy ją, a pomagamy, drenując ją z resztek siły roboczej. Kto ma tam pracować po wojnie? Część ludzi już się zakorzeniła w Polsce, w Europie... W Rosji też! Wedle różnych danych 5-8 mln obywateli Ukrainy jest w Rosji. Im więcej Ukraińców zostanie w Polsce, tym dla polskiej gospodarki będzie lepiej, bo w ten sposób będą zasypywane naturalne wakaty powstające na skutek zapaści demograficznej. Ale tym gorzej dla Ukrainy. Istnieje ryzyko, że przeistoczy się ona w państwo podobne do Kosowa. 90% mieszkańców Kosowa nie chce tam żyć.

A opowieści o powojennej odbudowie Ukrainy?

– Możemy je włożyć między bajki. Nie wątpię, że Kijów się rozwinie, że Lwów się rozwinie, natomiast większość tego kraju będzie w stanie zapaści. Zobaczmy, jak wyszła odbudowa Libii, Iraku, Kosowa.

Na Ukrainie mieszka dziś 30 mln ludzi.

– Gdy rozpadł się Związek Radziecki, Ukraina liczyła 52 mln osób, z których 30-50% deklarowało język rosyjski. Była największą potęgą przemysłową po Rosji, o PKB porównywalnym z PKB Francji. To jest skala katastrofy tego kraju, z której nie zdajemy sobie sprawy. I w tym sensie można odnieść wrażenie, że Polska była pozbawiona

jakiegokolwiek refleksji, traktując Ukrainę wyłącznie jako instrument walki z Rosją.

Bo najważniejsze było, żeby na Majdanie krzyknąć: „Stawa Ukrainie!”. Tak jak Kaczyński.

– Wszystkie nurty polityczne pod tym względem zawiodły. Środowiska liberalne i lewicowe. Gdzie się schował ich antyfaszyzm? PiS dużo mówiło o tradycji Dmowskiego, polskiego nacjonalizmu itd. Tymczasem kancelarię prezydenta Dudy odwiedzili we wrześniu 2022 r. obrońcy Mariupola, w tym członkowie ultrapravicowego Azowa... A ruch ludowy? Owszem, podnosił kwestię Wołynia, bo ofiarami w większości byli polscy chłopcy. Ale podnosił częściej głosami pojedynczych postów, a nie kierownictwa partii.

Wygląda na to, że w Polsce nie ma pomysłu na ułożenie stosunków z Ukrainą.

– Gdyby Polska uprawiała politykę, to byłoby proste. Chcecie czołgi? Samoloty? To nie ma Szuchewycza, nie ma Bandery. Możecie gloryfikować Chmielnickiego czy kogo chcecie, ale nie ludobójców!

Właśnie że teraz Ukraina ma poczet nowych bohaterów. Jest kogo czcić.

– Bohaterów, którzy nie są ludobójcami, Ukraińcom nie brakuje. Ale nawet takiej prostej rzeczy, w warstwie symbolicznej, Polska nie potrafiła, nie chciała, nie próbowała wyegzekwować. Jeśli tego nie potrafią, tym bardziej trudno liczyć na sukcesy w sporach związanych z rolnictwem i transportem. Sami mówimy, że chcemy wprowadzić Ukrainę do Unii Europejskiej. OK, ale czy ktoś sporządza wyliczenia, jakie będą tego skutki dla polskiej gospodarki? Na ten temat nie ma żadnej dyskusji. Jeśli więc rzeczywiście wybuchnie kwestia ukraińska, winne temu będą elity polskie i ukraińskie. Ukraińskie ze względu na treść polityki, którą prowadziła, a polskie ze względu na przemilczanie wszystkich możliwych problemów i szykowanie skumulowanej eksplozji, do której może dojść, jeśli gospodarka się zachwieje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Złodziejstwo i szczucie pod auspicjami rządu PiS

Czy nadużycia w Polskiej Fundacji Narodowej zaprowadzą na ławę oskarżonych Jarosława Kaczyńskiego, Beatę Szydło i Macieja Świrskiego?

Andrzej Sikorski

Władze Polskiej Fundacji Narodowej poinformowały, że przygotowały zawiadomienie do prokuratury w związku z przestępstwami, których mieli się dopuścić pisowscy nominaci zarządzający fundacją w latach 2017-2023. Chodzi o zawieranie niekorzystnych umów i wytransferowanie środków finansowych fundacji bez dostatecznego uzasadnienia. Straty wyceniono na 30 mln zł, ale audyt trwa i należy się spodziewać, że to nie koniec.

Niecný proceder

Polska Fundacja Narodowa powstała w 2016 r. z inicjatywy rządu Beaty Szydło i miała się zajmować promocją Polski za granicą. Fundację utworzyło 17 największych firm państwowych obsadzonych przez ludzi PiS: Polska Grupa Energetyczna, Enea, Energa, Tauron, KGHM, PZU, PKN Orlen, Grupa Lotos, PGNiG, Grupa Azoty, Totalizator Sportowy, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, Giełda Papierów Wartościowych, Polski Holding Nieruchomości, Polska Grupa Zbrojenio-wa, PKO BP oraz PKP.

Jeszcze w 2016 r. spółki przelały na konto PFN prawie 100 mln zł. Jednocześnie zobowiązały się, że do 2026 r. przekażą jej w sumie ponad 633 mln zł.

Prawie wszystkie spółki będące fundatorami PFN mają własne fundacje, które zajmują się tym samym, co ona. Tworzenie kolejnej fundacji, dublującej zadania już istniejących



Cezary Jurkiewicz (z lewej) jest zaufanym Jarosława Kaczyńskiego, Maciej Świrski uchodzi za człowieka byłego wicepremiera Piotra Glińskiego.

podmiotów, nie miało racjonalnego uzasadnienia. Małego tego! Statut PFN został tak skonstruowany, że gigantyczne pieniądze można było wyprowadzać na prawo i lewo pod byle pretekstem. A wiele wskazuje na to, że właśnie kradzież i defraudacja środków publicznych legły u podstaw utworzenia PFN. W 2017 r. poinformowałem o tym Centralne Biuro Antykorupcyjne, Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego i prokuraturę. Z Prokuratury Regionalnej w Warszawie dostałem odpowiedź, „że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa postępowanie karne wszczyna się, gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa, przy

czym przez »uzasadnione podejrzenie« należy rozumieć konieczność oparcia się przez organ procesowy na konkretnych informacjach – dowodach”.

Moje przewidywania się sprawdziły, lecz nie mam z tego powodu wielkiej satysfakcji (o nadużyciach w PFN pisaliśmy w tekście „Fundacja propagandy PiS”, „Przegląd” nr 9/2024). Teraz przyjrzymy się szczegółowo jednej sprawie. Jest ona wisienką na bogato ozdobionym torcie afer, bo nie tylko wyprowadzono pieniądze do ludzi związanych z PiS i zorganizowano polityczną nagonkę na środowiska sędziowskie, ale jeszcze stali za tym wszystkim premier polskiego rządu i prezes PiS.

Układ przestępczy

Prokuratura Regionalna w Rzeszowie prowadzi śledztwo w sprawie nadużycia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez członków zarządu PFN w związku ze sfinansowaniem w 2017 r. kampanii medialnej „Sprawiedliwe sądy”, czym wyrządzono fundacji szkodę majątkową w wielkich rozmiarach, w kwocie nie mniejszej niż 8 428 542,74 zł.

Członkami zarządu w tym czasie byli Cezary Jurkiewicz (w randze prezesa), Maciej Świrski i Paweł Kozyra.

Jurkiewicz to niedoszły ksiądz (cztery lata spędził w seminarium), ojciec ośmiorga dzieci, były szef klubu warszawskich radnych PiS i lider Klubu „Gazety Polskiej” w stołecznej dzielnicy Wawer. Jest też zaufanym człowiekiem Jarosława Kaczyńskiego. Był szefem straży porządkowej, która ochraniała partyjne manifestacje i miesiecznie smoleńskie.

Świrski, teraz ulokowany przez PiS na stołku przewodniczącego KRRiT, uchodzi za człowieka byłego wicepremiera Piotra Glińskiego. W 2013 r. założył Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom. Znany jest z pieniactwa – dzięki niemu zdobywa rozgłos. Walczył m.in. z nagrodzonym Oscarem filmem „Ida”. Twierdził, że „może wywołać w widzach fałszywe przeświadczenie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów”. Od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej domagał się umieszczenia

Trzeci dżentelmen, Paweł Kozyra, był zaś rzecznikiem Ministerstwa Skarbu Państwa za pierwszych rządów PiS.

Oprócz panów z zarządu (którym grozi nawet 10 lat więzienia) na celowniku prokuratury są ówczesna premier Beata Szydło i Jarosław Kaczyński, którzy, nadużywając władzy, zlecieli PFN przeprowadzenie

do kanonu myśli politycznej w Polsce jako pewne stwierdzenie, które powinno budzić przede wszystkim w nas wszystkich, powinno się nam zapalić czerwone światelko, kiedy słyszymy takie stwierdzenie. (...) Propozycja Polskiej Fundacji Narodowej, aby taką debatę rozpocząć, taki dialog w tej chwili się toczył, jest propozycją w mojej ocenie nie tylko

W 2016 r. spółki przełały na konto PFN prawie 100 mln zł i zobowiązały się, że do 2026 r. prześlą fundacji w sumie ponad 633 mln zł.

oszczerczej kampanii. Za przekroczenie uprawnień i działanie na szkodę interesu publicznego grozi im do trzech lat więzienia.

Hejtem w sędziów

„Sprawiedliwe sądy” były pierwszą spektakularną akcją PFN. Wczesną jesienią 2017 r. Polskę załaty hasła ze spotów telewizyjnych i billboardów: „Sędzia ukradł kiełbasę”, „Pijany sędzia awanturował się w klubie”, „Sędzia może kłamać bezkarnie”, „Sędzia kradła spodnie”, „Sędzia z żoną kradli elektronikę”, „Sędziowie wzajemnie przyznają sobie dodatkowe wynagrodzenia” czy „Sąd w Świdnicy wypuścił na wolność pedofila. Po wyjściu z więzienia mężczyzna skrzywdził kolejne dziecko”. Hejterska kampania zbiegła się z forsowaniem przez PiS pakietu

że konieczną i potrzebną, ale chciałam jeszcze raz panom prezesom za tę inicjatywę podziękować”.

Potem w Sejmie na konferencji prasowej polityków PiS Ryszard Terlecki przyznał, że „Sprawiedliwe sądy” to inicjatywa rządu. „Jest naturalne, że w takiej sytuacji (krytyka zmian w sądach i protesty społeczne – przyp. A.S.) rząd Rzeczypospolitej Polskiej musiał podjąć działania, także o charakterze medialnym, aby tę histerię zrównoważyć i uspokoić. Adresujemy ją do tych wszystkich Polaków, którzy są przekonani, że system prawa wymaga gruntownej reformy. (...) Chcemy ich przekonać, że rząd wie o tym i że reforma zostanie przeprowadzona”, powiedział wicemarszałek Sejmu i szef klubu parlamentarnego PiS.

Sami swoi

Kampania kosztowała prawie 8,5 mln zł, a przygotowali ją doradcy i PR-owcy premier Beaty Szydło oraz członkowie sztabu wyborczego PiS: Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, którzy jeszcze jako urzędnicy KPRM na dyrektorskich posadach zarejestrowali spółkę Solvere i zarobili na umowie z PFN 1,2 mln zł. Przeciętny Polak musi pracować ok. 20 lat, aby zarobić tyle pieniędzy, ale polityczni nominaci w ciągu kilku miesięcy utuczyli się na państwowym majątku.

Jakby tego było mało, dopuścili się przestępstwa. Prawo zakazuje bowiem urzędnikom prowadzenia działalności gospodarczej, a Plakwicz i Matczuk zataili w oświadczeniach majątkowych, że

„Sprawiedliwe sądy” były pierwszą spektakularną akcją PFN. W 2017 r. Polskę załaty hasła: „Sędzia ukradł kiełbasę”, „Sędzia może kłamać bezkarnie”.

w czołówce filmu informacji o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Do prezydenta Andrzeja Dudy skierował z kolei petycję z żądaniem pozbawienia historyka Jana Tomasza Grossa Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, ponieważ „Gross to oszczerca wyjątkowo szkodliwy, który pod pozorem pracy naukowej prowadzi kampanię zniesławień i zniewag przeciwko Polsce”.

ustaw uderzających w niezawisłość wymiaru sprawiedliwości i miała przekonać społeczeństwo, że sędziowskie jest zepsute moralnie, skorumpowane, bezkarnie i dlatego trzeba je spacyfikować.

Kampanię tę zainaugurowała we wrześniu 2017 r. na konferencji prasowej Beata Szydło – razem z Jurkiewiczem i Świrskim. Premier mówiła m.in.: „Słynne już zdanie »żeby było tak, jak było«, myślę, że przejdzie

► są współwłaścicielami spółki. Jednak upolityczniona prokuratura rozpostarła nad współpracownikami Beaty Szydło parasol ochronny. Uznano, że nie ma sprawy, bo Plakwicz i Matczuk w międzyczasie odeszli z KPRM, a podanie nieprawdziwych informacji w oświadczeniach majątkowych „nie było zamierzone”. Pod

pani prezydent udostępnienia dokumentów, twierdząc, że nie ma ona kompetencji (sic!), by badać działalność tego podmiotu. Sprawa ostatecznie trafiła do sądu, który orzekł, że akcja „Sprawiedliwe sądy” była sprzeczna z celami zapisanymi w statucie PFN, „a podejmowane w trakcie tej kampanii działania nie tylko

mającej budować słynne dwie wieże. Oszukany przez Jarosława Kaczyńskiego austriacki biznesmen Gerald Birgfellner na pytanie „Gazety Wyborczej” o relacje z ludźmi Srebrnej odpowiedział: „Nie było żadnych relacji. Jak już mówiłem, Kaczyński powiedział mi, że to jego projekt, ma do niego sentyment i że mam kontaktować się z nim, a nie ze Srebrną. Ludzie ze Srebrnej raz zaprosili mnie na spotkanie. Była pani Goss i pani Kujda [z zarządu spółki] oraz Zuchmantomwicz [prawnik Srebrnej]. Pytali mnie o biznesplan, chcieli znać szczegóły. Kaczyński zakazał mi kontaktów z nimi. »Nie ufam tym ludziom« – mówił”.

Prokuratura za rządów PiS kilkakrotnie zajmowała się kampanią „Sprawiedliwe sądy” i za każdym razem odmawiała wszczęcia śledztwa, bo nie doszukała się w nielegalnym finansowaniu partyjnego hejtu znamion przestępstwa. Jednak czas pobłażania i bezkarności już się dla pisowskich aferzystów skończył. Nawet jeśli nazywają się Kaczyński, Szydło i Świrski.

Andrzej Sikorski

Hejterska kampania zbiegła się z forsowaniem przez PiS pakietu ustaw uderzających w niezawisłość wymiaru sprawiedliwości.

decyzją o umorzeniu śledztwa podpisał się usłużny wobec PiS ówczesny zastępca prokuratora okręgowego w Warszawie Paweł Szpringer, który w nagrodę za lojalność awansował do prokuratury regionalnej.

Ponieważ PFN, angażując się w polityczne przedsięwzięcie partii rządzącej, złamała swój statut, ówczesna prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która sprawowała nadzór nad fundacją, wszczęła postępowanie nadzorcze. Bezczelni Jurkiewicz i Świrski odmówili jednak

nie promują i nie chronią wizerunku Rzeczypospolitej Polskiej, ale wręcz przeciwnie, wizerunek ten znacznie osłabiają, skoro kreują wyłącznie negatywny, oparty na jednostkowych przypadkach, obraz władzy sądowniczej, która obok władzy ustawodawczej i wykonawczej jest jednym z filarów ustroju Rzeczypospolitej”.

Co ciekawe, w sporze z prezydent Warszawy PFN reprezentował adwokat Michał Zuchmantomwicz, obrońca Mariusza Kamińskiego, który pracował też dla pisowskiej spółki Srebrna,



Dzień Kobiet

WYSTAWA CZASOWA
7.03.2025-9.05.2025

GALERIA PLAKATU
MUZEUM X PAWILONU CYTADELI WARSZAWSKIEJ
ODDZIAŁ MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE
UL. SKAZAŃCÓW 25, 01-532 WARSZAWA

35 lat MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Muzeum X Pawilonu
Muzeum X Pawilonu

Mazowsze.

W PRZEDMIOT WYKORZYSTANO: 8 MARCA 77, MIROSLAWA BENKAT, KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA, WROCŁAWIAK, ZAPŁADY ORLACZYNIE, WROCŁAW, 1977, PAPIER, DYSZKA 60 X 87 CM, WYKON. MN-PL-1970 ZŁ. ZOBACZ MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE.

Z Galicji



Jan Widacki

Bójcie się obcych?

Niedawno TVN 24 podała wieść hiobową. Od początku tego roku prokuratura postawiła zarzuty popełnienia przestępstwa ok. 2,6 tys. cudzoziemców! Tę wieść bezkrytycznie powtórzyły inne media, co ambitniejsze dodawały od siebie komentarz. Przywoływano przy okazji przypadki groźnych przestępstw popełnianych przez imigrantów w różnych krajach Zachodu. Stworzyło to szczególną atmosferę. Przeciętny Polak zrozumiał, jak groźni są imigranci, którzy tylko się rozglądają, kogo by tu zgwałcić, zamordować albo rozjechać autem. W tej atmosferze pojawiły się wypowiedzi polityków. Ostre, pryncypialne, antyimigranckie. Deportować! Trzeba chronić przed zbrodniczymi imigrantami nasze kobiety i dzieci, zanim zostaną zgwałcone lub zamordowane! Już nie mówiąc o tym, że nasze kościoły zostaną zamienione w meczety.

Żadna z osób powtarzających bezmyślnie informację o postawieniu zarzutów popełnienia przestępstw 2,6 tys. cudzoziemców nie podjęła trudu rozważenia, czy to dużo, czy mało. Zapewne dlatego, że sama liczba przerażała swoim ogromem i było oczywiste, że to nie tylko dużo, ale wręcz bardzo dużo. Co tam bardzo dużo, przerażająco dużo!

Otóż podejmujących temat dziennikarzy i polityków chciałem zmartwić. Sama liczba (choćby to było nawet 2,6 tys.) o niczym nie świadczy. Aby wiedzieć, czy to dużo, czy mało, trzeba by wiedzieć coś więcej. Na początek trzeba by się zorientować, ile zarzutów popełnienia przestępstw w tym samym okresie usłyszeli Polacy. Wiecie to? Sprawdzaliście? No chyba nie. Ale informacja o liczbie przestępstw popełnionych przez Polaków to i tak za mało, aby coś sensownego powiedzieć. Trzeba by jeszcze wiedzieć, ilu w Polsce żyje Polaków – zakładam, że te dane przeciętny dziennikarz lub polityk na ogół zna – oraz ilu mamy w naszej ojczyźnie cudzoziemców. Tu już problem, bo nawet kompetentne (?) organy państwa nie bardzo to wiedzą i tylko z grubsza szacują.

Pomogę. Wedle wspomnianych organów państwowych w Polsce żyje obecnie 2,5-2,8 mln imigrantów.

Większość z nich stanowią Ukraińcy. Polska ma 37,5 mln mieszkańców. Tak więc imigranci stanowią 6,6-7,5% populacji. I tu znów wedle oficjalnych danych popełniają oni 5% wszystkich przestępstw. Nawiasem mówiąc, znaczny procent to przestępstwa drogowe. Jakkolwiek by na to patrzeć, na razie spotkanie z rodakiem jest bardziej niebezpieczne niż spotkanie z imigrantem.

Na razie. Bo można się spodziewać, że po zakończeniu wojny na Ukrainie czeka nas nowa fala imigracji, na przyjęcie której nie bardzo jesteśmy gotowi.

Pomijam to, że straszenie imigrantami jest niemoralne i podłe – ono jest po prostu szkodliwe. Dla nas szkodliwe! Budzi lęk przed przybyszami, a w konsekwencji niechęć i nieufność. Stajemy się mniej tolerancyjni, bardziej ksenofobiczni. To w skrajnej postaci napędza nienawiść rasową z wszelkimi tego konsekwencjami,

Straszenie imigrantami jest niemoralne i podłe, ale też szkodliwe. Dla nas szkodliwe!

także przestępczymi. Takimi jak publiczne znieważanie czy pobicia imigrantów lub osób omyłkowo wziętych za imigrantów. Ale znacznie bardziej powszechne – i przez swoją powszechność bardziej szkodliwe – są inne, z pozoru łagodniejsze formy uzewnętrzniania się nieufności: stygmatyzacja, niechęć zatrudniania, izolacja. Wszystko to utrudnia imigrantom integrację, wypycha ich do getta, usuwa na marginesy społeczeństwa, skazuje na bezrobocie lub szarą strefę, komplikuje funkcjonowanie społeczne. W tych warunkach rzeczywiście rodzi się przestępczość, bo stanowią one dla niej znakomite i w zasadzie konieczne podglebie.

A z drugiej strony czy ktoś się zastanawiał nad tym, czy aby imigranci, chociażby ci z Ukrainy, nie padają ofiarą przestępstw częściej niż miejscowi? Czy nie częściej niż Polacy padają np. ofiarą przestępstw przeciwko prawom pracownika? ■

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI



Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



Banki spółdzielcze: życie w czekoladzie

Grzegorz Rudnik

Pod koniec ubiegłego roku w Polsce działało 490 banków spółdzielczych. Część skupiona jest w Grupie BPS SA, którą tworzy Bank BPS SA oraz 307 innych zrzeszonych z nim banków spółdzielczych. Spółdzielczą Grupę Bankową tworzy SGB-Bank SA i 174 zrzeszone z nim banki spółdzielcze.

Ich kapitały własne szacuje się na ponad 21 mld zł, a zgromadzone w nich depozyty wyniosły pod koniec 2024 r. przeszło 196 mld zł. Według danych Bankowego Funduszu Gwarancyjnego zysk netto banków spółdzielczych wyniósł w roku ubiegłym 4,9 mld zł, co stanowiło 12% całkowitego zysku netto sektora bankowego, w 2024 r. wynoszącego 40,6 mld zł. Jeszcze nigdy sytuacja tego sektora nie była tak dobra. Powiedzieć, że banki – w tym spółdzielcze – śpią na pieniądzach, to nie powiedzieć nic.

Jest za to wiele dowodów, że dziś banki spółdzielcze ordynarnie pasożytują na klientach. Zarabiają na wszystkim. Na przykład w najlepszym w wielu rankingach Banku Spółdzielczym we Wschowie rachunek podstawowy prowadzony jest co prawda bez miesięcznych opłat, ale konto premium kosztuje nawet 40 zł miesięcznie. Pięć przelewów miesięcznie dokonywanych na rachunki prowadzone w innych bankach niż BS Wschowa jest darmowych, ale opłata za szósty i kolejne wynosi 5 zł. W przypadku konta premium – 10 zł. Lista taryf i opłat obowiązujących w tym banku ma 15 stron formatu A4 drobnym drukiem.

Roczne oprocentowanie lokat w Banku Spółdzielczym w Szczytnie kształtuje się na poziomie 4,10%. Bank Spółdzielczy w Piotrkowie Kujawskim oferuje rocznie 5% w przypadku trzymiesięcznej lokaty, a Bank

Niegdyś służyły
rolnikom,
rzemieślnikom
i drobnym
handlowcom.
Dziś mamonie

Spółdzielczy w Kościanie – 4,4% rocznie w przypadku lokaty na trzy miesiące.

Przeglądając dokumenty innych banków, można dojść do wniosku, że ich oferta dla klientów indywidualnych niewiele się różni od oferty banków komercyjnych. Czy to oznacza, że spółdzielcy trudniący się bankowością zarabiają równie dobrze jak ich koledzy pracujący w Pekao SA, Santanderze czy mBanku? Nic bardziej mylnego. Nikt jednak nie prowadzi rankingu najlepiej zarabiających prezesów banków spółdzielczych. Z dostępnych informacji wynika, że ich wynagrodzenie oscyluje wokół

starszych, jest równie trudna jak rozwód. Poza tym banki komercyjne systematycznie zamykają swoje placówki terenowe, a banki spółdzielcze działają w małych miejscowościach od dziesięcioleci, są dobrze znane i dostępne.

Niestety, zmiany, jakie dokonały się po roku 1989, doprowadziły do komercjalizacji bankowości spółdzielczej i odejścia od zasad, które w XIX w. legły u ich podstaw.

Za pierwszą polską spółdzielnią oszczędnościowo-kredytową uważa się Towarzystwo pożyczkowe dla Przemysłowców miasta Poznania, założone przed rokiem 1861, choć dwa lata wcześniej w Śremie powstał Spółdzielczy Bank Ludowy. Twórcami polskiej bankowości spółdzielczej w zaborze pruskim byli głównie duchowni, m.in. ks. Piotr Wawrzyniak czy ks. Augustyn Szamarzewski.

W latach 1979-1981 Telewizja Polska wyprodukowała serial „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” w reżyserii Jerzego Sztwiertni. Sporo miejsca poświęcono w nim Związkowi Spótek Zarobkowych i Gospodarczych, który zrzeszał

Obecnie banki spółdzielcze zarabiają na wszystkim.

30-35 tys. zł miesięcznie, co jak na przedstawicieli wyższej kadry kierowniczej tego sektora jest zarobkiem nikczemnym. Panie pracujące przy okienkach mogą liczyć na zarobki zbliżone do poborów kasjerki w Biedronce.

Co ciekawe, zdarza się, że wiek prezesów banków spółdzielczych sięga osiemdziesiątki! W radach nadzorczych także są osoby w tym zacnym wieku. Można sobie wyobrazić, jak konserwatywne bywają te instytucje.

Rodzi się zatem pytanie, skąd przywiązanie klientów do banków spółdzielczych. Okazuje się, że zmiana banku, zwłaszcza dla osób

działające w Wielkopolsce na zasadach spółdzielczych banki ludowe. W zaborze austriackim w roku 1890 powstała w Czernihowie pierwsza kasa zapomogowo-pożyczkowa, założona przez Franciszka Stefczyka. W okresie międzywojennym kasy zrzeszały ok. 1,5 mln członków, a liczba placówek sięgnęła 3,5 tys. Instytucje te, zarówno w Wielkopolsce, jak i w Galicji, propagowały zasady oszczędności i gospodarności. Staraty się zapewnić dostęp do usług finansowych osobom wykluczonym przez banki komercyjne i, co najważniejsze, kultywowały polskie tradycje i wartości. Miało



to szczególne znaczenie w zaborze pruskim, gdzie banki spółdzielcze stały się ogniskami oporu przeciw germanizacji.

Tym, co wyróżniało kasy zapomogowo-pożyczkowe w Galicji i banki ludowe w Wielkopolsce, były m.in. niższe oprocentowanie kredytów i dbałość o interesy lokalnych społeczności.

Działalność Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych z siedzibą w Poznaniu w XIX w. okazała się tak skuteczna, że wzbudziła najpierw poważne zaniepokojenie władz niemieckich, a w końcu podziw. Banki ludowe zarabiały więcej niż banki niemieckie i walcnie przyczyniły się do rozwoju gospodarczego regionu. Nasi przodkowie wiedzieli, jak się zorganizować, by najlepiej zadbać o swoje interesy i interesy narodu. A dziś...

Banki spółdzielcze w czasach PRL działały głównie w miasteczkach i na terenach wiejskich. Obok banków państwowych, obsługujących głównie duże przedsiębiorstwa, funkcjonowały – udzielające niewielkich pożyczek – kasy zapomogowo-pożyczkowe zrzeszające pracowników przedsiębiorstw, szkół i urzędów. Banki spółdzielcze obsługiwały zaś rolników, rzemieślników oraz drobnych prywatnych producentów. W szkołach podstawowych od lat 20. ubiegłego wieku działały szkolne kasy oszczędności, których zadaniem

było wpajanie dzieciom umiejętności oszczędzania pieniędzy.

Po upadku gospodarki planowej i zmianie w 1989 r. systemu społeczno-politycznego dla banków spółdzielczych zaczął się trudny okres. Licznie powstawały prywatne banki komercyjne, które zaczęły skutecznie wypierać z rynku spółdzielczą konkurencję. Zmieniało się też prawo regulujące działalność banków. Na początku XXI w. zasady, na których przyszło działać bankom spółdzielczym, niewiele się różniły od tych, według których działały banki komercyjne. O ile początkowo budziło to opór spółdzielców, o tyle z czasem banki spółdzielcze przystosowały się do nowych warunków i zaczęły zarabiać. Dziś można powiedzieć, że ich stan i zyski są imponujące. Dzieje się to kosztem klientów pozbawionych możliwości wyboru lepszych ofert. W konsekwencji cena korzystania z usług bankowych, zwłaszcza z kredytów, jest w Polsce wysoka, co oznacza, że np. przedsiębiorstwa liczą przede wszystkim na własne zasoby. Banki spółdzielcze, które w znacznym stopniu obsługują rolników indywidualnych, mogłyby być dla nich większym wsparciem. Lecz nie są.

Trudno sobie wyobrazić, że banki spółdzielcze zaoferują swoim klientom oprocentowanie kredytów znacząco niższe niż w bankach komercyjnych i w ten sposób doprowadzą

Za PRL z banków spółdzielczych korzystali rolnicy, rzemieślnicy i drobni prywatni przedsiębiorcy. Marzec 1981 r.

do rzeczywistej konkurencji. Nie pozwolą im na to Komisja Nadzoru Finansowego i politycy, na których prywatny sektor bankowy ma przemożny wpływ. Dlaczego? Choćby dlatego, że to on każdego roku nabywa obligacje emitowane przez skarb państwa. Dziś banki prywatne są właścicielami obligacji o łącznej wartości ok. 612 mld zł.

Na razie nie jest źle, choć z pewnością coraz częściej będziemy słyszeli takie historie jak ta. Pan Jan przez lata prowadził gospodarstwo pod Warszawą. Specjalizował się w uprawie kwiatów i odnosił spore sukcesy. Zdobywał nagrody na międzynarodowych wystawach, uczestniczył w targach, takich jak Internationale Grüne Woche w Berlinie. Eksportował kwiaty do Niemiec i Szwecji. Jego problemy zaczęły się w drugiej połowie lat 90., gdy do Polski napływały tańsze kwiaty, głównie z Holandii. Działało to tak: na granicy firma sprowadzająca kwiaty deklarowała przewóz towaru o wartości 10 tys. guldenów, natomiast jego faktyczna wartość była sześć razy wyższa. Firma pana Jana zaczęła mieć problemy z płatnościami od partnerów handlowych – jej zobowiązania rosły z każdym rokiem.

Firmowy rachunek pana Jana prowadził bank spółdzielczy. Jak wspomina bohater tej historii, w czasach PRL pracowali w nim ludzie, którzy rozumieli specyfikę rolnictwa i wiedzieli, że czasem zdarzają się problemy z regularną spłatą kredytów. Bank uruchamiał wtedy dodatkowy kredyt i gotów był czekać, aż sytuacja wróci do normy. Tak funkcjonował pan Jan i wielu innych rolników.

Wszystko zmieniło się na początku 2001 r., gdy w banku pojawiła się była pracownica jednego z banków komercyjnych, która nie uznawała takich praktyk. Kredyty miały być spłacane w terminie, a jeśli nie, bank składał wnioski o ogłoszenie upadłości. W końcu firma pana Jana nie dotrzymała jednego z terminów spłaty, a bank złożył w sądzie wnioski o ogłoszenie upadłości. Dziś niegdysiejszy przedsiębiorca pracuje w Warszawie jako taksówkarz. ■

Podatnicy płacą za kształcenie księży

Miliardy złotych płyną z budżetu państwa do uczelni katolickich. Nie stoi za tym konkordat, ale jedynie wola polityczna, i to większości partii

Kornel Wawrzyniak

Z danych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego wynika, że od 2007 r. do katolickich uczelni trafiło z publicznych środków co najmniej 4,5 mld zł. Według zapisów konkordatu Polska jest zobowiązana do dotowania dwóch uczelni. O pozostałych placówkach nigdzie nie ma mowy. Mimo to państwo daje miliony na kształcenie katolickich księży, chociaż nie jesteśmy państwem wyznaniowym.

Zagadka umów sporządzonych na klęczkach

„Rzeczpospolita Polska gwarantuje Kościołowi Katolickiemu prawo do swobodnego zakładania i prowadzenia szkół wyższych, w tym uniwersytetów, odrębnych wydziałów i wyższych seminariów duchownych oraz instytucji naukowo-badawczych”, stanowi art. 15 konkordatu. Dokument wszedł w życie w 1998 r. W umowie między Polską a Watykanem zapisano też, że Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski będą dotowane przez państwo. Dane Ministerstwa Nauki pokazują, że sam KUL między 2007 a 2023 r. otrzymał z budżetu państwa prawie 3,2 mld zł. Druga wymieniona w konkordacie uczelnia dostała zaś ponad 624 mln zł.

Kasa płynęła jednak do KUL już od 1991 r., czyli przed zatwierdzeniem konkordatu. Mówił o tym w mediach prof. dr hab. Paweł Borecki z Zakładu Prawa Wyznaniowego Wydziału Prawa i Administracji UW. Podobnie



Święcenia diakonatu jezuitów, którzy ukończyli studia magisterskie w Akademii Katolickiej w Warszawie, czerwiec 2023 r.

było z PAT w Krakowie w ramach tzw. ustaw okołokonkordatowych. Wokół krakowskiej uczelni ciekawie zaczyna się jednak robić w 2009 r. Państwo polskie zgodziło się, aby papież Benedykt XVI przemianował PAT na uniwersytet, mimo że uczelnia nie spełniała polskich kryteriów. Od tego czasu mamy więc w Krakowie Uniwersytet Papieski. Tyle, jeśli chodzi o uczelnie ujęte w konkordacie.

A co z finansowaniem przez państwo pozostałych placówek? W 2006 r. w życie weszły ustawy, które pozwoliły subsydiować z budżetu kolejne trzy uczelnie katolickie. Wszystkie są tzw. wyższymi szkołami papieskimi, działają jako samodzielne uczelnie. To Akademia Katolicka w Warszawie, Papieski Wydział Teologiczny we Wrocławiu oraz Uniwersytet Ignatianum w Krakowie (do 2023 r. Akademia Ignatianum). Dlaczego państwo nagle zaczęło wspomagać finansowo te placówki? Dzięki

postom Platformy Obywatelskiej, którzy złożyli projekty trzech ustaw w tej sprawie (każda dotyczyła jednej uczelni). Sytuacja jest pokłosiem ustaleń Komisji Konkordatowej z lipca 2005 r. Powiązane jest to oczywiście z inną datą, śmierci w kwietniu Jana Pawła II. Z perspektywy czasu trudno tę decyzję uznać za coś innego niż czysty populizm.

Do 2023 r. rzeczzone placówki dostały prawie 700 mln zł. Podstaw do takiego działania nie było, bo państwa nie zobowiązują do tego ani zapisy konkordatu, ani podpisana rok później (1999) umowa między rządem a episkopatem, która dotyczyła uczelni kościelnych. „Katolickie uczelnie wyższe to źródło utrzymania dla części elity intelektualnej kleru w Polsce”, stwierdził prof. Paweł Borecki w rozmowie z TVN 24. Analiza danych z resortu nauki pokazuje, że najwięcej zgarnął Uniwersytet Ignatianum – ponad 440 mln zł.

Z roku na rok uczelnia dostawała coraz więcej pieniędzy. W 2007 r. było to „zaledwie” 8 mln zł, w 2020 r. dzięki 17 mln zł od rządu Mateusza Morawieckiego Ignatianum kupiło budynek od Uniwersytetu Jagiellońskiego. Akademia Katolicka w ciągu lat dostała z budżetu państwa łącznie ponad 130 mln, Papieski Wydział Teologiczny we Wrocławiu – w sumie 123 mln zł.

Państwo w państwie

Warto zadać sobie pytanie, co obywateli i obywatele mają z dokładania się do kształcenia księży i katechetów. Wspomnieć trzeba, że oprócz pięciu wymienionych wyżej uczelni na wielu uniwersytetach istnieją wydziały, które nauczają teologii wyłącznie z perspektywy katolickiej. Można oczywiście podierać się argumentacją o roli chrześcijaństwa w kulturze europejskiej, ale... Przyjrzyjmy się wyrywkowo tytułom prac magisterskich i doktorskich z Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Śląskim: „Wybrane aspekty istnienia i natury aniołów we współczesnej myśli teologicznej”, „Formacja stała dziewięć konsekrowanych w świetle instrukcji »Ecclesiae Sponsae Imago«”, „Sposoby działania demonów według »Państwa Bożego« św. Augustyna”, „Przygotowanie dzieci do Pierwszej Komunii Świętej w Parafii Chrystusa Króla w Chybiu w latach 1992-2022”.

Jeśli zaś chodzi o przedmioty wykładane na większości wydziałów teologicznych, zgodne są z tą wizją świata, jaką reprezentuje Watykan.

„Konkordat nie nakłada obowiązku finansowania wydziałów teologicznych na uniwersytetach państwowych. Mówi jedynie, że państwo »rozważy finansowanie« tzw. odrębnych wydziałów teologicznych. To sformułowanie jest wytrychem. Obecnie w całości finansuje się już Akademię Katolicką w Warszawie, jezuicki Uniwersytet Ignatianum w Krakowie i Papieski Wydział Teologiczny we Wrocławiu. Warto wspomnieć, że także wydziały teologii katolickiej na uczelniach państwowych były instalowane i finansowane przez państwo w całej Polsce. Od Uniwersytetu Opolskiego, przez Szczecin,

Poznań, Toruń, Katowice, Białystok, Warszawę, aż po Olsztyn”, mówi prof. Paweł Borecki.

Należy też się przyrzeć podstawom prawnym, na które powołują się w debacie publicznej zwolennicy wydziałów teologicznych na uniwersytetach. W większości odnoszą się oni do ustaleń konkordatu, który – jak się okazuje – nie jest gwarantem wielu rzeczy. „Konkordat to jest kiepski akt prawny. Jest niedopracowany. Pełni dziś przede wszystkim funkcję symboliczno-propagandową. Wymachuje się nim jak chorągwią, twierdząc, że coś gwarantuje. A trzeba się w niego wczytać, aby zobaczyć, że częstokroć tak nie jest”, wyjaśnia prof. Borecki.

Dokładanie się państwa do uczelni katolickich napotkało jednak w 2009 r. opór. Sprzeciw wyraziła grupa posłów SLD, która zaskarżyła do Trybunału Konstytucyjnego jako niezgodne z ustawą zasadniczą trzy ustawy PO o finansowaniu uczelni. W skardze podkreślano: „Tylko Kościołowi ka-

łóży. „Należy zauważyć, że po 1989 r. kompetentne organy państwa pozbawiły się jakichkolwiek instrumentów wpływu na treść programów nauczania i treść podręczników do religii. Te materiały są przygotowane wyłącznie przez stronę kościelną i podawane do wiadomości Ministrowi Edukacji Narodowej. Władza nie ma prawa kontroli tych materiałów, a w konsekwencji nie ma prawa weta, jeśli ich treść narusza powszechnie obowiązujące prawa na czele z Konstytucją RP”, komentuje w rozmowie z Wirtualną Polską prof. Borecki.

Państwo nie ma też kontroli nad tym, co uczelnie robią z przekazywanymi pieniędzmi. Środki mogą równie dobrze iść na wykłady z praktyki spowiedzi lub sakramentologii, jak i na nowe budynki. A to nie koniec „niezależności” katolickich placówek. Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, jak również Katolicki Uniwersytet Lubelski są uczelniami, w których władzę sprawują wielcy

Sam KUL między 2007 a 2023 r. otrzymał z budżetu państwa prawie 3,2 mld zł.

tolickiemu ustawodawca stworzył szczególne preferencje w zakresie dofinansowania szkolnictwa wyższego na poziomie szkoły wyższej, na takich samych zasadach co uczelnie publicznych”. Trybunał Konstytucyjny skargę oddalił. W uzasadnieniu napisano: „Przyznane dotacje nie mają charakteru nieuzasadnionego przywileju i nie mogą być uznawane za formę ingerencji państwa, która pogłębiałaby faktyczne nierówności między Kościołami i związkami wyznaniowymi, ale mieszczą się w granicach wyznaczonych przez pozostałe regulacje konstytucyjne”. Prezesem TK był wówczas Marek Kotlinowski, były szef Ligi Polskich Rodzin, partii znanej z ultrakonserwatywnych poglądów, która wyborczy sukces zawdzięczała Radiu Maryja.

Nie pierwszy raz w historii współczesnej Polski TK okazuje się organem podejmującym decyzje stricte polityczne.

Największym problemem jest jednak fakt, że państwo nie ma żadnej władzy nad uczelniami, na które

kanclerze, czyli arcybiskupi. To oni podejmują decyzje np. o tym, kto może tam pracować.

Uczelnie przyznają poza tym tzw. misję kanoniczną, czyli dokument umożliwiający pracę w charakterze katechety. Biskup może ją przyznać, ale także może misję cofnąć.

Kościół katolicki działa jak państwo w państwie. Po raz kolejny Polska oddaje pod jego kontrolę element swojej autonomii. Możemy pytać, co dostajemy w zamian, szczególnie że przeprowadzony w 2021 r. Narodowy Spis Powszechny wykazał, iż w ciągu dekady o 6 mln zmalała liczba osób deklarujących się jako katolicy. W większych miastach tylko co piąty mieszkaniec uprawia regularnie praktyki religijne. Dlaczego więc państwo cały czas ustępuje pola i nie naprawia błędów (w tym legislacyjnych), które popełniono w przeszłości?

Wydaje się, że pytania o ustępstwa wobec Kościoła pozostaną bez odpowiedzi przynajmniej do rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

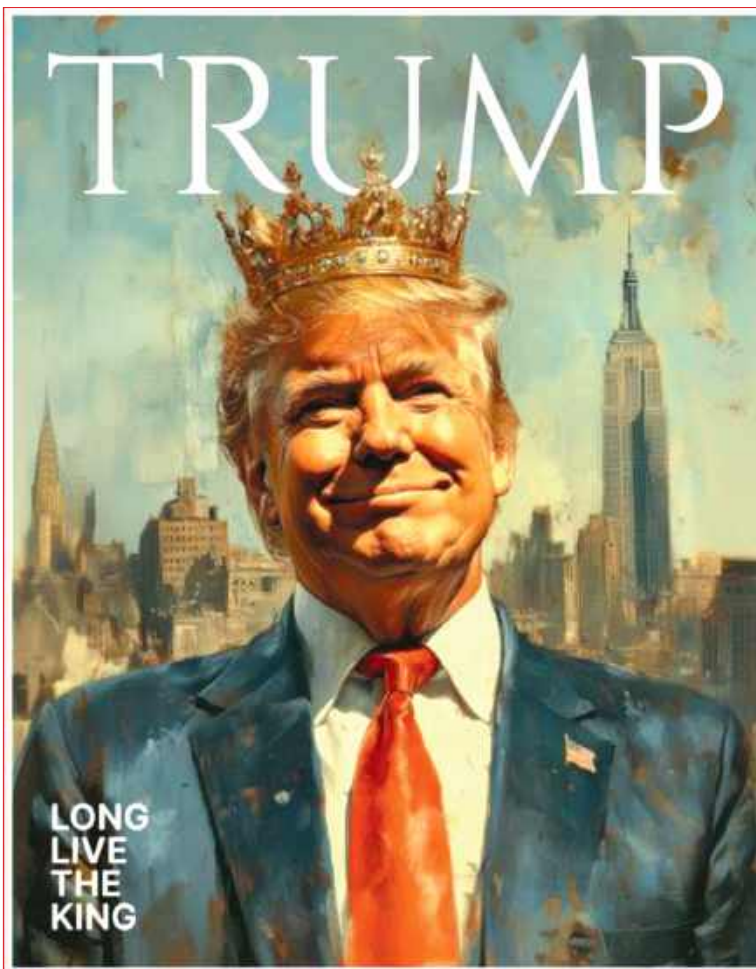
Trump królem?

Nadciągająca decydująca rozgrywka

19 lutego na oficjalnym koncie instagramowym Białego Domu pojawił się portret Donalda Trumpa w koronie, opatrzony słowami: „Niech żyje król”. Oto szczere wyznanie, o czym naprawdę marzy 47. prezydent USA.

Pierwszy miesiąc drugiej prezydentury Trumpa naznaczony był rosnącym poczuciem chaosu. Z jednej strony, były to działania wciąż nie wiadomo, czy umocowanej prawnie instytucji o nazwie DOGE (Departament ds. Efektywności Rządu), kierowanej przez miliardera Elona Muska. Również nie wiadomo, czy działającego legalnie i w jakiej naprawdę roli występującego. Bo jeśli w charakterze urzędnika federalnego, to nie dopełnił wymaganych formalności – przede wszystkim nie przeszedł procedury *background check*, sprawdzenia pod kątem bezpieczeństwa narodowego i potencjalnego konfliktu interesów. DOGE jednak niczym walec drogowy z silnikiem odrzutowym przetacza się przez rządowe biura, „czyszcząc” je z rzekomych nadwyżek pracowników, anulując kontrakty i wstrzymując wypłaty. Uzyskiwane w ten sposób oszczędności pozostają kwestią sporną. Są bowiem rezultatem zamrażania wydatków całych urzędów, takich jak USAID (Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego) czy NOAA (Narodowa Służba Oceaniczna i Atmosferyczna), lecz skala wykrywanych nadużyć i zwyczajnych pomyłek nie jest nawet w części tak wielka, jak ogłaszano. Pod znakiem zapytania staje za to możliwość dalszego efektywnego funkcjonowania wielu gałęzi administracji – ostatnio nawet wydziału ds. weteranów oraz Administracji Ubezpieczeń Społecznych, którą Elon Musk nazwał „największą piramidą finansową wszech czasów” (w podcaście Joe Rogan Experience, 28 lutego 2025 r.). Wypłata świadczeń w ramach tych dwóch instytucji odpowiada za czwartą część wszystkich wydatków federalnych.

Z drugiej strony, mamy oczywiście zatrwajająco gwałtowne



19 lutego na oficjalnym koncie instagramowym Białego Domu pojawił się portret Donalda Trumpa opatrzony słowami: „Niech żyje król”.

przetasowania w polityce międzynarodowej. Trudno nie uważać za koniec ery sojuszu transatlantyckiego awantury z Zełenskim w Białym Domu, choć była to przede wszystkim ustawka dająca Trumpowi pretekst do wycofania się z potencjalnie kompromitującego „dealu” (ktoś w końcu przedarł się do niego z informacją, że Ukraina może nie posiadać bogactw naturalnych w takich ilościach, o jakich naopowiadał publicznie).

We wtorek 4 marca ruszyła wojna taryfowa USA z Kanadą, Meksykiem

i Chinami. Kto, z kim i przeciw komu występuje na tej nowej szachownicy? I pytanie najboleśniej wypalające nam dziurę w brzuchu: czy USA naprawdę zdecydują się na całościowe, gospodarcze, ale i polityczne przymierze z Putinem? Jeśli z jakichś przyczyn Trump do tego właśnie dąży – nie wdaję się tu w rozważania, na ile jest to szalone albo motywowane całkowicie osobistymi pobudkami – czy Ameryka do tego stopnia osłabła, by mu na to pozwolić?

Wszystkie niejasności konstytucji...

Tego, że części amerykańskiego społeczeństwa, w tym rosnącej grupie samych wyborców Trumpa, nie podoba się opisany wyżej chaos i poczucie, że głowa państwa stanowi zagrożenie dla porządku i bezpieczeństwa otaczającego świata, dowodzą sondaże. Czy jednak Ameryka jako państwo nie przekształci się w twór umożliwiający Trumpowi realizację jego monarchistyczno-autokratycznych zapędów?

O co chodzi? Tym razem nie tylko o pieniądze – choć o nie również, wszak mówimy o Trumpie – ile o amerykańską konstytucję. Wprawdzie stanowi ona, że USA są republiką z trzema ośrodkami władzy, mającymi na siebie oddziaływać i wzajemnie się kontrolować, lecz w art. 2 mówi: „Władza wykonawcza jest powierzona prezydentowi”. Co to oznacza?

Do historii przeszła opinia sędziego Sądu Najwyższego Roberta Jacksona, który w 1952 r. orzekł, iż historyczne źródła wskazujące, jak należy rozumieć te słowa, są „tak enigmatyczne jak sny faraona, których znaczenie objaśniał Józef”. Nic dziwnego, że od zarania państwa ścierały się teorie usiłujące wytłumaczyć, w jaki rodzaj władzy konstytucja wyposaża prezydenta.

DOGE jak walec drogowy z silnikiem odrzutowym przetacza się przez rządowe biura. „Czyści” je z rzekomych nadwyżek pracowników, anuluje kontrakty i wstrzymuje wypłaty.

Ta, która zakłada, że prezydent ma władzę nieograniczoną, nosi nazwę teorii unitarnej władzy wykonawczej. Była ona jednak zdecydowanie odrzucana nie tylko przez historyków, ale i przez Sąd Najwyższy. Wiadomo bowiem, że ojcowie założyciele byli zdeklarowanymi antymonarchistami. Do naszych czasów zachowały się tzw. dokumenty federalistyczne – 85 esejów o państwowości stworzonych przez autorów konstytucji w latach 1787-1788, czyli wtedy, gdy pracowali nad jej treścią. Wszyscy oni byli świadomi zagrożeń, jakie



Protest demokratów na wspólnej sesji Kongresu. Waszyngton, 4 marca 2025 r.

niósłaby koncentracja władzy w którymkolwiek ośrodku. Przestrzegał przed tym zwłaszcza Alexander Hamilton, który, choć odrzucał ideę pluralistycznej władzy wykonawczej, był jednocześnie zdania, że specyficzne uprawnienia Kongresu nie pozwolą prezydentowi skumulować w swoich rękach władzy absolutnej.

Wszystkie precedensy prawne...

Po okresie znanym dziś w Ameryce jako „wiek połączany” (Gilded Age, 1870-1900), charakteryzującym się szybkim wzrostem gospodarczym, ale także wielką korupcją i wyzyskiem

Humphrey’s Executor v. United States z 1935 r. Sąd Najwyższy uznał, że prezydent Franklin Delano Roosevelt nie miał prawa zwolnić z pracy komisarza Federalnej Komisji Handlu Williama Humphreya tylko dlatego, że jego poglądy nie były zgodne z polityką Nowego Ładu. Sąd przypomniał zarazem, że komisarze niezależnych agencji rządowych, choć są one częścią aparatu władzy wykonawczej, mogą być zwalniani jedynie z określonych przyczyn, np. z powodu niekompetencji czy zaniedbania obowiązków. W odpowiedzi na próby prężenia przez Roosevelta muskułów Kongres uchwalił regulacje dotyczące pracy komisji rządowych, w tym Administrative Procedure Act, który dawał komisjom państwowym prawo wydawania regulacji, a także podejmował kwestię przejrzystości i efektywności ich pracy.

Duży apetyt na poszerzenie władzy prezydenckiej miał Ronald Reagan, zwolennik szeroko zakrojonych deregulacji gospodarczych. Spotykało się to z oporem ze strony komisji rządowych. Przez pewien czas Reagan planował nawet wydanie rozporządzenia wykonawczego wymagającego od komisji, by ich regulacje najpierw trafiały na jego biurko do zatwierdzenia, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Posłuchał adwokatów, którzy wyjaśnili mu, że sprawa na pewno trafiłaby do SN, a ten orzekłby zgodnie z precedensem z 1935 r. Podobnie zachował się ▶

► korpus doradców prezydenta Obamy, gdy ten, w obliczu oporu wobec jego polityki klimatycznej i imigracyjnej, rozważał możliwość bardziej aktywnego rządzenia za pomocą dekretów i powołania się na teorię unitarnej władzy wykonawczej.

Wszystkie samowole Trumpa...

O ile pierwsza prezydentura Trumpa wydawała się przymiarką do przetestowania tej teorii na większą skalę, o tyle za drugim podejściem Trump już nie maskuje swoich ambicji. Wydaje się też, że nic sobie nie robi z tego, że idzie na potężne zderzenie z prawem. Tylko w pierwszych pięciu tygodniach rządów wydał 80 rozporządzeń wykonawczych (średnia dla prezydentów w czasie jednej kadencji to 200-300, dane za The American Presidency Project, APP). Widać poza tym wyraźnie, że prowadzona przez DOGE restrukturyzacja biurokracji rządowej ma służyć zbudowaniu struktury całkowicie podległej prezydentowi i instrumentalnej w realizacji jego wizji i celów. Nieprzypadkowo więc Trump jako izolacjonista (America First), zwolennik paliw kopalnych (Big Oil First) i pogromca genderyzmu oraz tzw. akcji afirmatywnej (polityki wyrównywania szans mniejszości etnicznych na uczelniach – przyp. red.) zamroził w pierwszej kolejności 3 mld dol. z zatwierdzonych wcześniej przez Kongres funduszy przeznaczonych dla USAID i EPA (Agencji Ochrony Środowiska), na programy DEI, a także federalne granty na badania naukowe. Prezydent nie kryje się też z tym, że nie lubi uniwersytetów,

na których studenci oprotestowują jego politykę wobec Izraela. Po kłótni z Zełenskim wstrzymał zaś pomoc dla Ukrainy, choć z zatwierdzonych przez Kongres pieniędzy pozostały do wypłaty niemal 4 mld dol.

Wyrzucił również z pracy korpus inspektorów generalnych, a nominowana przez niego nowa prokurator generalna Pam Bondi rozpoczęła urzędowanie od wstrzymania wszystkich toczących się przeciw

Trump w pierwszych pięciu tygodniach rządów wydał 80 rozporządzeń wykonawczych.

niemu procesów, aby zrewidować ich podstawy prawne. Insiderzy z Białego Domu donoszą zaś, że pracownicy z najbliższego otoczenia Trumpa podpisują deklarację, iż wierzą, że w 2020 r. wybory zostały „skradzione”.

Na szczególną uwagę zasługują działania obliczone na podporządkowanie urzędowi prezydenta tak newralgicznych dla demokracji instytucji jak media. Tutaj mamy rewanżym, zapowiadany zresztą już w czasie kampanii prezydenckiej. Trump po kolei wytacza procesy organizacjom medialnym, które nadeptnęły mu na odcisk, takim jak Paramount, CBS News, ABC News i „The Des Moines Register”, zasiewając w świecie mediów ziarno strachu. Skutek? Nawet tak potężne koncerty jak CNN i MSNBC po 20 stycznia wyraźnie spuściły z tonu. MSNBC zwolniło nawet swoją niezwykle popularną, znaną z odważnych i progresywnych

poglądów, a do tego czarnoskórą publicystkę Joy Reid. Inne organizacje medialne równają do szeregu na wyraźne polecenie swoich właścicieli – miliarderów, którzy od momentu wygranej Trumpa prześcigają się w umizgach. Listę wazelinarzy otwierają Jeff Bezos, właściciel dziennika „The Washington Post”, oraz Patrick Soon-Shiong, właściciel „Los Angeles Timesa” i „The San Diego Union-Tribune”.

Odzwierciedleniem dążeń Trumpa do przejęcia kontroli nad przekazem w sferze publicznej są też szokujące zmiany w systemie obsługi medialnej Białego Domu. Agencje, które nie przyklaskują jego poczynaniom, np. Associated Press, która odmówiła używania nazwy Zatoka Amerykańska w miejsce Zatoki Meksykańskiej, tracą akredytacje, a prezydent daje sobie prawo doboru mediów wpuszczanych na spotkania i konferencje prasowe. Lekceważy przy tym profesjonalne koncerty na rzecz influencerów i podcasterów, najlepiej o jawnie prawicowych profilach.

Wszelka opieszałość sądów...

Na korzyść Trumpa działa fakt, że wpływające lawinowo sprawy o nielegalność jego rozmaitych posunięć sądy rozpatrują powoli. Z pierwszym prawnym „pushbackiem” mieliśmy do czynienia 1 marca, kiedy sędzia federalna Amy Berman Jackson z Waszyngtonu orzekła, że Trump złamał konstytucję, zwalniając z pracy Hamptona Dellingera, szefa agencji nadzorczej Office of Special Counsel (OSC). Zadaniem OSC jest ochrona sygnałów i urzędników federalnych przed odwetem ze strony administracji – Trump zwolnił jej pracowników już w pierwszych dniach swoich rządów. W uzasadnieniu decyzji sędzia Jackson stwierdziła, że wygrana prezydenta byłaby „konstytucyjną licencją na zastraszanie urzędników władzy wykonawczej, by postępowali wyłącznie w zgodzie z wolą prezydenta”.



POROZRYWANE STANY

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA

58 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Od wyroku będzie oczywiście odwołanie i niemal na pewno sprawa oprze się o Sąd Najwyższy. Jego orzeczenie będzie kluczowe. Jeśli bowiem SN przyzna rację Trumpowi, będzie to oznaczało, że popiera teorię unitarnej władzy wykonawczej, a tym samym obala nie tylko precedensy prawne, ale także intencje założycielskie państwa w formie, w jakiej były rozumiane przez ponad dwa wieki amerykańskiej historii.

Co to by oznaczało w praktyce? Przykład podaje na łamach „New York Timesa” („The Dubious Theory Behind Trump’s Power Grab”, 25 lutego 2025 r.) Cass Sunstein, konstytucjonalista z Uniwersytetu Harvarda, były doradca prezydentów i autor m.in. książki „Can It Happen Here?: Authoritarianism in America”: „W sytuacji, gdy prezydent będzie jednoosobowo kontrolować stopy procentowe oraz kształtować regulacje w obszarze polityki monetarnej, da mu to de facto możliwość takiego zawiadywania ekonomią, by mógł realizować osobiste interesy polityczne”. Z kolei David

Wszystkie zwycięstwa konserwatystów...

Co przybliży nas do najważniejszego punktu rozważań: jakie jest prawdopodobieństwo, że Sąd Najwyższy zdecyduje się wręczyć Trumpowi berło i koronę? Wbrew pozorom nie małe. Przypomnijmy, że kontrolowany obecnie przez konserwatystów najwyższy organ władzy sądowniczej już raz zdecydował o „ukrólowieniu” Trumpa. Było to w maju 2024 r., gdy wydał orzeczenie, że immunitet prezydencki działa również po zakończeniu prezydentury, de facto chroniąc przed odpowiedzialnością karną byłych prezydentów do końca ich życia. W uzasadnieniu przewodniczący SN John Glover Roberts umieścił wówczas znamienne sformułowanie, że prezydent „jest jedyną instancją, która w sposób jednoosobowy tworzy gałąź władzy w rządzie”. Liberalna sędzia Sonia Sotomayor zareagowała na ten argument szokiem i ostrzeżeniem: „Od teraz prezydent będzie królem stojącym ponad prawem”.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że Sąd Najwyższy zdecyduje się wręczyć Trumpowi berło i koronę?

Driesen, ekspert prawny z Syracuse University, autor książki „The Specter of Dictatorship: Judicial Enabling of Presidential Power”, podkreśla wpływ, jaki wywierać będzie na całokształt pracy rządu nieograniczona władza prezydencka w kwestii powoływania i odwoływania urzędników rządowych. Na stronie organizacji non profit Truthout przestrzega: „Zapanuje atmosfera strachu i chęci podporządkowywania się prezydentowi, w tym wykonywania poleceń jawnie niezgodnych z prawem, skoro za pracę w zgodzie z wytycznymi urzędu będzie groziło zwolnienie. (...) To dlatego prezydenci, którzy na długo przed Trumpem testowali teorię unitarnej władzy wykonawczej, powstrzymywali się od ataków na agencje, które stoją na straży demokracji, regulują finanse i chronią prawa pracownicze („Trump’s Executive Orders Build Toward Dictatorial »Unitary Executive« Power”, 21 lutego 2025 r.).

Jest jeszcze druga rzecz, na którą warto zwrócić uwagę. Gdy po aferze Watergate Kongres w 1978 r. utworzył niezależny urząd prokuratora specjalnego, którego zadaniem miało być przeświadczenie nadużyć i korupcji, jakich dopuszczają się urzędnicy państwowi najwyższego szczebla, o prawomocności tej ustawy wypowiedział się ostatecznie SN, rozstrzygając w 1988 r. sprawę *Morrison v. Olson*. Jedynym sędzią, który uznał ustawę za niekonstytucyjną, był wówczas Antonin Scalia, federalista i zwolennik literalnego odczytu konstytucji. Dyskusje na temat powołania tego urzędu pospołu z konserwatywną rewolucją rozpoczętą przez Ronalda Reagana przyczyniły się do powstania w 1982 r. słynnego Federalist Society – najważniejszego dziś zaplecza prawnego prawnicy, dostarczającego konserwatywnym prezydentom kandydatów na stanowiska sędziów federalnych.

Duchowymi spadkobiercami poglądów Antonina Scalii i albo osobami związanymi z Federalist Society, albo jego formalnymi członkami jest cała szóstka konserwatystów zasiadających obecnie w SN. W ostatnich latach po wielokroć dali oni dowód gotowości wspierania i promowania konserwatywnej agendy, dla której zapleczem intelektualnym jest z kolei The Heritage Foundation – kuźnia, z której wyszedł m.in. słynny Project 2025, a w nim lista celów realizowanych obecnie przez Trumpa.

Wspomnieć należy choćby historyczne obalenie w 2022 r. orzeczenia *Roe v. Wade* dotyczącego konstytucyjnej ochrony prawa do aborcji (*Dobbs v. Jackson Women’s Health Organization*, 2022), krytyczne ograniczenie roli Agencji Ochrony Środowiska w zakresie regulacji emisji gazów cieplarnianych i kształtowania polityki klimatycznej (*West Virginia v. Environmental Protection Agency*, 2022) czy wreszcie podważające (sic!) konstytucyjną zasadę rozdzielności Kościoła od państwa orzeczenie o obowiązku włączania szkół religijnych do programów finansowania z budżetów stanowych (*Carson v. Makin*, 2022).

...mogą uczynić z Trumpa króla

Czy przeciwdziałanie sądów wystarczy, by Ameryka zachowała dotychczasowy charakter? To niestety jest pytanie, na które odpowie nam czas. Jak dotąd tylko jeden prezydent zlekceważył orzeczenie Sądu Najwyższego – Andrew Jackson, który w 1832 r. nielegalnie usunął plemię Czirokezów z ich ziem. Większość Amerykanów jednak nie była wtedy tą historią w ogóle zainteresowana. Jeśli Trump poszedłby w ślady Jacksona, miałby dzisiaj za sobą połowę kraju i oczywiście – przynajmniej do roku 2026 – Kongres.

Warto też przypomnieć, że sondaż przeprowadzony we wrześniu 2024 r. przez Public Religion Research Institute wykazał, że 42% Amerykanów – 70%, jeżeli identyfikują się jako republikanie – jest otwartych na rządy prezydenta podejmującego decyzje bez udziału Kongresu.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Deklaracja przez pośredników

Oświadczenie Abdullaha Öcalana nie oznacza końca kurdyjskiej walki o niepodległość

Jakub Katulski

Pod koniec lutego zawrzało, gdy w mediach pojawiła się informacja, że Abdullah Öcalan, przez lata symbol kurdyjskiej walki o niepodległość i prawo do samostanowienia, ma wygłosić oświadczenie wzywające Partię Pracujących Kurdystanu (PKK) do złożenia broni. To potencjalnie nowe otwarcie w relacjach tureckiego rządu z mieszkańcami tureckiego Kurdystanu, bo PKK toczy otwartą walkę z Turcją od 1984 r. W walce tej, szczególnie w pierwszych latach, bronią były ataki terrorystyczne, w tym zamachy bombowe w tureckich miastach. Jednocześnie turecka armia od lat 80. prowadziła liczne operacje, w których ginęły nie tylko bojownicy PKK. W ostatnich latach do walki wykorzystywany jest także nowoczesny sprzęt wojskowy, w tym drony, takie jak osławione bayraktary.

Trudno dziś podać dokładną liczbę ofiar konfliktu turecko-kurdyjskiego, choć według raportu brytyjskiego Home Office do 2013 r. mogło zginąć ok. 40 tys. osób. Wówczas weszło w życie zawieszenie broni między Turcją a PKK, które jednak zawaliło się w 2015 r. Think tank International Crisis Group obliczył, że od tego momentu do 2023 r. śmierć mogło ponieść niemal 7 tys. osób. Niektóre nieoficjalne szacunki sugerują, że ofiar konfliktu może być znacznie więcej, nawet 100 tys.

Ta trwająca ponad cztery dekady walka może już zmierzać do końca, zwłaszcza że 27 lutego ukazało się oświadczenie przywódcy PKK. Odezwa została jednak odczytana nie przez samego Öcalana, ale przez delegację polityków prokurdyjskiej Ludowej Partii Równości i Demokracji, która odwiedziła go w więzieniu na wyspie İmralı. Wydarzenie było

transmitowane na ekranach w miejscach publicznych w miastach Wan i Diyarbakır, zamieszkałych przede wszystkim przez Kurdów.

Kurdów nie da się łatwo uciszyć

Transmisja odbyła się z więzienia, w którym Abdullah Öcalan odbywa karę dożywotniego pozbawienia wolności, po tym jak w 1999 r. tureckie służby specjalne uprowadziły go z Kenii. Turcy poszukiwali przywódcy PKK, uważając, że odpowiada za działania terrorystyczne podejmowane przez ugrupowanie. Początkowo

o umożliwienie mu spotkań z zespołem obrońców, które były odrzucane przez tureckich sędziów.

Te środki ani nie złamały Öcalana, ani nie zmusiły PKK do złożenia broni i porzucenia wizji niepodległości Kurdów. W więzieniu Apo (przydomek oznaczający wujek – przyp. red.) napisał kilka książek zawierających jego wizję kurdyjskiego nacjonalizmu, niepodległości i, co być może najważniejsze w ostatnich 15 latach, demokratycznego konfederalizmu. Ta ostatnia idea systemu politycznego zakładającego decentralizację władzy, pluralizm etniczny i religijny,

Interesy Kurdów nadal nie zostały zrealizowane, zwłaszcza w Turcji i Syrii, gdzie wciąż podważane jest ich prawo do autonomii.

jednak ani reprezentujący Öcalana prawnicy, ani organizacje broniące praw człowieka, w tym Amnesty International, nie byli pewni, jakie zarzuty usłyszy. Nic dziwnego, skoro po sprowadzeniu z Kenii na wyspę İmralı Öcalan był przesłuchiwany przez 10 dni bez możliwości spotkania z adwokatami. Ostatecznie za zdradę i separatyzm skazano go na karę śmierci, która w 2002 r. została zamieniona na dożywocie.

Nie poprawiło to warunków, w jakich był przetrzymywany. Z wyspy szybko zabrano innych więźniów, Öcalan stał się więc jedynym osadzonym w całym ośrodku, pilnowanym przez tysiącosobowy personel. Dopiero w 2009 r. zakończono jego izolację, umieszczając na İmralı innych więźniów i budując nowy zakład karny, gdy po interwencji Rady Europy Europejski Komitet ds. Zapobiegania Torturom zgłosił uwagi co do warunków przetrzymywania Öcalana. Z kolei od 2011 do 2017 r. prawnicy reprezentujący lidera PKK złożyli aż 700 wniosków

emancypację kobiet i kooperacyjną gospodarkę inspirowaną zasadami socjalizmu, stanowiła podwaliny systemu wprowadzanego przez Kurdów w Rożawie, dzisiaj de facto autonomicznym regionie północno-wschodniej Syrii.

Oświadczenie Öcalana wzywające PKK i inne kurdyjskie ugrupowania do zaprzestania walki zbrojnej z Turcją wywołało liczne dyskusje, nie tylko w środowiskach kurdyjskich. Przywództwo PKK podkreśliło we własnym oświadczeniu, że zastosuje się do słów lidera. Domaga się jednak od Turcji, by umożliwiła zorganizowanie kongresu partii, w którym wzięłby udział Öcalan, a także oczekuje, by to Apo poprowadził ugrupowanie w nową „erę pokoju i demokratycznego społeczeństwa”.

Rożawa pod tym się nie podpisuje

Inne kurdyjskie grupy, takie jak działające na terenie Syrii Powszechne Jednostki Ochrony wchodzące



Wiec zwolenników
Abdullaha Öcalana
w Al-Kamisli na północy Syrii,
27 lutego 2025 r.

w skład Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), zbrojnego ramienia Rożawy, zaznaczyły, że oświadczenie Öcalana nie ma wiele wspólnego z ich walką. Tak podczas konferencji prasowej 27 lutego powiedział sam głównodowodzący SDF gen. Mazlum Abdi, podkreślając, że gdyby pokój z Turcją wszedł w życie, Ankara nie miałaby żadnego usprawiedliwienia dla swoich działań przeciw Kurdom w Syrii.

W rzeczywistości Turcja przynajmniej od 2016 r. prowadzi intensywne działania przeciwko ugrupowaniom kurdyjskim za południową

mimo nielicznych starć i potyczek, wcale nie utrudniła dżihadystom rozwoju i planowania ofensywy przeciwko wojskom Asada.

Po upadku Damaszku działalność nowych władz nie wskazuje na to, by mieszkańcy Rożawy mogli odechnąć z ulgą. Dzięki zorganizowanej pod koniec lutego Syryjskiej Konferencji Dialogu Narodowego mieszkańcy Syrii mieli się zastanowić nad dalszymi kierunkami rozwoju kraju i wyznaczyć drogę dla nowej konstytucji.

Mimo że Ahmad asz-Szara (znany wcześniej pod pseudonimem Abu

dialog prowadzący do trwałych rozwiązań musi brać pod uwagę wszystkie ludy mieszkające w Syrii.

Podzielony naród

Kurdyjska walka o niepodległość nie kończy się więc po oświadczeniu Öcalana, przede wszystkim dlatego, że interesy narodowe Kurdów nie zostały zrealizowane, zwłaszcza w Turcji i Syrii, gdzie wciąż podważane jest ich prawo do autonomii. Niektórzy bojownicy PKK niechętni kapitulacji lub zwrotowi w stronę walki politycznej mogą też przenieść się z Turcji do Syrii czy irackiego Kurdystanu, szczególnie miasta As-Sulajmanijja, zwanego przez Kurdów Silêmanî, gdzie mogą liczyć na sympatię polityków i Peszmergów z Patriotycznej Unii Kurdystanu, drugiej pod względem liczby reprezentantów partii w Parlamencie Regionalnym Kurdystanu.

Naród i region podzielony granicami administracyjnymi Turcji, Syrii, Iraku i Iranu ma jednak przed sobą trudne chwile. Coraz wyraźniejsze są podziały polityczne i różnice w wizjach niepodległości, do której aspirują przywódcy i zwykli mieszkańcy. ■

Partia Pracujących Kurdystanu toczy otwartą walkę z Turcją od 1984 r.

granicą, w ramach operacji „Tarcza Eufratu”. Wspiera też bojowników Syryjskiej Armii Narodowej sprzymierzonych z Hajat Tahrir asz-Szam – wywodzącą się z Al-Kaidy organizacją, która przejęła władzę w Damaszku po obaleniu Baszara al-Asada. Samo HTS oficjalnie nie cieszy się wsparciem Turcji ani nie cieszyło się nim przed obaleniem dotychczasowego dyktatora, ale po 2017 r. tureckie wojska były obecne w prowincji Idlib. To miejsce jest twierdzą HTS, a obecność tureckich żołnierzy,

Muhammad al-Dżaulani), przywódca HTS i obecny prezydent Syrii, zapowiadał, że kraj będzie zmierzał ku pokojowemu współistnieniu i jedności mieszkańców, sam skład 550-osobowej delegacji biorącej udział w wydaleniu każe podawać te zapewnienia w wątpliwość. Kurdyjskie ugrupowania w Syrii nie zostały na konferencję zaproszone.

W oświadczeniu władze Rożawy odrzuciły konferencję i jej wnioski, podkreślając, że w istocie podważa ona regionalną stabilność, a wszelki

Od hrabiego po księdza

Napisanie historii powszechnej władza powierzyła autorom, z których żaden nie należał do partii, nie miał związków rodzinnych z szeroko rozumianą lewicą!

Paweł Siergiejczyk

Karol Nawrocki jest doktorem nauk humanistycznych w dziedzinie historii, co na wielu wyborcach może robić duże wrażenie. Z samego tytułu niewiele jednak wynika, gdyż cały „dorobek naukowy” kandydata PiS sprowadza się do kilku publikacji obracających się wokół wąskiego tematu, o którym napisał doktorat: dziejów Solidarności w latach 80. w województwie elbląskim. I trudno temu się dziwić, Nawrocki bowiem od początku wyraźnie nastawiał się na karierę polityczną, do której szczeblami miały być stanowiska dyrektora Muzeum II Wojny Światowej i prezesa IPN, uzyskane dzięki poparciu innego wpływowego historyka i polityka zarazem, prof. Ryszarda Terleckiego.

„Obywatelski kandydat” na prezydenta jest przy tym najgorszym przykładem traktowania historii w III RP, rozumienia jej jako ideologicznej propagandy antykomunizmu, nacjonalizmu i klerykalizmu, a nie rzetelnych badań przeszłości i upowszechniania wiedzy o niej. Skutki takiego podejścia są coraz bardziej widoczne. Nie tylko ciągle obniża się poziom wiedzy historycznej Polaków, ale również maleje zainteresowanie przeszłością, szczególnie wśród młodych pokoleń, czego dobitnym świadectwem jest coraz mniejsza liczba maturzystów wybierających historię jako przedmiot egzaminacyjny.

A przecież w czasach tak ocieranej przez IPN Polski Ludowej było odwrotnie: duża część społeczeństwa żywo interesowała się przeszłością, masowo czytając książki i artykuły prasowe czy oglądając filmy historyczne, których poziom był o wiele wyższy niż dzisiaj. Edukację

historyczną na wszystkich poziomach nauczania traktowano z pełną powagą. To prawda, że działała cenzura, jednak podlegały jej tylko niektóre tematy z XX-wiecznych dziejów Polski (szczególnie stosunki polsko-radzieckie), natomiast cała wcześniejsza historia cieszyła się pełną swobodą badań i popularyzacji. Tak było od 1956 r. – po krótkim okresie narzucania stalinowskich

z podręczników wydawanych nie tylko w III RP, ale i wcześniej – właśnie w PRL. Szczególnie dotyczy to historii powszechnej, której studenci nieraz do dziś uczą się z serii sześciu podręczników Państwowego Wydawnictwa Naukowego, w większości wydrukowanych po raz pierwszy w latach 1964-1968 (najobszerniejszy tom, obejmujący wiek XVIII, ukazał się dopiero w 1977 r.).

Powojenne kariery uczonych przeczą stereotypom głoszonym przez dzisiejszy prymitywny antykomunizm.

schematów w nauce historycznej – i każda kolejna dekada PRL poszerzała strefę wolności intelektualnej. A lata 80., gdy Polską rządził gen. Jaruzelski, który de facto odrzucił partyjną ideologię na rzecz ogólnonarodowego patriotyzmu, stanowiły czas coraz większej rehabilitacji także XX-wiecznej historii. W efekcie po 1989 r. niewiele zostało białych plam w naszej przeszłości.

Wspaniałe osiągnięcie

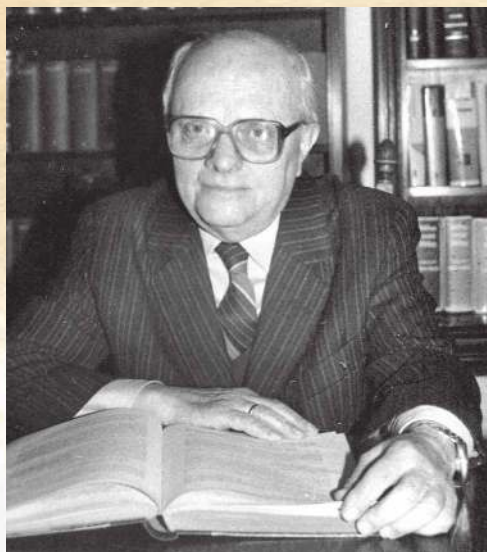
O tym wszystkim jednak nie do wiemy się od takich propagandzistów „polityki historycznej” jak dr Nawrocki. Dla nich powojenna Polska to wyłącznie „komunizm” i „zbrodnie komunistyczne”, a z drugiej strony „opór społeczny”, którego filarem był oczywiście Kościół katolicki. Skoro jednak dr Nawrocki ukończył w 2008 r. studia historyczne na Uniwersytecie Gdańskim (notabene założonym w ostatnim roku rządów Władysława Gomułki, który to rok IPN-owcom kojarzy się wyłącznie z „powstaniem grudniowym” w Gdańsku i na Wybrzeżu), zapewne musiał korzystać

Ta seria uważana jest do dziś za wspaniałe osiągnięcie naszej nauki historycznej, łączące rzetelną wiedzę naukową z pięknym stylem pisarskim, którego dzisiejsi autorzy najczęściej nie mają. I choć autorzy wszystkich tomów od dawna nie żyją, PWN nadal wznawia tę serię, nie rezygnując oczywiście z wydawania podręczników młodszych historyków, którzy reprezentują nowocześniejsze (co nie zawsze oznacza, że lepsze) podejście do dziejów powszechnych. Warto przypomnieć postacie autorów owej serii z czasów „głębokiego PRL-u”.

Wydany w 1965 r. tom pierwszy, obejmujący historię starożytną, napisał prof. Józef Wolski (1910-2008), przedwojenny jeszcze asystent na Uniwersytecie Jagiellońskim, należący do grupy krakowskich uczonych, których 6 listopada 1939 r. Niemcy podstępnie zwabili do budynku Collegium Novum, by ich aresztować i uwięzić w obozach koncentracyjnych (tzw. Sonderaktion Krakau). Po kilku latach pobytu w obozach Wolski został zwolniony, następnie zaangażował się w tajne nauczanie.



Prof. Tadeusz Manteuffel



Prof. Zbigniew Wójcik

W powojennej Polsce był jednym z najwybitniejszych badaczy historii starożytnej, szczególnie interesował się dziejami Persji i jej relacji z Grecją i Rzymem. Z czasem stał się naczelnym krakowskiego środowiska historyków. Pod jego opieką karierę naukową zaczynał m.in. późniejszy profesor Aleksander Krawczuk.

Tom drugi, poświęcony dziejom średniowiecza, również ukazał się po raz pierwszy w 1965 r. Jego autorem był prof. Tadeusz Manteuffel (1902-1970), uczony wywodzący się z rodziny ziemiańskiej niemieckiego pochodzenia, od kilku wieków mieszkającej w tzw. Inflantach Polskich, która w czasach zaborów otrzymała tytuł baronowski. Tam też – w łotewskiej dziś Rzeżycy – urodził się przyszły uczony; maturę zdał już w Warszawie, tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jako student Uniwersytetu Warszawskiego w 1920 r. walczył jako ochotnik na wojnie z bolszewikami i w obronie Warszawy stracił prawą rękę. Nie utrudniło to jednak jego kariery naukowej: po uzyskaniu doktoratu w 1924 r. wyjeżdżał na stypendia do Europy Zachodniej, zwłaszcza do Francji, co wiązało się z jego zainteresowaniami naukowymi dotyczącymi dziejów państwa Franków.

W czasie okupacji należał do Armii Krajowej i działał w strukturach Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, które skupiało wielu wybitnych historyków. Już we wrześniu 1945 r. wrócił na uniwersytet, zostając

na 10 lat kierownikiem Instytutu Historycznego UW. Pełnił też funkcje dziekana Wydziału Humanistycznego i prorektora stołecznej uczelni. W 1953 r. został pierwszym dyrektorem Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, utworzonego w ramach stalinowskiej reformy nauki, i zajmował to stanowisko aż do śmierci (obecnie instytut nosi jego imię). W IH PAN Manteuffel zatrudniał wielu ludzi usuniętych z uniwersytetów z powodów politycznych, a po 1956 r. zwolnionych z więzień, w tym wielu byłych akowców. Dodajmy, że jeden z jego

Sześciotomowa historia powszechna PWN jest świadectwem ciągłości polskiej kultury oraz pomnikiem „złotego wieku” polskiej nauki historycznej.

braci, malarz i grafik, został zamordowany w Katyniu, drugi zaś był po wojnie czołowym polskim chirurgiem.

Hrabia i piłsudczyk

Kolejny tom z serii podręczników, obejmujący wieki XVI i XVII, wydano po raz pierwszy w 1968 r., a jego autorem był prof. Zbigniew Wójcik (1922-2014), warszawski uczony specjalizujący się w dziejach powstań kościelnych i innych polskich wojen XVII stulecia (napisał też biografie królów Jana Kazimierza i Jana III Sobieskiego oraz syntezę dziejów Rosji w latach 1533-1801). Był synem Walentego Wójcika, legionisty, potem osobistego

ochroniarza Józefa Piłsudskiego, a po śmierci marszałka – twórcy jego muzeum w Sulejówku. Walenty Wójcik zmarł w 1940 r. w Londynie (dokładnie wywiózł najcenniejsze pamiątki po Piłsudskim) wskutek ran odniesionych podczas niemieckiego nalotu. Nic dziwnego, że jego syn przez całe życie uważał się za piłsudczyka, a jako młody człowiek należał do Armii Krajowej. Mimo nieprzychylnego stosunku PRL-owskiej cenzury do jego osoby Zbigniew Wójcik w latach 70. wyjeżdżał jako wykładowca na uniwersytety w USA.

Pisanie tomu czwartego wspomnianej serii, obejmującego wiek XVIII, trwało najdłużej, bo jego autor, prof. Emanuel Rostworowski (1923-1989), potraktował to zadanie wyjątkowo drobiazgowo – zresztą jak wszystko, co robił. Ten krakowski historyk to najmłodszy z trzech synów wybitnego dramaturga o narodowo-katolickich przekonaniach, Karola Huberta Rostworowskiego; jeden z jego braci, Marek, był historykiem sztuki, na początku III RP ministrem kultury, drugi zaś, Jan – poetą, przez wiele lat po wojnie mieszkającym w Londynie. Jako badacz epoki oświecenia prof. Emanuel Rostworowski był uczniem prof. Władysława Konopczyńskiego, twórcy i pierwsze-

go redaktora naczelnego Polskiego Słownika Biograficznego. W 1964 r., 12 lat po śmierci swojego mistrza, sam objął redakcję PSB – z wyboru prof. Manteuffla jako dyrektora IH PAN – i prowadził ją do końca swojego życia, czyli przez ostatnie ćwierćwiecze Polski Ludowej. Za jego czasów ukazało się 21 tomów słownika (z nazwiskami od litery J do R), hasła zaś stały się bardziej szczegółowe, toteż nic dziwnego, że optymistyczne plany Rostworowskiego szybkiego zamknięcia pierwszej serii PSB i rozpoczęcia wydawania drugiej, uaktualnionej, do dziś nie zostały zrealizowane. Co ciekawe, prof. Rostworowski od 1974 r. mieszkał w rodzinnym ►

► dworze w Rybnej pod Krakowem i został pochowany na tamtejszym cmentarzu parafialnym.

Piąty tom serii podręczników akademickich wydany został w 1964 r. i obejmował historię powszechną lat 1789-1870, a jego autorem był ks. prof. Mieczysław Żywczyński (1901-1978). To jeden z nielicznych polskich historyków w sutannach, którzy wyszli poza ściśle kościelną (a zwykle po prostu klerykalną) działalność badawczą. Zresztą zakres zainteresowań tego przedwojennego absolwenta UW, który w 1933 r. napisał świetny doktorat o stosunku papieżstwa do powstania listopadowego, a po wojnie został wykładowcą KUL, był niezwykle obszerny: od dziejów wczesnego chrześcijaństwa, poprzez średniowiecze, po rewolucję francuską i nowożytną historię Włoch. Był przy tym ks. Żywczyński duchownym akceptującym Polskę Ludową – w pierwszej połowie lat 50. działał w ruchu „księży patriotów”, należąc do Komitetu Intelktualistów i Działaczy Katolickich, utworzonego z inicjatywy lidera PAX Bolesława Piaseckiego.

Pomnik w sześciu tomach

Ostatni tom serii, obejmujący dzieje powszechne od roku 1871 do 1918, wydany został w 1967 r., jego autorem był zaś prof. Janusz Pajewski (1907-2003). Ten uczony, również przedwojenny absolwent UW, w młodości zajmujący się historią XVI w. (nawet i później napisał świetną

książkę o wojnach polsko-tureckich), a podczas okupacji działający w AK i Delegaturze Rządu na Kraj, w 1946 r. związał się z uniwersytetem w Poznaniu. Był pomysłodawcą przyjęcia za patrona tej uczelni Adama Mickiewicza, dzięki czemu uniknięto proponowanych przez władze w okresie stalinizmu patronów jednoznacznych politycznie – Juliana Marchlewskiego lub Marcina Kasprzaka.

Po wojnie prof. Pajewski zmienił też zainteresowania, skupiając się na historii polityczno-dyplomatycznej przełomu XIX i XX w. W jego dorobku znajdują się ważne książki poświęcone imperializmowi niemieckiemu tamtych czasów, I wojnie światowej i polskim drogą do Niepodległej (na 60-lecie odzyskania niepodległości w 1978 r. ukazała się jego świetna praca „Odbudowa państwa polskiego 1914-1918”), natomiast pod koniec życia skupił się na dziejach II Rzeczypospolitej, którą zresztą wspominał z wielkim sentymentem.

Jako nestor poznańskich historyków Janusz Pajewski wychował całą plejadę znakomitych uczniów, szczególnie Niemczowców, takich jak prof. Antoni Czubiński, prof. Jerzy Krasuski czy działający do dziś prof. Waldemar Łazuga.

Dlaczego warto przypominać życiorysy autorów tej sześciotomowej serii? Ponieważ stanowią doskonałą ilustrację losów polskiej elity intelektualnej w czasach PRL. I to elity humanistycznej, czyli teoretycznie najbardziej narażonej na presję polityczną i ideologiczną pod rządami PZPR. A jednak

powojenne kariery tych uczonych przeczą stereotypom głoszonym przez dzisiejszy prymitywny antykomunizm. Powierzono im bowiem napisanie najważniejszej w powojennej Polsce serii podręczników, na której miały się wychować kolejne pokolenia absolwentów studiów historycznych. A przecież żaden z tych sześciu autorów nie należał do partii ani nawet nie miał związków rodzinnych z szeroko rozumianą lewicą! Część z nich w czasie wojny należała do AK, część wywodziła się z rodzin pochodzenia szlacheckiego, które wszak nie mogły bezkrytycznie przyjmować powojennej rzeczywistości. Nie było wśród nich wrogów Kościoła, za to prawie wszyscy byli praktykującymi katolikami (oprócz prof. Manteuffla, którego młodzieńcza religijność ewoluowała potem w kierunku agnostycyzmu), a jeden nawet księdzem.

Coś takiego nie byłoby możliwe w ZSRR ani w żadnym innym kraju „demokracji ludowej”. Taka sytuacja mogła się zdarzyć tylko w Polsce, która mimo uzależnienia od Moskwy pozostała państwem polskim i ojczyzną narodu posiadającego własne, samodzielnie myślące elity – nie tylko te cudem ocalone z wojennej pożogi, lecz także nowe, kształtowane przez dawnych mistrzów. Sześciotomowa historia powszechna PWN jest wspaniałym świadectwem ciągłości polskiej kultury, jak również pomnikiem „złotego wieku” polskiej nauki historycznej, która dzisiaj niestety zeszała na manowce.

Paweł Siergiejczyk

**POLECAMY
NASZĄ SERIĘ
HISTORIA
BEZ IPN**

**Książki dostępne
jako E-BOOKI**

Kupuj szybko i wygodnie na sklep.tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Niepotrzebna była niezwykle przenikliwość ani wielka wyobraźnia, by przewidzieć, że Donald Trump swoim mózgowym chaosem będzie ogniskował na sobie uwagę, zaburzał nasze, nawet to powierzchowne, rozumienie świata. Ale nawet spodziewając się tego, możemy być odurzeni tempem, intensywnością i rozmachem demolki, którą funduje współczesności. Marnym pocieszeniem jest fakt, że to prezydent USA, a nie stanów zjednoczonych globu, bo siła rażenia z miejsca, które zajmuje, ma jądrową moc. Równocześnie oglądamy spektakl bezradnościowych prób racjonalizowania tej stukierunkowej szamotaniny, mającej na celu uznanie siły za polityczny przymiot.

Z drugiej strony w interesującym dokumencie filmowym Dana Partlanda „Szaleństwa Donalda Trumpa” naukowcy, psycholodzy, psychiatry, spece od politycznego PR walą wprost za Erichem Frommem: „Trump to

w czystej postaci lub skrajne manipulacje. On sam nie toleruje żadnej krytyki ani różnicy zdań na temat podejmowanych przez siebie decyzji – dla oponentów oznacza to polityczną śmierć.

Jednym z najciekawszych pytań jest to, jak światowa klasa polityczna, w szczególności europejska, poradzi sobie z tym gorącym kartoflem globalnego imperium w stanie schyłku. Nie wzbudziło specjalnego zainteresowania polskich mediów niedawne (19 lutego) wystąpienie w Parlamencie Europejskim Jeffreya Sachsa. Ten doradca ekonomiczny rządów w Ameryce Łacińskiej, krajach Europy Środkowo-Wschodniej, byłego ZSRR, Azji i Afryki, jeden z ojców patronów polskiej transformacji neoliberalnej po 1989 r., wylał kubek zimnej wody na audytorium, nazywając z porażającą bezpośredniością naturę amerykańskiej polityki wobec świata. Stwierdził m.in.: „W moim rozumieniu wydarzeń, które miały miejsce w Europie

Trumpolityka

człowiek socjopata, złośliwy narcyz, pozbawiony empatii, rozkochany w sobie samym, sam ze sobą naradzający się w istotnych sprawach, istota mściwa, pamiętliwa, nie bez rysów sadyzmu, interesowna do bólu, patologicznie inteligentna, choć skrajnie manipulatorska, przekonana o swojej wielkości i całkowitej bezkarności”.

Jest w tej opowieści także epizodyczny wątek, w którym dziennikarz i pisarz sportowy, komentator i znawca golfa analizuje ten obszar aktywności Trumpa. Obecny prezydent USA, właściciel pól golfowych, patologicznie oszukuje w tej dyscyplinie, tak naprawdę nienadzorowanej przez sędziów ani jakieś inne VAR-y. Przesuwa znaczniki pozycji piłki golfowej na ostatnim odcinku przed dotknięciem, a kiedy wbija piłkę do jeziora, każe pomocnikowi jak gdyby nigdy nic podrzucić inną na łąd. Oszukiwał nawet wtedy, gdy grał z Tigerem Woodsem, co wydaje się trudne do wyobrażenia. Przechwala się i dokumentuje sukcesy w turniejach, w których był jedynym startującym albo akurat druga zawodniczka, jego żona Melania, miała gorszy dzień i przegrała.

I ktoś taki, nieuleczalny oszust, trzyma pieczę nad armią z arsenałem jądrowym. No cóż – może. Dzisiejsza demokracja nie wypracowała systemu weryfikacji takich kandydatów. Trump nie przeszedłby testów uprawniających do prowadzenia ciężarówki wojskowej, ale wcisnąć przycisk do odpalenia bomby może już bez najmniejszego problemu.

W filmie wybrzmiewa fraza, że Trump jest najlepiej udokumentowanym kłamcą w historii świata – ok. 15 tys. jego wypowiedzi publicznych to kłamstwa

w różnych kontekstach, i włączam do tego nie tylko kryzys ukraiński, ale również Serbię w 1999 r., wojny na Bliskim Wschodzie, w tym w Iraku i Syrii, wojny w Afryce, w tym w Sudanie, Somalii i Libii (...), w ogromnej mierze – pewnie was to zdziwi i będzie przyczynkiem do oskarżenia mnie za to, co powiem – są to wojny, które to Stany Zjednoczone prowadziły i wywołały. I tak jest od ponad 30 lat. Stany Zjednoczone doszły do wniosku, zwłaszcza w latach 1990-1991, a potem wraz z końcem Związku Radzieckiego, że teraz to one kierują światem i że nie muszą uwzględniać czyichkolwiek punktów widzenia, czerwonych linii, ważnych spraw, kwestii bezpieczeństwa, międzynarodowych zobowiązań ani ram określonych przez ONZ”. I dalej: „Trump nie chce stać na przegranej pozycji. Dlatego właśnie jest bardziej prawdopodobne niż nieprawdopodobne, że ta wojna zakończy się, bo Trump i prezydent Putin zgodzą się ją zakończyć. Jeśli Europa będzie nadal podżęgać do wojny, nie ma to znaczenia. Wojna się kończy. Stany Zjednoczone kompletnie złożyły swoją politykę zagraniczną w ręce Netanjahu jakieś 30 lat temu. Izraelskie lobby zdominowało amerykańską politykę”. I na koniec: „Chiny nie są wrogiem. Chiny to historia sukcesu. Dlatego właśnie są uważane przez Stany Zjednoczone za wroga, bo gospodarka chińska jest większa od amerykańskiej”*.

Trump wszedł do naszych głów na cztery lata – co najmniej – na każdy dzień i każdą noc. Patrzmy, co z tego rozumieją polscy i europejscy politycy. Od tego może zależeć nasze być albo nie być.

* Fragmenty wystąpienia J. Sachsa w tłumaczeniu Beaty Geppert.

Prof. Henryk Skarżyński

Zdrowie publiczne to sprawa nie tylko medyków. Potrafimy podzielić się wiedzą

Robert Walenciak

W tym działaniu widać zamysł i to się rozwija. W 2019 r. prof. Henryk Skarżyński wraz z grupą wybitnych specjalistów z zakresu medycyny i nauki zainicjował Kongres „Zdrowie Polaków”. W listopadzie ub.r. odbyła się szósta edycja, a 3 marca w Senacie RP przedstawiono rekomendacje grup roboczych i wręczono nagrody w konkursie „Perspektywy Medycyny”. Spotkaniu patronowały Beata Małecko-Libera, przewodnicząca senackiej Komisji Zdrowia, i Monika Wielichowska, wicemarszałkini Sejmu.

Kongres to wielkie spotkanie dotyczące najważniejszych problemów ochrony zdrowia, osiągnięć medycyny i nauki. Uczestniczą w nim wybitni eksperci, a także przedstawiciele świata polityki, samorządów, edukacji, kultury i mediów. To 13 debat plenarnych, 56 wykładów ekspertów, 300 czynnych moderatorów i panelistów.

Jaki jest cel kongresu? „Chcemy w sposób przyjazny, bez obaw, że ktoś jest z takiej czy innej strony świata politycznego, przedyskutować i wypracować wspólne rozwiązania – wyjaśnia prof. Henryk Skarżyński. – To jest nasza siła. Bo zdrowie publiczne to sprawa nas wszystkich, nie tylko medyków. Chcemy też, jako środowisko, wziąć odpowiedzialność za wdrożenie proponowanych rozwiązań, nie chcemy podrzucać ich innym. Zależy nam również, by pokazać nasze sukcesy.

Ich prezentacja ma wielką siłę – zachęca innych, buduje dobrą atmosferę, integruje środowisko. A ono chce być zrozumiane i docenione”.

Debaty mają ciąg dalszy. Na ich podstawie tworzone są rekomendacje przedstawiane ministrowi zdrowia. W ten sposób politycy otrzymują gotowe plany działania i partnera, z którym mogą te plany korygować. Tę sytuację dobrze wyczuła obecna na spotkaniu w Senacie minister zdrowia Izabela Leszczyna. „Panie profesorze, dziękuję za kongres! Dziękuję za wszystko, co pan robi!”, mówiła.

Rekomendacje prezentowane w Senacie

Rekomendacja I: Profilaktyka kluczowa w budowaniu bezpieczeństwa zdrowotnego w Polsce i Europie.

Prezentował ją dr hab. Dominik Olejniczak (Warszawski Uniwersytet Medyczny), który zwrócił uwagę na trzy elementy. Po pierwsze, przedmiot edukacja zdrowotna powinien być obowiązkowy, a nie do wyboru. Po drugie, promowanie profilaktyki zdrowotnej oznacza zwiększenie udziału populacji w badaniach przesiewowych, zwłaszcza pod kątem nowotworów (np. raka piersi, prostaty, płuca), aby skutecznie zapobiegać i wcześniej wykrywać choroby. Po trzecie, programy profilaktyczne powinny być „szyte na miarę”, opierać się na analizie potrzeb poszczególnych społeczeństw oraz chęci udziału w nich.

Musimy mieć też świadomość, że większe inwestycje w profilaktykę zdrowotną mogą się przyczynić do odwrócenia piramidy świadczeń oraz zmniejszenia kosztów leczenia i hospitalizacji.

Rekomendacja II: Wdrożenie narodowej, wielosektorowej, wieloletniej strategii ochrony zdrowia komunikacyjnego.

Prezentował ją prof. Henryk Skarżyński: „Rekomendujemy objęcie ogólnopolskim programem badań słuchu wszystkich dzieci rozpoczynających naukę w szkole. Dodatkowo zasadne jest uzupełnienie takiego programu o badania pod kątem trudności rozwojowych i edukacyjnych, w tym dysleksji rozwojowej. Rekomendujemy również rozwój nowoczesnych metod diagnostyki, treningu słuchowego, rehabilitacji niedosłuchu i innych opartych na virtualnej rzeczywistości”.

Rekomendacja III: Rozwój sztucznej inteligencji tak, ale pod kontrolą człowieka.

To zagadnienie przedstawiał dr Maciej Kawecki, popularyzator nauki, prezes Instytutu Polska Przyszłości im. Stanisława Lema, który zaapelował: „Sztuczna inteligencja (AI) zrewolucjonizuje medycynę. Warto, byśmy się postarali, żeby narzędzia AI w obszarze medycyny rozwijały się w Polsce. Mamy tu przełomowe polskie osiągnięcia, ale one nie rozwijają się w naszym kraju. Tworzą je Polacy, ale na zachodnich uniwersytetach. Przykładów mógłbym wymienić wiele...”. Jak to zmienić?



Od lewej: Monika Wielichowska, wicemarszałkini Sejmu, Beata Małecka-Libera, przewodnicząca senackiej Komisji Zdrowia, prof. Henryk Skarżyński oraz laureatki i laureaci konkursu „Perspektywy Medycyny”. Warszawa, 3 marca 2025 r.

Rekomendacja IV: Interdyscyplinarność warunkiem postępu w nauce.

Prof. Piotr Kryst, dyrektor Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, rekomendował zacieśnianie współpracy pomiędzy uczelniami medycznymi, technicznymi, przyrodniczymi, a także ekonomicznymi i humanistycznymi. „Wykorzystanie sztucznej inteligencji, robotyki oraz zaawansowanych metod diagnostycznych stanowi przyszłość medycyny, dlatego współpraca lekarzy i inżynierów staje się niezbędna w codziennej pracy”, mówił, dodając, że sama medycyna nie przyczynia się aż tak do wydłużenia życia jak profilaktyka. Dlatego promowanie zdrowego stylu życia powinno być priorytetem polityki zdrowotnej.

Rekomendacja V: Konieczne zmiany w organizacji i finansowaniu sieci szpitali i medycznych instytutów badawczych.

Przedstawiał ją Piotr Nowicki, dyrektor Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, który mówił m.in. o konieczności odwrócenia piramidy świadczeń. Czyli o przyjęciu koncepcji, zgodnie z którą większy nacisk należy położyć na rozwój podstawowej

opieki zdrowotnej (POZ), w tym zwiększenie uprawnień lekarzy POZ do zlecania bardziej zaawansowanych badań diagnostycznych, oraz ambulatoryjnej opieki specjalistycznej, co pozwoliłoby odciążyć szpitale. Dopełnieniem tej koncepcji byłaby przebudowa obecnego systemu. Podstawowa opieka zdrowotna oraz ambulatoryjna opieka specjalistyczna powinny stanowić jego fundament, a szpitalnictwo powinno pełnić funkcję komplementarną.

Rekomendacja VI: Skuteczniejsza strategia walki z sepsą – szczepienia, szkolenia, rejestr.

Przedstawiał ją dr Rafał Staszewski, kanclerz Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Przypomniat, że sepsa rozwija się dynamicznie, dlatego wczesna diagnostyka ma w jej przypadku kluczowe znaczenie. „Rekomendujemy także promocję szczepień przeciw meningokokom, pneumokokom czy *Haemophilus influenzae* – wyliczał. – Szczepienia to kluczowy element profilaktyki także w przypadku sepsy. W krajach o wysokiej wyszczepialności liczba przypadków tej choroby jest znacząco niższa. Szczepienia zmniejszają ryzyko sepsy, a jeśli wystąpi, łagodzą jej przebieg”.

Rekomendacja VII: Stworzenie Narodowego Programu Zdrowego Odżywiania.

Mówiła o tym prof. Małgorzata Drywień z SGGW w Warszawie, podkreślając rolę zdrowych nawyków żywieniowych oraz promowania produktów dobrych jakościowo, a także lokalnych. Jednym z punktów Narodowego Programu Zdrowego Żywności powinna również być kampania na rzecz ograniczenia marnotrawstwa żywności.

Rekomendacja VIII: Poprawa kondycji fizycznej i psychicznej dzieci i młodzieży nadrzędnym celem systemu ochrony zdrowia w Polsce.

Prof. Bartosz Molik, rektor Akademii Wychowania Fizycznego, przedstawił niepokojące dane, które pokazują, że polska młodzież tyje najszybciej w Europie. 94% dzieci i młodzieży nie ma fundamentalnych umiejętności ruchowych. Czyli nie wypełnia podstawy programowej wychowania fizycznego. Do tego dochodzą problemy ze zdrowiem psychicznym. Rośnie liczba przypadków samobójczych wśród najmłodszych. W 2020 r. było ich 843. W 2023 r. – aż 2,1 tys. Jak wyjść z tej sytuacji? W dokumentach kongresu czytamy: „Obecny system ochrony zdrowia dzieci wymaga kompleksowej reformy”. Powinna ona zakładać m.in. nowe podejście do zajęć WF, ▶

► dostosowanie zajęć do możliwości uczniów. A także ściślejszą współpracę z rodzicami.

Rekomendacja IX: Wypracowanie kompleksowej polityki senioralnej i budowa zintegrowanego systemu opieki nad osobami starszymi.

Ten wątek prezentował Łukasz Salwarowski, redaktor naczelny „Głosu Seniora”. „Współpracujmy! – zaczął swoje wystąpienie. – 40% seniorów to osoby samotne. A samotność zabija”. Stąd konieczność działań na rzecz aktywizacji seniorów, np. poprzez wypracowanie mechanizmów ułatwiających ich zatrudnianie. A także poprzez usprawnienie systemu opieki długoterminowej. 600 tys. osób w naszym kraju cierpi na zespoły otępienne, a tymi osobami najczęściej opiekują się partnerzy życiowi, którzy są w ich wieku – przypominał Salwarowski. W tym kontekście padł pomysł rozwiązań dotyczących pomocy opiekunom. W wyniku zmian w życiu społecznym obecnie system opieki zdrowotnej zastępuje opiekę rodziny. Dziś rodzina często spycha odpowiedzialność za swoich seniorów na państwo, na samorządy. „Bądźmy solidarni!”, zapelował Łukasz Salwarowski.

Rekomendacja X: Działania osłabiające sceptycyzm szczepionkowy – budowanie zaufania do medyków i ułatwienia dla chętnych do zaszczepienia.

O antyszczepionkowcach i ich rosnących wpływach mówił prof. Michał Wróblewski, zaznaczając, że jest to jedno z kluczowych wyzwań dla zdrowia publicznego. „Rośnie lawinowo liczba odmów szczepień – mówił. – To spektrum pewnych postaw”. Jak sobie z tym radzić? I tłumaczeniem, i poprzez ułatwienia dla tych, którzy chcą się zaszczepić. „Proponujemy ułatwienia, takie jak: stworzenie prostego, przejrzystego i dostępnego powszechnie kalendarza szczepień dla różnych grup wiekowych, stworzenie możliwości szczepień w zakładach pracy i placówkach oświatowych”, czytamy w rekomendacjach.

Rekomendacja XI: Edukacja prozdrowotna i promocja profilaktyki misją mediów nie tylko publicznych.

Przedstawiał ją Robert Walenciak: „Problem współczesnych mediów

polega na tym, że wraz z rozpowszechnieniem internetu i mediów społecznościowych zrównane zostały informacje poważne i absolutnie nieprawdziwe. Mamy więc medialny chaos, w którym nie wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem”. Wybrnąć z tej sytuacji można tylko poprzez oddzielenie tytułów goniących za sensacją od tych przedstawiających informacje rzetelne, oparte na opiniach specjalistów. Dlatego ważna jest ścisła współpraca dziennikarzy z ekspertami, naukowcami i lekarzami.

Po zaprezentowaniu rekomendacji wręczono nagrody kongresu i konkursu „Perspektywy Medycyny”.

Nagrody główne otrzymały:

Izabela Leszczyna, minister zdrowia, oraz **Beata Małecka-Libera**, przewodnicząca Senackiej Komisji Zdrowia.

Laureatami nagród specjalnych zostali: **Czesław Siekierski**, minister rolnictwa i rozwoju wsi; **Katarzyna Kacperczyk**, podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia; **Filip Nowak**, prezes Narodowego Funduszu Zdrowia; **Marcin Wiącek**, rzecznik praw obywatelskich.

Nagrody w poszczególnych kategoriach otrzymali: **Andrzej Szewiński**, poseł, członek Komisji Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki; **Łukasz Pietrzak**, główny inspektor farmaceutyczny; **prof. Bartosz Molik**, rektor Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie; **prof. Michał Zasada**, rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie; **prof. Bolesław Samoliński**, kierownik Katedry Zdrowia Publicznego i Środowiskowego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego; **prof. Barbara Marcinkowska**, rektor Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej; **dr hab. Hubert Makaruk**, prof. AWF, dziekan Wydziału Wychowania Fizycznego i Zdrowia AWF, filia Biała Podlaska; **Marzena Okła-Drewnowicz**, minister ds. polityki senioralnej; **prof. Wojciech Fendler**, prezes Agencji Badań Medycznych; **prof. Ewa Helwich**, konsultant krajowa w dziedzinie neonatologii, Instytut Matki i Dziecka w Warszawie;

dr hab. Agnieszka Kamińska, prof. UKSW, specjalista chorób oczu, retinolog; **prof. Michał Grąt**, konsultant krajowy w dziedzinie transplantologii klinicznej, kierownik Kliniki Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby UCK WUM; **Jerzy Bochyński**, prezes Fundacji Instytutu Studiów Wschodnich, **prof. Piotr H. Skarżyński**, członek Zarządu Światowego Towarzystwa Telemedycyny, wiceprezydent Światowej Grupy HEARING; **dr n. med. Małgorzata Olszewska**, dyrektor Centrum e-Zdrowia; **Zbigniew Derdziuk**, prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych; **dr Andrzej Mądrala**, prezes zarządu Pracodawców Medycyny Prywatnej; **Piotr Nowicki**, dyrektor Instytutu Psychiatrii i Neurologii; **Urszula Jaworska**, prezes Fundacji Urszuli Jaworskiej; **Paweł Majcher**, prezes Polskiego Radia; **Sławomir Majcher**, dyrektor TVP 3; **dr Maciej Kawecki**, dziennikarz i popularyzator nauki, prezes Instytutu Polska Przyszłości im. Stanisława Lema; **Klara Klinger**, redaktor naczelna „Rynku Zdrowia”.

„Przywiązuję ogromną wagę do słowa dziękuję – mówił już po zakończeniu spotkania prof. Henryk Skarżyński. – Ważne są słowa, gesty, które integrują środowisko, kojarzą nas wokół siebie, w sposób przyjazny. Wiele znakomitych osób spotkało się w Senacie. Przyjechali z różnych stron Polski, specjalnie na to wydarzenie. Cieszę się, że tak godnie podsumowaliśmy naszą kongresową pracę. Potrafimy podzielić się wiedzą i sukcesami. Oczywiście mamy świadomość, że nie rozwiążemy wszystkiego, ale jeżeli nie będzie takiego środowiska, nie będzie takiego forum, to nie oczekujemy, że ktoś za nas to robi, i do tego, że robi to jeszcze lepiej. Nie! Cieszę się również, że przy tej okazji mogliśmy wielu zaangażowanym w pomyślność polskiej medycyny ludziom podziękować”.

Robert Walenciak

Wszystkie informacje dotyczące prac kongresu, debaty, dokumenty znajdują się na stronie: kongres-zdrowiepolakow.pl/

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Gęsty czas

Dałem Franiowi stary zegarek mojego ojca. Omegę, cebulę. Przed wojną odmierzał leniwy czas jemu i biednym uczniom w szkołach, bo ojciec był nauczycielem. Zegarek o dużej, okrągłej, białej twarzy chodził z ojcem w czasie wojny, widział tragiczną wędrówkę ludów we wrześniu 1939 r., potem chodził we Lwowie, okupowanym najpierw przez Rosjan, potem przez Niemców. W końcu przemierzał mroki warszawskiej okupacji. Nigdy nie rozmawiałem z ojcem o zegarku. Nie wiem, kiedy przestał go nakręcać i zamienił na zegarek na rękę. Możliwe, że omedze przestało bić serce 80 lat temu, a teraz, proszę, cud – nakręcona ożyła prawie po stuleciu i chodzi punktualnie. Niesamowite.

Franek, nasz 14-latek, szczęśliwy, chce nosić zegarek na łańcuszku. Chłopak modny, tylko markowe ubrania, można zbankrutować. Pewnie ze względu na modę zgodził się na sesję zdjęciową dla „Newsweeka” – mógł się wystroić. To zdjęcia do tekstu o starszych ojcach. Antek za żadne skarby, „nie i już, kropka”. Franek po sesji wpadł w panikę: byle to nie zawisło w internecie, jak będzie w internecie, może zostać wyśmiany przez kolegów. Młodzi śmiertelnie boją się ośmieszenia w sieci. Papieru Franek się nie boi, papier jest dla starców, tam koledzy go nie wypatrzą.

Pozowaliśmy w rękawicach bokserskich, markując walkę. Bałem się, że zdjęcie będzie błazeńskie, ale wyszło świetnie.

Nic w ostatnich latach nie było tak wykomentowane jak rozmowa w Gabinetcie Owalnym w Białym Domu: Trump, Vance i Zełenski. Piszę o tym już tylko z kronikarskiego obowiązku. Byłem przerażony. Pozwolono nam zajrzeć nie tylko do kuchni negocjacji, ale też do toalety. Doszło do słownego mordobicia. A przecież prezydent Ukrainy, który siedział na brzegu wielkiego, żółtego fotela, znalazł się w paszczy lwa. Na dodatek był skazany na angielski, mówi nieźle, ale nie bardzo dobrze. Taka sytuacja językowa też osłabia. Wykazał się więc straceńczą odwagą. Politycy i komentatorzy są zgodni, że czegoś takiego jeszcze nie wiedzieli. Ja miałem dziwne uczucie, że to nie dzieje się naprawdę.

Chamstwo Trumpa i Vance’a było oczywiste. Ale czy Zełenski nie popełnił błędu? Ważyły się losy jego kraju, czy nie powinien zagryźć zębów i pójść na ugodę, w ramach której Amerykanie mieliby dostęp do ukraińskich złóż metali ziem rzadkich? Już to byłoby niepewną gwarancją bezpieczeństwa. Bardzo niepewną. Przecież nawet

nie wiemy, czy Trumpowi naprawdę chodzi o te złoża, czy nie jest to część uzgodnionego z Putinem planu pacyfikacji Ukrainy. Jedno pewne: Trump i Vance zachowywali się wobec gościa jak gangsterzy. I to chamskie żądanie wdzięczności od Ukrainy, biadolenie, jak dużo stracili na tym biznesie, z tym Zełenskim nie da się robić interesów. Żadnej moralności, niech Ukraińcy giną, ważny tylko biznes. I podła дума narcyza. Jakże straszne byłoby Stany, gdyby były tożsame z takim prezydentem.

Piotr Kraśko, którego cenię, miał inne zdanie niż większość komentatorów. Uważał, że Zełenski popełnił błąd, grał za mocno, powinien pójść na kompromis. Spadła na Kraśkę fala niechęci. Nie wolno zabierać błyskotliwemu komentatorowi prawa do takiej opinii. Stoi przecież

**Europa ma bardzo mało czasu, by zmęźnieć.
I nie jest pewne, czy zdąży i czy ma dosyć testosteronu.**

po stronie Ukrainy, jest tylko zwolennikiem innej taktyki. Skala krytyki, z jaką się spotkał, świadczy o tym, jak wielkie są emocje, ile w nas oburzenia i bezradności. Dlatego agresję wywołuje inne zdanie niż to ustalone we wspólnym oburzeniu.

A nasza prawica ma wielki ból głowy. Nie może przecież zachwycać się Putinem, tak jak zachwyca się nim Trump. Pojawia się więc nowa, pokraczna taktyka, czyli atakujemy Zełenskiego. „To głupek”, woła Czarnek. Jest mądry Trump, jest zła Rosja, jest dzielna Ukraina, ale za mało nam wdzięczna, i jej prezydent głupek. Figura, jak napisałem, pokraczna, lecz elektorat PiS też pokraczny, więc tyknie pokrakę. Bardzo bliski duchowo im wszystkim jest ten Trump. Nawet hasło „Make America great again” wydaje się tożsame z pisowskim „wstawianiem z kolan”.

I jak grom bynajmniej nie z jasnego nieba spada wiadomość, że Trump poczuł się tak upokorzony w Gabinetcie Owalnym przez Zełenskiego, że mściwym ruchem jednej ręki wstrzymuje pomoc dla Ukrainy. Mój organizm zareagował na to odruchami wymiotnymi. Europa ma bardzo mało czasu, by zmęźnieć. I nie jest pewne, czy zdąży i czy ma dosyć testosteronu. Trump jest, jak wiadomo, szalony i nieprzewidywalny, więc nawet bym się nie zdziwił, gdyby doprowadził do zgnitego pokoju. Lepszy taki niż żaden. Sam się zdziwiłem własną puentą. ■

Świetny sezon Atlético Madryt

Trzecia siła w drodze po potrójny triumf

Wojciech Kuczek

Nie lubię duopoli. Pytany: „Bach czy Vivaldi?”, odpowiadam: „Scarlati!” (być może za sprawą młodzińskich skojarzeń z libertyńską „Bestią” Waleriana Borowczyka); jak kto mnie pyta: „Morze czy góry?”, szczerze wyznaję, że wolę jaskinie, a w świecie futbolu zagadnięty: „Real czy Barca?”, odpowiadam zgodnie z prawdą: „Atlético!”.

W lidze hiszpańskiej byłem rozmiłowany, jeszcze zanim „Los Colchoneros” stali się jej trzecią siłą, ale od 13 sezonów jestem kibicem zaangażowanym emocjonalnie. Diego Simeone zbudował charakter, wizerunek i potęgę klubu z Madrytu,

z przewagą zawodnika, zwłaszcza że Wojciech Szczęsny w końcu złapał rytm meczowy i znowu sięga wyżyn swojego talentu, na domiar dobrego wciąż pozostając talizmanem klubowym – z nim w bramce Barca jeszcze nie przegrała). Między Liverpooliem a PSG ciągle wszystko możliwe, ale mecz rozczarował, tymczasem derby Madrytu zostały rozegrane na wysokiej intensywności i z całą pewnością zasłużyły na miano spotkania kolejki.

Dla Simeonego stawka jest szczególnie wysoka – jako trener jeszcze nigdy nie wyeliminował Realu w Lidze Mistrzów, przegrywając dwa jej finały w dramatycznych okolicznościach. W 2014 r. jego piłkarze już witali się z gąską, od triumfu

wolał mieć wróbla w garści niż kanarka na dachu, głupia strata gola mogłaby postawić Atlético w arcytrudnej sytuacji – lepiej było zagęścić tyły.

Że nie ma strat nie do odrobienia, „Los Rojiblancos” dowiedli w niedawnym meczu Pucharu Króla, gdzie szalona tej zimy Barcelona pomimo straty dwóch goli na samym początku meczu pod koniec prowadziła już 4:2, by ostatecznie dać sobie wyrwać zwycięstwo w kilka minut. Atlético w tym sezonie gra do końca – w ścisłym sensie, bo wciąż ma szanse na potrójny triumf – w lidze, Pucharze Króla i w Champions League. Kiedy Simeone przejmował drużynę w grudniu 2011 r., La Liga była zdominowana przez rywalizację Barcelony Guardioli i Realu Mourinha – wbić się pomiędzy te legendy nie było łatwo, ale już po dwóch latach „Cholo” wygrał mistrzostwo w myśl zasady „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”. Gwiazdami tamtej ekipy byli twardziele, „żli chłopcy”, bo takich Simeone do drużyny przyciąga. W ataku siał zniszczenie Diego Costa – ponury narwaniec, którego obrońcy się bali, bo oprócz rekordów strzeleckich bił rekordy w faulach ofensywnych. Obroną dyrygował urugwajski zakapior Diego Godin, liderem środka pola był kapitan Koke (do dziś grająca legenda Atlético, całe życie w jednym klubie), na bramce stał dzisiejszy realista Thibaut Courtois, który po przejściu do odwiecznego rywala został przez fanów przechrzczony na „Ratoisa” – sam widziałem transparenty z jego „szczurzą” podobizną (dla fanów Atleti zdradził, uciekł jak szczur). Drugie mistrzostwo z 2021 r. było już zasługą Jana Oblaka w bramce, do dzisiaj niepodważalnego numeru jeden w klubie, do defensywy dołączył czarnogórski zabijaka Stefan Savić, na gwiazdę środka pola wyrósł Saúl, w ataku rządził Antoine Griezmann,

Impulsywny coach Atlético stworzył mit drużyny boiskowych awanturników – sam jest najczęściej wyrzucanym na trybuny trenerem, a jego piłkarze najczęściej karani czerwienią.

obecnie jest rekordzistą stażu w topowych ligach Europy i choć do wyniku Alexa Fergusona, który trenował Manchester United 26 lat, jeszcze mu sporo brakuje, wydaje się jedynym realnym kandydatem do pobicia tego wyniku.

Spośród par jednej ósmej Ligi Mistrzów, których rewanżowe mecze będziemy oglądać w tym tygodniu, najbardziej frapujące było zestawienie odwiecznych rywali z Madrytu. Mecz nie zawiódł – padły trzy nieziemskiej urody gole, starcie było wyrównane, a kwestia awansu pozostała otwarta. W niemal wszystkich pozostałych meczach sprawa jest już załatwiona (PSV Eindhoven zdołało nawet w roli gospodarza dostać historyczne baty, przegrywając z Arsenalem 1:7) albo niemal rozstrzygnięta (próżno mniemać, że Benfica zdoła odrobić straty na wyjeździe, skoro poległa z Barceloną, grając u siebie

w Champions League dzieliły ich sekundy, ale stracili zwycięstwo w doliczonym czasie gry (za sprawą główki Sergia Ramosa), a potem rozsypali się mentalnie w dogrywce i przegrali ostatecznie 1:4. Dwa lata później musieli uznać wyższość rywali zza między dopiero w rzutach karnych, kiedy Jan Oblak, mistrz gry na linii i bramkarskiej intuicji, stracił głowę w najważniejszym momencie. Nie ruszył się nawet przy żadnej z jedenastek, odgrywając rolę trzeciego słupka, choć co najmniej połowa strzałów była teoretycznie do wybronienia.

W miniony wtorek pod koniec meczu przy stanie 1:2 Simeone zdjął nawet napastnika Griezmana, aby wpuścić obrońcę Le Normanda. Być może to pokłosie traum z dwóch przegranych finałów – trener wiedział, że jednobramkowa porażka z Realem na wyjeździe jest wynikiem jak najbardziej do odrobienia,



Napastnik Realu Kylian Mbappé wzięty w dwa ognie, między bramkarzem Atlético Janem Oblakiem a stoperem José Giménezem podczas pierwszego meczu jednej ósmej finału Ligi Mistrzów na stadionie Santiago Bernabéu. 4 marca 2025 r.

dzisiaj znowu lider zespołu po powrocie z epizodu barcelońskiego.

Styl drużyny Simeonego cechuje wysoki pressing, intensywność na granicy agresji i gry faul, oraz wiodąca rola defensywy. Chcąc stać się trzecią siłą hiszpańskiej piłki z ambicjami na mistrzostwo, podopieczni „Cholo” musieli dostosować styl gry do dwóch głównych rywali (w Hiszpanii nikt spoza wielkiej trójki Real-Barca-Atleti nie zdobył mistrzostwa od 21 lat). Na barcelońskich czarodziejów techniki i na potencjał madryckich gwiazd można było odpowiedzieć tylko żelazną dyscypliną w defensywie i brutalną siłą, a także opanować do perfekcji naukę gry pod presją, wyprowadzania piłki do kontrataków. Impulsywny coach Atlético stworzył w ciągu kilkunastu lat mit drużyny boiskowych awanturników, sam jest najczęściej wyrzucanym na trybuny trenerem, a jego piłkarze najczęściej karani czerwienią. Simeone ceni graczy z charakterem, którzy nadrabiają braki techniczne cechami wolicjonalnymi. Nie ma u niego artystów, są zawzięci wyrobnicy, nie

ma liderów, jest siła drużyny. U niego z piłką się nie tańczy, tylko się ją kopie. Jest już dziś Simeone w Madrycie postacią pomnikową, bo jako jedyny zdobył mistrzostwo Hiszpanii zarówno jako gracz, jak i trener, ale wciąż jego niespełnionym marzeniem i celem pozostaje najważniejszy klubowy puchar w Europie. Na drodze znowu stoi Real, w środę rzecz się rozstrzygnie. Być może z dużym udziałem Latynosów, bo Argentyńczyk Simeone niezmiennie nawiązuje do mniej znanego przodka Atlético, który nadano klubowi w latach 70., kiedy o obliczu „Los Indios” decydowali przybysze z Ameryki Południowej.

Podobnie jest teraz: w drużynie rządzą mistrz świata Julián Álvarez, który kropnął precyzyjnej urody gola w miniony wtorek, zawiązując piłkę przy długim słupku z niełatwej pozycji, w środku pola czaruje inny rodak trenera, Rodrigo De Paul, a tyły czyści stoper reprezentacji Urugwaju José María Giménez.

Diego Simeone ma dwóch synów: Giovanniego i Giuliana – ten pierwszy nigdy nie grał u ojca, teraz jest napastnikiem Napoli, drugi

rozвивa się w Atlético pod ojcowską pieczęcią i wyrasta na kąśliwego, dynamicznego skrzydłowego. „Cholo” już jest najbardziej spełnionym trenerem w dziejach klubu i jedną z legend europejskiej piłki.

I pomyśleć, że w 2010 r. miał zostać trenerem... Wisły Kraków. Po tym jak zrezygnował z jej prowadzenia Henryk Kasperczak (pucharową porażkę z azerskim Karabachem Agdam uznał za kompromitującą, a przeciwko później Azerowie byli jeszcze koszmarem Lecha, Legii i Piasta Gliwice, dopiero Raków zdołał ich ograć przed dwoma laty), szukano pod Wawelem szkoleniowca z zagranicy.

Simeone zapamiętał Kraków jeszcze jako pomocnik rzymskiego Lazio, które prowadziło wyrównany bój w pucharowym dwumeczu i wygrało awans jedną bramką w 2003 r. w Pucharze UEFA. „Cholo” był już blisko trenerskiego kontraktu, ale jako perfekcjonista uznał, że infrastruktura Białej Gwiazdy szwankuje (nowy stadion nie został jeszcze oddany do użytku, a cały wcześniejszy sezon Wisła z powodu remontu grała w Sosnowcu).

Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy

W polskim kinie rzadko stawia się w centrum braci i siostry, a rodzeństwo jest świetnym bohaterem, bo bywa bardzo konfliktowe

Rozmawia Wojciech Tutaj

Wyjechałaś z mniejszego miasta do Warszawy, tak jak Ola, główna bohaterka „Innego końca nie będzie”. Trudno było się przebić w stolicy i oswoić z nową rzeczywistością?

– Na pewno pomogło to, że od razu trafiłam do wąskiego środowiska filmowego. Jako młody filmowiec szybko stykasz się z innymi, bardziej doświadczonymi twórcami. Z jednej strony, przez kilka lat się studiuję, buduję grupę znajomych i szuka swoich ścieżek w dużym mieście, więc adaptacja przebiega łatwo. Z drugiej, utrudnieniem był fakt, że nie pochodzę z filmowej rodziny i nie znałam nikogo z tego środowiska. Świat kina długo wydawał mi się odległy, wręcz nieosiągalny. Wahałam się, czy mam szansę w tej branży. Wychowałam się jednak w miłości do książek, od których niedaleko do kina. Trudniejszy moment nastąpił dopiero po wyjściu ze szkoły filmowej, gdy trzeba było odnaleźć się w rzeczywistości. Musiałam się zorientować, czy warto zostać w branży i czekać, aż pomysły zmaterializują się kiedyś na ekranie.

Wierzysz, że cały czas ponosimy cenę za awans społeczny i przeprowadzkę z mniejszych miejscowości do centrum?

– Myślę, że każde dziecko, które wyprowadza się z domu rodzinnego, w jakimś sensie kończy swoje dzieciństwo. Odcinamy się wtedy od uczucia, że nasz pokój będzie zawsze naszym pokojem. Zaraz stanie się przechowalnią rzeczy, pralnią albo sypialnią cioci, która coraz częściej przyjeżdża w odwiedziny. Sprowadzam to do małego przykładu, ale nagle przestajemy być dzieckiem z danego miasta i nie wiemy, co się dzieje w naszej



MONIKA MAJOREK

– reżyserka i scenarzystka filmowa

miejscowości. Zarazem jeszcze nie przynależymy w pełni do nowych realiów. Jest taki etap w życiu, gdy stajemy się symbolicznie bezdomni, znajdujemy się pomiędzy światami. Bardzo lubię też określenie „słóik” i ciepło o nim myślę. Jako osoba przyjezdna sama miałam marzenie zawodowe i poczucie, że dopóki go nie spełnię, to nie chcę wracać.

Niedawno zmarł Marcin Wicha, a alternatywny tytuł twojego filmu mógłby brzmieć: „Rzeczy, których

nie wyrzuciliśmy”. Miałas jego prozę z tyłu głowy, pisząc scenariusz? Trzymasz rzeczy, których wartość jest czysto sentymentalna?

– Uzmystawiasz mi, ile tych rzeczy mam. Przeprowadzka do Warszawy nie była moją pierwszą, wcześniej wyjechałam na studia do Wrocławia. Kolekcjonuję przedmioty z przeszłości, choć ograniczona przestrzeń mieszkania sprawia, że nie mam ich zbyt wiele. To nie są wyjątkowe skarby, np. talerz, z którego zawsze

jadłam jako dziecko. Dalej lubię na nim zjeść coś specjalnego. Nieważne, że nie pasuje do zastawy.

Wracając do filmu, myślę, że rzeczy niosą niesamowity ładunek sentymentalny i terapeutyczny, dają ogromny spokój. Może trochę fantazjuję, ale napicie się w trudny dzień z konkretnego kubka, z którego w dzieciństwie piło się ciepłe kakao, ma duże znaczenie. Pamiątki są niemal jak duchy, które przypominają nam o zmarłych osobach. Przywracają nam nie tylko obraz bliskich, ale także związane z nimi scenki, słowa i małe kłótnie. Działają trochę jak oglądanie kasety VHS. Proza Wichy niewątpliwie na mnie wpłynęła, również „Taśmy rodzinne” Macieja Marcisza. Czytałam też różne reportaże, więc krążyło wokół mnie dużo inspiracji.

Oglądając stare filmy i zdjęcia rodzinne, czujesz się jak na seansie spirytystycznym?

– Teraz patrzę na nie bardziej sentymentalnie. W tych obrazach kryje się oczywiście pierwiastek melancholii, ale pamiętam, że jako nastolatka czułam raczej żałoszowanie, widząc, że na starych nagraniach mówię dziwnym głosem lub strasznie fałszuję. Dziś myślę: „Jak dobrze, że ktoś postawił wtedy kamerę w domu” lub „Jak fajnie, że złapali ten moment”. Pisząc scenariusz do „Innego końca nie będzie”, chciałam, żeby był o naszej wybiórczej pamięci. Czasem jesteśmy świadkami jednego wydarzenia, ale każdy pamięta je inaczej. Potem oglądamy kasety VHS i prawda wygląda jeszcze ciekawiej. Mamy wtedy poczucie, że głowa trochę nas oszukuje.

W filmie oglądamy nagrania VHS, które pokazują przeszłość Oli i jej krewnych. Inspirowałaś się rodzinnymi kasetami?

– Inspirowałam się raczej faktem, że w moim życiu były podobne nagrania, bo jestem dzieckiem lat 90. Pamiętam wspólne seanse, przy których się bawiliśmy lub kłóciliśmy. Kamera zwykle towarzyszyła rodzinnym świętom, więc filmy miały raczej uroczysty charakter. Ujęcia z domowej kamery przysły do mnie, gdy wymyśliłam, że celem głównej



Innego końca nie będzie

bohaterki będzie desperacka próba zatrzymania przeszłości. Ola wpada na pomysł odtworzenia starych zdjęć. Chce stanąć z rodzeństwem w tych samych pozach, strojach i na tym samym tle. Sprawdza, czy da się zrekonstruować dawne okoliczności, a robi to intuicyjnie, choć zawodowo zajmuje się fotografią. Ten pomysł skłonił mnie do myślenia, że powinienam uczynić z nagrań rodzinnych oś narracyjną. One pozwalają zobaczyć, jaka była filmowa rodzina przed wielką tragedią, jak układały się relacje i kto był spoiwem. Dzięki temu zabiegowi formalnemu mogłam uniknąć retrospekcji i zbędnych wyjaśnień. Nie chciałam również stylizować ujęć ani używać efektów specjalnych, kręciliśmy prawdziwymi kamerami z lat 90. i zerowych.

Monika Majorek – (ur. w 1991 r.) ukończyła reżyserię w Warszawskiej Szkole Filmowej oraz kursy w StoryLab.pro, Sundance Collab i Raindance Film Academy. Jej krótkie metraże były pokazywane i nagradzane na międzynarodowych festiwalach. Za pełnometrażowy debiut „Innego końca nie będzie” otrzymała Nagrodę Publiczności na Warszawskim Festiwalu Filmowym. Film zakwalifikował się do konkursu Perspektywy na PFF w Gdyni.

Ciekawie pokazujesz dynamikę rodzinną, zwłaszcza stosunki między rodzeństwem.

– Już w szkole filmowej chciałam, żeby mój pełnometrażowy debiut opowiadał o więzi rodzeństwa. Nie znam zbyt wielu takich filmów, a w polskim kinie rzadko stawia się w centrum braci i siostry. Sama wychowywałam się jako jedna z trójki rodzeństwa, więc znam dynamikę rozkładania racji w stosunku 2:1. Zakochałam się także w szeroko rozumianej twórczości braci Duplass, wszechstronnych filmowców. Ich dzieła wyszły od opowiadania o relacji rodzeństwa, dużo też występowali w podobnych filmach.

Bardzo lubię lekkość i burzliwą zmianę emocji w rodzeństwie – przeskoki od miłości do nienawiści i od zazdrości do przyjaźni. Dużo się tam dzieje i chyba tylko na początku związku romantycznego pojawia się taka amplituda. Rodzeństwo jest więc świetnym bohaterem, bo bywa bardzo konfliktowe. A jeśli dyskusja dotyczy wspólnej racji i sytuacji rodzinnej, wystarczy postawić kamerę i zobaczyć, jak sobie skacze do oczu.

Mój pomysł niósł również duże wyzwanie castingowe. Jednym z założeń było obsadzenie filmu relacjami, czyli poszukanie duetów, co skończyło się aż dwuletnim kompletowaniem obsady.

Opowiadasz o przepracowywaniu żałoby, co jest trudnym i długim procesem. Zgłębiałaś ten temat głównie od strony psychologicznej?

– Chciałam oddać szacunek żałobie, która jest czasem granicznym. Jesteśmy wtedy maksymalnie wrażliwi wobec świata, przestajemy udawać, że mamy pancerz społeczny i dbamy o drugą osobę. Bohaterowie „Innego końca nie będzie” przechodzą bardzo skomplikowany typ żałoby po odejściu rodzica, więc postanowiłam zagłębić się w teksty psychologiczne. Po części dlatego scenariusz powstawał tak długo. Dłużył się proces budowania tej struktury i dochodzenia do prawdy, jak różne odcienie żałoby mogą istnieć w jednym domu i jednej rodzinie. Co się dzieje, gdy nie mówi się o emocjach, a drugi rodzic chce za wszelką cenę ▶

► ruszyć dalej? Co, jeśli – w tym przypadku matka – nie dostaje pomocy, a wyraźnie jej potrzebuje? I zostawia prawie dorosłe dzieci, żeby ułożyły emocje w swoich głowach, bo darzy je ogromnym zaufaniem. Nie pokuszę się o stwierdzenie, że mój film do końca eksploruje tę kwestię, raczej delikatnie je porusza.

W filmie jest jednak odrobina światła.

– Finał wypełnia nadzieja, ale z życia wiemy, że ten temat nie jest skończony. Bohaterowie zawsze będą się zastanawiać, jak potoczyłoby się ich życie, gdyby tego tragicznego epizodu nie było. Miałam też potrzebę oddania hołdu konkretnemu momentowi w życiu, bo czasem koniec dzieciństwa jest druzgocący. Staramy się wtedy desperacko czegoś lub kogoś złapać, żeby sobie poradzić. Dużą część pisania tej historii pochłonęło myślenie, co zrobić, żeby tak ciężki wątek nie zaowocował kinem depresyjnym. Film przedstawia trudny etap życiowy, ale ma delikatny humor, ciepło i miły sentymentalizm, który raczej koi. Tym charakteryzują się dobre amerykańskie dramaty niezależne – sprawiają, że traktujesz historię poważnie i jednocześnie często się uśmiechasz.

Uważasz, że kino ma moc odczarowywania rzeczywistości także dla twórców, że leczy ich dusze?

– Myślę, że od leczenia duszy są rozmowy i szeroko rozumiana terapia. W pracy reżyserki nie doświadczyłam jeszcze czegoś podobnego. Warto pamiętać, że robienie kina jest po prostu fizycznym, codziennym, wielogodzinnym zajęciem. Co innego pisanie scenariusza, zwłaszcza gdy to nieśpieszny proces. Ono już częściowo spełnia funkcję terapeutyczną. Na pewno pisanie „Innego końca nie będzie” wzbogaciło mnie o nowe perspektywy i przeżycia. Jeśli natomiast zasiadam w sali kinowej jako widz, to zdecydowanie czuję, że kino jest nadrzędnym medium dającym ukojenie. W jakkolwiek trudnym momencie życia się znajduję, gdy pójdę na film, zawsze dostanę w zamian coś, co mi pomoże.

Portretujesz polską prowincję znacznie czulej i subtelniej niż Wojciech Smarzowski czy Małgorzata Szumowska.

– Zastanawiam się, czy w ogóle myślałam o tym, jak chcę ukazać prowincję. Sama z niej pochodzę, a przez lata mieszkalam w różnych miastach i mam wrażenie, że aż tak bardzo się nie różniły. Po prostu mamy inne widoki za oknem, lecz rodzina w mniejszej i większej miejscowości potrafi być taka sama. Specyfika naszych postaw zależy bardziej od statusu społecznego

i ekonomicznego, ale zarówno na wsi, jak i w mieście istnieją duże różnice i podziały. Umieszczenie historii Oli i jej rodziny akurat w tych lokalizacjach wynikało z faktu, że zależało mi na pokazaniu gór. Natura nie zawsze może nam pomagać, czasem bywa źródłem samotności. Do tego potrzebowałam kontrastu z dużym miastem i stwierdziłam, że główna bohaterka musiała się przeprowadzić do stolicy. Nie zadawałam sobie jednak pytań, czy portretować polską wieś przaśnie. Znam przecież zupełnie inny jej obraz, a realizując przez lata krótkie metraże, zawsze wyjeżdżałam poza Warszawę, w rozmaite regiony Polski.

Co cię najbardziej zaskoczyło w pracy z tak doświadczonymi aktorami jak Bartłomiej Topa, Agata Kulesza czy Maja Pankiewicz?

– To, jak szybko mogłam się przy nich poczuć bezpiecznie i komfortowo. Czułam, że rozmawiam z ludźmi, w których kipi czysty talent i którym wystarczy pokazać kilka kartek scenariusza, by zacząć rozmowę na wysokim poziomie. Nie wydawało mi się to wcale oczywiste, bo jako debiutanci jesteśmy strasznie aktorami, zwłaszcza z dużym dorobkiem. Strach przed autorytetami jest chyba pozostałością po edukacji szkolnej w Polsce. Miałam stres przy samym castingu, zastanawiałam się, czy znajdę dobry sposób komunikacji z każdym aktorem, ale gdy wchodziłam na plan, cieszyłam się, że oddaję swoje postacie w ręce tak doskonałej obsady.

Aktorzy stawiali przede mną wyzwania, zadawali pytania i wnosili swoje propozycje, ale odbierałam to nie jako próbę sił, tylko jako głębokie pragnienie zrozumienia swoich bohaterów. Nie prosiłam ich o odegranie ról, tylko pracowałam z osobami żyjącymi kinem, bardzo świadomymi i znającymi wiele tekstów kultury. Teraz mam wysoko zawieszoną poprzeczkę i bardzo mnie to cieszy, bo wiem, że chcę uprawiać nie tylko kino autorskie, ale i aktorskie, z silnymi postaciami. Wszystkim aktorom, a szczególnie Mai Pankiewicz, będę zawsze wdzięczna za wspólny start.



Wojciech Tutaj

KURTYNA W GÓRĘ

Pieśń losu

Krystian Lada przygotował w ramach krakowskiego Festiwalu Opera Rara poruszające przedstawienie o kobiecie, która poświęciła zdrowie i życie dobru ogółu. Podzielona na pięć scenicznych obrazów, poprzedzona muzycznym prologiem (I symfonia Brahmsa) „Elegia” błyskotliwie łączy wykonywaną na żywo muzykę, teatr dramatyczny, taniec i operę.

W rolę Rosalind Franklin, zmarłej na raka w wieku zaledwie 37 lat, niemal zupełnie dziś zapomnianej biolog, której badania umożliwiły odkrycie kodu DNA, wcieliła się Magdalena Popławska. Jej asystentkę, przyjaciółkę, wreszcie strażniczkę pamięci i dorobku gra (świetna aktorsko i wokalnie) Justyna Rapacz. Na scenie towarzyszą im chór oraz zespół performerek i performerów w sugestywnej choreografii Wojciecha Grudzińskiego. Oś dramaturgiczną spektaklu, a zarazem przewrotny komentarz do losów Franklin, stanowią wykonywane przez Rapacz pieśni Brahmsa.

Całość zaczyna się wykładem, a właściwie rozmową Rosalind z Ojcem o wierze, odpowiedzialności za drugiego człowieka, poświęceniu nauce – pięknym manifestem głębokiego, świeckiego humanizmu. Kończy się z kolei gorzką, intymną sceną tęsknoty za miłością, bliskością i wszystkim tym, co Rosalind poświęciła dla pracy naukowej.

Michał Centkowski

„Elegia. Brahms”, scenariusz i reżyseria Krystian Lada,
Festiwal Opera Rara, premiera 21 marca 2025



MIĘDZY OKŁADKAMI

Marylène Patou-Mathis
**Kobieta
Opowieść
o niewidzialności
od prehistorii do dziś**

tłum. Agnieszka Rasińska-Bóbr
W.A.B., Warszawa 2024

Archeologia to dość młoda dziedzina nauki, samodzielna dyscyplina stała się na przełomie XIX i XX w. Jak pisze Marylène Patou-Mathis, francuska badaczka prehistorii, zwłaszcza zachowań neandertalczyków, do lat 50. XX w. niewiele kobiet zajmowało się archeologią, a przed I wojną wśród badaczy prehistorii nie było żadnej. Obraz naszych pradziejów kształtowali mężczyźni, interpretując znaleziska – narzędzia, malowidła naskalne, kości – wedle swoich przeświadczeń. A jak one zostały przez wieki ukształtowane, możemy tu prześledzić, przy czym autorka zwraca uwagę na splatanie się poglądu o niższości kobiet z rasizmem. Jeśli oceniać dowody archeologiczne obiektywnie, znika wyobrażenie brutalnego dzikus, który – on i tylko on – polował, wyrabiał narzędzia i ozdabiał malunkami ściany jaskiń, podczas gdy prakobieta rodziła dzieci i szykowała jedzenie (widoczne na kościach neandertalczyków ślady uszkodzeń od powtarzalnych ruchów pozwalają sądzić, że do pewnego momentu obie płcie regularnie rzucały włóczniami). Zamieszczone tu opisy np. pochówków każą zupełnie inaczej postrzegać naszych przodków.

Aleksandra Pańko



FESTIWAL

The Legend

Trzecia edycja festiwalu The Legend to najlepsze koncertowe beatsy i niezapomniane After Party w PreZero Arenie Gliwice. To święto kultury hiphopowej, więc podczas festiwalu nie zabraknie strefy wystawienniczej i niespodzianek na scenie. Kilka godzin niesamowitych koncertów z legendarnymi raperami, spektakularną oprawą wizualną i wyjątkową atmosferą. Wystąpią: Liroy, HempGru, Pono, DJ 600 V, DonGuralesko, Numer Raz, Fu, JWP, Łukasz „Małpa” Matkiewicz i DJ HWR.

**PREZERO
ARENA
GLIWICE,
15 MARCA,
GODZ. 18**



Jon Fosse
To jest Ales

tłum. Iwona Zimmnicka
Wydawnictwo ArtRage,
Warszawa 2025

Po dwóch domach Septologii i noweli „Białość” dostajemy kolejną na polskim rynku pozycję noblisty z 2023 r. I dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem, że to „typowy Fosse”. Autor znów buduje swój świat na granicy ciszy, powtórzeń i melancholii, miesza czasy. Czytając „To jest Ales”, popada się w trans; lektura może przypominać medytację, modlitwę. To zarazem minimalizm, jak i monotonia. Na poziomie „fabularnym”, choć ten jest trudny do uchwycenia, ledwie zarysowany, jeśli w ogóle, mamy opowieść o historii i stracie: Signe leży na ławie w izbie i wspomina Aslego, wracając też pamięcią do dalszych pokoleń. Przejmujące studium samotności wpisane w krajobraz norweskich fiordów.

Rafał Pikuta



Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



Wystawa malarstwa Aleksieja Jawlenskiego w Muzeum Sztuki Nowoczesnej Louisiana.

BOSKOŚĆ ABSTRAKCJI

Jawlensky wzbogacił myślenie abstrakcyjne w malarstwie o aspekt duchowy

Daniel Wójtowicz

„Wiedziałem, że muszę malować nie to, co widzę, nawet nie to, co czuję, ale tylko to, co żyje we mnie, co jest w mojej duszy”, wyznawał po latach, opisując swoją drogę do stworzenia podstaw abstrakcji w malarstwie Aleksiej Jawlensky. Rosyjski emigrant, żyjący w latach 1864-1941, tworzący w Niemczech i Szwajcarii, zaliczany dziś do czołówki światowego malarstwa, wyraźnie zaznaczył w nim swoją obecność.

Wystawa jego dzieł zorganizowana aktualnie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej Louisiana pod Kopenhagą zapowiadana była przez media jako jedno z największych europejskich wydarzeń tego roku w dziedzinie sztuk wizualnych. I rzeczywiście – obrazy tego artysty okazały się barwną i błyskotliwą grą formą i kolorem, a w dalszej części – pogłębioną, choć pozbawioną dostowności zadumą nad człowiekiem.

Po wybuchu I wojny światowej Jawlensky, zmuszony do opuszczenia Niemiec, zamieszkał w szwajcarskim miasteczku nad Jeziorem Genewskim. Miał już 50 lat. Coraz bardziej cierpiał na artretyzm, który paraliżował

akurat to, co było dla niego najważniejsze – twórcze ręce. W jego pokoiku, który musiał pełnić również funkcję pracowni, elementem najbardziej frapującym było okno z widokiem, niby tym samym, a jednak – jak odkrywał malarz – ciągle innym. Przeistaczała go jednak nie tyle pogoda, ile zmienny stan ducha obserwatora targanego emigracyjnymi obawami, lękiem wywołanym chorobą, zwątpieniem przykrywanym czasem złudną nadzieją płynącą z rozmyślań i marzeń. „Musiałem dla swej sztuki znaleźć inny język, bardziej duchowy. Siedziałem przed oknem, widziałem ścieżkę, kilka drzew i górę, ale w sobie, w swoich piersiach, czułem prawdziwe organy – skupiałem się, aby wydobyć z nich dźwięki. Natura była tylko moim suflerem, kluczem, by zagrały”. Trzymając się skojarzeń muzycznych, Jawlensky nazwał serię tworzonych w tych okolicznościach obrazów „Wariacjami”. Wykonał ich dziesiątki. „To były prawdziwe piosenki bez słów”, pisał po latach w liście do przyjaciela.

„Wariacje” namalowane zostały stosownie do możliwości jego sztywniejących dłoni – w małym formacie, za to z dużym twórczym rozmachem. Co istotniejsze – były jedynie kompozycją kolorowych smug zupełnie nieodzwojczających rzeczywiście pejzażu. Niosły



jednak zróżnicowany ładunek emocjonalny. Stały się jednymi z pierwszych prac tworzących nieistniejącą wcześniej w malarstwie abstrakcję. „Wariacje” wystawione w Louisianie do dziś zachowały świeżość i oryginalność.

Specjaliści podkreślają, że tworzenie cyklu obrazów opartych na tym samym zamyśle wynikało u Jawlenskiego z nowatorskiej chęci narzucenia widzowi konieczności śledzenia relacji pomiędzy poszczególnymi dziełami. Miało to prowadzić do szerszego odczytania ich znaczeń i głębszego zrozumienia wypowiedzi artysty. Podejście takie weszło następnie do praktyki sztuki.

Ogromną i najciekawszą część ekspozycji stanowią obrazy podpisane jako „Głowy abstrakcyjne”. Jawlensky dokonał w nich pogodnej geometryzacji rysów twarzy, sprowadzając je do prostych linii, prostokątów, kwadratów i figur nieregularnych. Działo się to w czasie, gdy w Europie rozwijał się już kubizm, również w malarstwie figuratywnym. Ale Jawlensky nie poszedł dokładnie tą drogą – jego portrety są bardziej uporządkowane i dosłowne, jak choćby „Apollo” (1931), z którego odczytać można i typ urody, i osobowość namalowanego mężczyzny, czując przy tym pewne zdumienie, że było to możliwe pomimo tak dużej abstrakcyjności.

Starzejący się i coraz bardziej chory malarz w latach 30. oddalił się od lekkości w swoich obrazach, idąc w stronę jeszcze większej abstrakcji i duchowego mroku, jakby otaczającego tajemnicę istnienia człowieka. Jego twarze stawały się kompozycjami kolorystycznymi w zgaszonych, coraz ciemniejszych barwach. Składają się one na kolejną serię prac, pod nazwą „Medytacje”, zaprezentowaną w trzeciej, ostatniej części wystawy w Louisianie. Dopełnia ona obrazu drogi artystycznej Aleksieja Jawlenskiego.



1. Autoportret, 1912.
2. Dorf Murnau, 1908.
3. Large Variation, 1915.
4. Abstrakcyjna głowa – Apollo, 1931.

„Artysta musi poprzez formy i kolory wyrazić to, co w nim pochodzi od Boga. Dlatego dzieło sztuki jest widzialną boskością i zarazem tęsknotą za Bogiem”, pisał w 1936 r. Jawlensky w liście do swojego mentora, którym był holenderski malarz, uczeń Paula Gauguina, późniejszy duchowny, Willibrord Verkade. Nie dziwi zatem, że w tych medytacyjnych portretach dostrzec można często przecinające się linie, jakby krzyże wpisane w wizerunek ludzki. Coraz więcej w nich zarazem egzystencjalnego smutku czy zwykłej ludzkiej pokory. Czuje się w nich także respekt przed śmiercią.

Uduchowienie twórczości niewiele Jawlenskiemu dało. Dla ówczesnych krytyków bulwersująca była abstrakcja. Działo się to w Niemczech w okresie nazistowskiego estetyzmu i konserwatyzmu. Po dojściu Hitlera do władzy malarstwo Jawlenskiego zostało objęte zakazem publikacji. Jego prace wystawiono tylko raz, w 1937 r., w Monachium, na pełnej potępienia „Wystawie sztuki zdegenerowanej”. Sam malarz, pogrążony w chorobie i przykuty do łóżka, był już wyłączony z życia. Zmarł w 1941 r., nie doczekawszy się sławy.

Dziś jedno z najważniejszych muzeów sztuki nowoczesnej w Europie pokazuje prace Jawlenskiego jako dorobek, bez którego współczesne malarstwo nie mogłoby być takie, jakie jest. Jako przykład rozkwitu ludzkiego myślenia abstrakcyjnego, sięgającego boskości, czyli tego, co pozostaje poza naszym rozumieniem.

Alexej Jawlensky
Muzeum Sztuki Nowoczesnej Louisiana
Humblebaek, Dania
do 1 czerwca

Ardi schodzi z drzewa

Nasze stopy pod wieloma względami są biologicznym odpowiednikiem odpadającego zderzaka przyklejonego taśmą

Cat Bohannon

Etiopia, 4,4 mln lat temu

Nasze Ewy naczelne przez dziesiątki milionów lat żyły w podniebnych ogrodach w koronach drzew, pałaszowały owoce, owady i delikatne listki, uprawiały seks, rodziły dzieci, wdawały się w bójkę, uprawiały jeszcze więcej seksu i rodziły jeszcze więcej dzieci. Niektórzy z ich potomków pozostali malutcy, inni bardzo urosli, a jeszcze inni najpierw urosli, a potem, o dziwo, znowu zmaleli. Dinozaury rozpostarły skrzydła, a ssaki opanowały planetę. Życie na drzewach było dobre.

Ale wcześniej czy później na Ziemi zawsze zachodzą zmiany. Choć afrykański kontynent przez eony był pokryty lasami, w miocenie klimat naszej planety zaczął się ochładzać. Kiedy nasze Ewy naczelne buszowały wśród owocujących drzew – a oczywiście powoli przesuwały im się do przodu i pogłębiały się słuch – na świecie panowała w miarę ciepła i stabilna pogoda. Jednak mniej więcej 20 mln lat temu kolejne regiony zaczęły się ochładzać. Wraz z nadejściem pliocenu – ok. 5,5 mln lat temu – pogoda na globie się zmieniła. Nie była to przy tym jedyna zmiana. Wschodnia Afryka, święty ogród ludzkości, wypiętrzała się wraz z powstawaniem Wielkich Rowów Afrykańskich. Wyżyny Etiopii sięgają prawie 3 tys. m nad poziomem morza, dlatego że Afryka rozpada się na dwie części. Przesuwająca się masa płaszcza Ziemi pod Wyżyną Abisyńską – dziś położoną tak wysoko, że jest nazywana dachem Afryki – wypchnęła ziemię do góry w powodzi lawy. Ten proces zresztą trwa. Rozdzielanie się

kontynentu afrykańskiego potrwa miliony lat, ale rezultat będzie oczywisty: Afryka Wschodnia wyruszy samotnie w kierunku Morza Arabskiego. Istniejące pęknięcie zaczęło wypełniać się wodą i utworzyły się jeziora: Turkana, Naivasha, Nakuru. W końcu przekształcą się one w wąskie, płytkie morze, biegnące przez środek Etiopii, Kenii i Tanzanii.

Rozpad kontynentu potrafi namieszać w pogodzie. Wysoko w koronach drzew nasze naczelne Ewy ewoluowały w stworzenia przypominające małpy człekokształtne. Ochładzaniu się planety towarzyszyły zmiany w układzie wiatrów nad wypiętrżającą się wyżyną Afryki Wschodniej, co doprowadziło do odseparowania lasów deszczowych w środkowej części kontynentu od ekosystemu będącego domem naszych przodków.

Haluksy są fizycznym przypomnieniem, jak trudno zmienić chwytną dłoń w stopę.

8 mln lat temu nie padało już tak często jak dawniej. Lasy się skurczyły, powstały za to szerokie trawiaste równiny, równie życiodajne i zdradliwe jak morze. Nasze Ewy wyrzały z bezpiecznych nadrzewnych kryjówek. Większość z nich postanowiła tam zostać, ale ich liczebność malała – wykorzystywały zasoby, które mogły im zapewnić mniejsze nadrzeczne lasy. Niektóre jednak zapuszczały się w przestwór oceanu traw, w których kryły się olbrzymie koty, drapieżne ptaki i węże. Wyprawiały się tam, bo musiały, żeby znaleźć więcej pożywienia. A potem ile sił w nogach biegły do domu.

Słowo klucz stanowi bieganie: jesteśmy jedynymi żyjącymi małpami człekokształtnymi, które to robią. Człowiek dzieli prawie 99% DNA ze współczesnymi szympanсами i bonobo. Większość naukowców szacuje, że nasze gatunki rozdzieliły się od 5 mln do 13 mln lat temu, pod koniec miocenu i na początku pliocenu. Mniej więcej wtedy nasi najbliżsi kuzyni uczyli się chodzić, podpierając się knykciami, żeby poruszać się po ziemi między pniami drzew. Ale nasi osobiści przodkowie nauczyli się chodzić na tylnych nogach, a w końcu także biegać.

Wielu naukowców uważa, że zaczęliśmy ten proces na drzewach: chodziliśmy po grubszych konarach na tylnych kończynach, używając dłoni do zrywania owoców i ściągania owadów z wyższych gałęzi, zwłaszcza gdy drzewa zrobiły się

niższe i zwisanie dawało lepsze oparcie niż siadanie na gałęziach. Łatwo było zastosować to zachowanie do chodzenia po ziemi w pozycji wyprostowanej. I tak 4,4 mln lat temu robiliśmy to już regularnie. Właśnie wtedy, ok. 3-4 mln lat od czasów ostatniego wspólnego przodka szympansa i ludzi, po świecie chodziła *Ardipithecus ramidus* – nasza Ewa dwunożności.

Naukowcy znaleźli szkielet Ardi w pobliżu Aramis w Etiopii w połowie lat 90. XX w., lecz dopiero pod koniec dekady, po dokładnym przeanalizowaniu skamieniałości, uświadomili sobie wagę znaleziska: mieli przed



Rekonstrukcja czaszki
Ardipithecus ramidus.

Naukowcy znaleźli szkielet Ardi w pobliżu Aramis w Etiopii w połowie lat 90. XX w. Miała ok. 120 cm wzrostu i była czymś pomiędzy szympansem a kudłatym człowiekiem.

Stopa Ardi nie była w pełni „nowoczesna”. Duży palec odstawał od pozostałych, co pozwalało jej lepiej chwycić się gałęzi.

sobą najstarszą dwunożną małpę człekokształtną, Ewę kobiecych nóg, bioder, kręgosłupa i barków. Ardi jest najlepszym dostępnym dowodem wskazującym na źródło różnic między układami mięśniowo-szkieletowymi mężczyzn i kobiet. (...)

Ardi miała ok. 120 cm wzrostu i była czymś pomiędzy szympansem a bardzo kudłatym człowiekiem, to znaczy chodziła wyprostowana, acz nadal spędzała dużo czasu na drzewach. Jej dłonie były bardziej prymitywne niż u szympanów, chociaż miednica, nogi i stopy zdecydowanie przypominały ludzkie. Chodząc, nie podparła się knykciami. Jej dłonie i barki się do tego nie nadawały. Poruszała się na dwóch nogach, nie aż tak sprawnie, jak my dzisiaj, mimo to sprawniej niż ktoś, kto spędza cały czas w koronach drzew. Jeżeli spojrzemy na szkielet współczesnej kobiety, zobaczymy dużo z Ardi.

Na przykład stopy i kolana współczesna kobieta w sumie ma do kitu. Kiedy się poruszamy, stawy w nogach i stopach przyjmują na siebie dużą część ciężaru ciała, więc mogłoby się wydawać, że ich niedomagania będą po prostu zależeć od wielkości tego ciężaru. Tymczasem, chociaż kobiety na ogół ważą mniej niż mężczyźni, i tak jesteśmy bardziej niż oni narażone na kłopoty ze stopami i kolanami. (...)

Postawa wyprostowana pod pewnymi względami dała się Ardi i jej wnuczkom we znaki bardziej niż samcom/mężczyznom. Stopa Ardi nie była w pełni „nowoczesna”. Duży



palec odstawał od pozostałych, co pozwalało jej lepiej chwycić się gałęzi, kiedy tążyła po drzewach. Lecz kości stóp miała ułożone w sposób umożliwiający jej stabilizację, kiedy szła wyprostowana. Były one sztywniejsze niż w stopach nadrzewnych małp człekokształtnych i w znacznej mierze dlatego ludzie są tak podatni na haluksy, które tworzą się z czasem przy stawie u nasady dużego palca. Kiedy robimy krok, sztywne kości górnej części stopy działają stabilizująco, rozkładając ciężar między nasze palce i kostki. Najpierw stawiamy piętę i stopniowo przenosimy ciężar ciała do przodu, przez górną część stopy i śródstopie na palce, a w kolejnym kroku – z przedniej części jednej stopy na piętę drugiej. Coś, co pierwotnie wyewoluowało do chwytania, przerobiliśmy na zestaw dźwigni na



zawiasach, który ma dźwigać nasz ciężar podczas chodzenia.

Duży palec u nogi to właściwie krótki kciuk. U Ardi przypominał on raczej kciuk naszej dłoni – był przeciwny, żeby nadal mogła objąć stopą gałąź. Prawdopodobnie chodziła trochę tak jak my w rakietach śnieżnych – nie wykształciła jeszcze zdolności do płynnego przenoszenia ciężaru z pięty na palce.

Współcześni ludzie odziedziczyli problemy, jakie wiążą się z każdym złym projektem. Nasze stopy są pod wieloma względami biologicznym odpowiednikiem odpadającego zde-rzaka przyklejonego taśmą naprawczą, kiedy nie mamy pieniędzy, żeby oddać samochód do warsztatu. Ale u kobiet problem jest poważniejszy. Usztywnienie kości górnej części stopy i śródstopia, tak byśmy mogli chodzić, oznacza przeniesienie znacznej części ciężaru z kostek na przód stopy. Pod wpływem siły tego nacisku przód stopy, a zwłaszcza staw dużego ▶

► palca, z czasem słabnie. Jeśli dołożymy do tego kobiece ciało, które często kołysze się w ruchu (szersze biodra, szwankujące kolana, więcej tłuszczu na pośladkach), w końcu coś nie wytrzyma. Prawdopodobnie będzie to staw dużego palca – jednocześnie najbardziej elastyczna i najbardziej obciążona część stopy. Tym właśnie są haluksy: fizycznym przypomnieniem, jak trudno zmienić chwytną dłoń w stopę.

Ardi nie miała haluksów, bo jej duży palec odstawał od pozostałych. Poza tym nie nosiła butów na obcasach i nie chodziła tyle co my. Prawdopodobnie poruszała się trochę sztywno, kaczym chodem. Kiedy

przodu, co oznacza, że lwia część roboty przypada nie na pośladki i ścięgna podkolanowe, tylko na mięśnie czworogłowe na przodzie ud, przez co wierzch kolana podrywa się do góry, a to jeszcze bardziej obciąża staw. Z czasem może to prowadzić do uszkodzenia więzadeł w kolanie, ścierania się chrząstki i ogólnie wywołać spustoszenie. Szkodzi też stawom w palcach u nóg: chodząc na obcasach, nie przenosimy płynnie ciężaru z pięty na palce, tylko – w zależności od wysokości obcasów – raz po raz zwalamy cały ciężar ciała i pęd naszego ruchu na przód stopy. Obcas w takich butach służy głównie do utrzymania równowagi i dlatego

temu macica ma trochę więcej miejsca i może się powiększać. Normalnie macicę dość mocno przytrzymuje sieć więzadeł i powięzi. Dzięki ich poluzowaniu może ona napęcznieć krwią i płynami w pierwszym trymestrze ciąży. Relaksyna poluzowuje ponadto połączenia między kośćmi otaczającymi obszar miednicy, od kości biodrowej przez kość krzyżową po głowę kości udowej, tak by dolna część miednicy mogła się rozluźnić i rozszerzyć, żeby pomieścić rosnącą macicę w późniejszych miesiącach ciąży, a następnie rozszerzyć się jeszcze bardziej podczas porodu. Poziom relaksyna jest najwyższy w momencie owulacji oraz w pierwszym i trzecim trymestrze ciąży – kiedy macica musi zacząć się powiększać i zanim trzeba będzie przecisnąć duże dziecko przez mały kanał rodny.

Relaksyna występuje u wszystkich ssaków łojoskowych, u samic i u samców, chociaż u tych pierwszych jej stężenie jest wyższe. Ale destabilizacja układu mięśniowo-szkieletowego wywołuje nieco mniej szkód u czworonoga niż u stworzenia, które dopiero niedawno wykształciło zdolność chodzenia na dwóch nogach. Ardi prawdopodobnie była więc pierwszą z naszych Ew dotkniętą przewlekłym bólem w dole pleców i w kolanach, a także dysfunkcją układu mięśniowo-szkieletowego związaną z ciążą. Zapewne jako pierwsza samica/kobieta naderwała sobie więzadło krzyżowe przednie w kolanie i jako pierwszemu wypadł jej dysk w kręgosłupie lędźwiowym. (...)

Jednak dzięki relaksynie wyprostowane ciało Ardi stało się nieco bardziej „jogowe”. A to w połączeniu z mniejszą masą mięśni i bardziej elastycznymi stawami niż u samców mogło sprawić, że była zwinniejsza i potrafiła lepiej się poruszać w niewygodnych zakamarkach. Podobnie jak współczesne kobiety zapewne była bardziej gibka niż jej partnerzy. (...)

Chociaż kobiety na ogół ważą mniej niż mężczyźni, i tak są bardziej narażone na kłopoty ze stopami i kolanami.

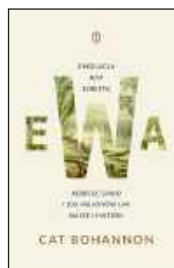
wszakże wykształciliśmy już zdolność sprawniejszego chodzenia, zaczęliśmy też częściej cierpieć z powodu haluksów – dotyczy to zwłaszcza żeńskiej części ludzkiego rodzaju. To po prostu fizyka: siła musi zostać gdzieś zagospodarowana. Podczas chodzenia nacisk przenosi się w dół w stronę przodu stopy. Reszta tej siły „promieniuje” z powrotem przez kości nóg, kolana, biodra i kręgosłup. Kości udowe kobiet, inaczej niż mężczyzn, wchodzą do stawu kolanowego pod kątem. U Ardi też tak było, a u współczesnych kobiet ta cecha jest znacznie wyraźniejsza. Ponieważ nasze biodra są szersze niż męskie, kolana mamy nieco bliżej siebie, bo gdzie indziej jest u nas umiejscowiony środek ciężkości. Z powodu tego dymorfizmu płciowego nabijamy kieszonki chirurgom ortopedom, którzy u kobiet regularnie przeprowadzają zdecydowanie więcej operacji stawu kolanowego niż u mężczyzn.

Weźmy pod uwagę, że każdy kilogram wagi ciała na ogół oznacza dodatkowo 1,5 kg obciążenia dla stawu kolanowego – kiedy chodzimy boso. Kiedy skaczemy, są to już 4 kg. Nasze ciała wyewoluowały, żeby sobie z tym radzić. Ale współczesne damskie obuwie może pozbawić nas gruntu pod nogami: na obcasach nasz środek ciężkości przenosi się do

w szpilkach w ogóle da się poruszać – chodzimy na paluszkach po ulicach miast niczym oszołomione baletnice.

Nie możemy jednak zrzucić całej winy za uszkodzenia stóp i kolan współczesnych kobiet na wysokie obcasy. W grę wchodzi jeszcze pewien subtelniejszy aspekt – chemiczny – i Ardi prawdopodobnie też musiała sobie z nim radzić.

Przez 14 dni przed okresem współczesna kobieta ma na jednym z jajników niewielkie ciało żółte, przypominające torbiel. To pozostałość po pęcherzyku jajnikowym, z którego podczas owulacji uwolniła się komórka jajowa. U większości kobiet pęknięcie w miejscu wyjścia jajeczka się zabliznia i powstaje ciało żółte, które się nieco powiększa i zaczyna wysyłać organizmowi sygnały, żeby zwiększył produkcję pewnych hormonów, a innych zmniejszył. Właśnie to w znacznej mierze decyduje o zmianach w błonie śluzowej macicy i wywołuje różne przyjemne objawy PMS, takie jak wzdęcia, trądzik i ogólne rozdrażnienie. Ciało żółte każe także organizmowi wytwarzać więcej relaksyny, hormonu, który uelastycznia więzadła, luzując mięśnie na przyczepach. Większość naukowców uważa, że dzięki



Fragmety książki Cat Bohannon *Ewa. Evolucja jest kobietą. Kobięcia ciało i 200 milionów lat naszej historii*, przeł. Agnieszka Sobolewska, Wydawnictwo Literackie, premiera 26 marca

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Pan Tupecik i wieczność

Wskutek wysokiego i wciąż narastającego poczucia derealizacji, którego doświadczam każdego dnia prezydenckiej kadencji Pana Tupecika w USA, intensywniej niż zwykle znikam z powierzchni ziemi. Speleoterapia polega także, a może nade wszystko, na odnalezieniu się pośród tego, co trwałe i niezmiennie. Wobec wahań nastrojów wodza imperium, który plecie przed kamerami, co mu ślina do gęby przyniesie, a potem wypiera się tego jak gdyby nigdy nic („nie przypominam sobie, abym nazwał Zełenskiego tanim komikiem i dyktatorem”), w obliczu jego impulsywnych decyzji o katastrofalnych skutkach (wtrzymanie pomocy wojskowej dla Ukrainy, wojna celna z połową świata) i w świetle jego bezkarnych kłamstw (pieprzyć coś o zniesieniu cenzury, a zarazem grozi, że będzie wsadzał do więzienia protestujących studentów) można mniemać, że Stany Zjednoczone, które zgotowały sobie i światu ten los, są krajem zidiociałych poganiaczy bydła. Albo to głupota wrodzona, albo efekt wystawienia na permanentny brak aksjomatów, podważanie zasad logiki i badań naukowych, życie wedle niezwyfikowanych bzdur i nawałnicy dezinformacji.

Tak czy owak, wystawiam łeb spod ziemi coraz rzadziej, a i to tylko po to, by się upewnić, że świat zmierza ku zagładzie w tempie wykładniczym. Już mi się nawet udzieliła niezdrowa zbiorowa emocja i puszczałem sobie dla ulgi raz za razem wiral wykreowany przez AI, w którym Zełenski daje w mordę Panu Tupecikowi – dawno nic mi nie sprawiło takiej radości, sztuczna inteligencja jest zatem zdolna przynosić realną uciechę. To była scena westernowa, więc całkiem trafiona – Tupecik wyobraża sobie świat i sprawowanie władzy wedle westernowych schematów: wygrywa ten, kto mocniej daje w ryj lub szybciej strzela. Być może tylko w ten sposób da się jeszcze uratować ludzkość: ktoś musi strzelić tego pomarańczowego dziada w papę, tak by już nie wstał.

Owóż, lepiej mi pod ziemią, o wiele lepiej, a jako że życie się kurczy, szkoda czasu na jaskinie średnio ładne i niezbyt obszerne. Penetruję zatem ostatnio kras Doliny Demianowskiej, groty olbrzymich rozmiarów i nieprawdopodobnego piękna, uważane wręcz za najpiękniejsze w Europie. System Jaskiń Demianowskich, z których dwa fragmenty (Wolności i Lodowa) są udostępnione masowej turystyce, liczy sobie już 50 km podziemnych pasażów i komór, druga najdłuższa w dolinie grota, Stefanowa, dochodzi do dwudziestego kilometra, sumaryczna

długość wszystkich jaskiń w tej okolicy Niżnych Tatr przekracza metrażem wszystkie jaskinie Polski – to gigantycznych rozmiarów skalna gąbka, w której można się zanurzać bez końca.

Zamiast słuchać bełkotu denialistów klimatycznych, na własne oczy przekonuję się o efekcie cieplarnianym – w Demianowskiej Jaskini Lodowej od dawna nie ma lodu, dlatego planowana jest zmiana jej nazwy, tak by rzesze turystów kupujących bilety nie czuły się oszukane. Lodu we wszystkich znanych mi jaskiniach dramatycznie ubyło za mojego życia, te zmiany są zatrważające i widać je gołym okiem. Podobnie rzecz się ma z wodą – ta zima jest wyjątkowo sucha, śniegu w górach jak na lekarstwo, za to mrozy trzymały się dzielnie – w efekcie wszystkie jeziora podziemne powysychały. W miejscach, które jeszcze niedawno dostępne były tylko w woderach, depczemy w najlepszym razie po grząskim mule, po wodzie nie ma śladu, głębsze zbiorniki, nie tak dawno jeszcze wymagające przepłynięcia pontonem w pozycji leżącej, teraz można przebyć po kamieniach.

Wystawiam łeb spod ziemi coraz rzadziej, a i to tylko po to, by się upewnić, że świat zmierza ku zagładzie w tempie wykładniczym.

Słowacy nie są narodem wandalów, nawet w niezabezpieczonych kratami jaskiniach można bez trudu natknąć się na kości zwierząt plejstocenów, co daje poczucie niezwykłej jedności z prehistorią; w Liptowskim Mikulaszu można zaś sobie w Muzeum Speleologii obejrzeć przekrój stalagmitu, w którego warstwach jak w słojach drzewnych zapisały się kolejne epoki – tyle że chodzi nie o setki, ale o tysiące lat. Czasem wręcz o miliony – w jednej z jaskiń Doliny Demianowskiej niedawno polska grotołazka wypatrzyła kości skamieniałe w stropie, a zatem starsze od samej jaskini. Po badaniach okazało się, że to sensacyjne odkrycie szkieletu pachypleurozaura, który padł na dnie morza w środkowym triasie, 230 mln lat wstecz. Potem dno morskie skamieniało, później miliony lat w tej skale woda drążyła tunele, po których dzisiaj chodzę, aby się ukryć przed fobiami społecznymi. Na każdego bęcwała, który wierzy, że przejdzie do historii jako zbawiciel świata, dobrze jest spojrzeć *sub specie aeternitatis*. W jaskini o to łatwiej. ■



Przemoc karmi się
naszym milczeniem,
lękiem, wstydem,
biernością

Bez śladów na ciele

URSZULA STRUZIKOWSKA-MARYNICZ

– psycholożka i socjolożka

Rozmawia Szymon Żyśko

Dlaczego tak trudno uwierzyć w przemoc, która nie pozostawia śladów na ciele?

– Trudno nam mówić o przemocach psychicznych z wielu powodów. Pierwszą ich grupę nazwałabym mitami, które latami pracowały w naszej zbiorowej i indywidualnej świadomości. Należy do nich myślenie, że to, co wydarza się w rodzinie, powinno pozostawać w rodzinie albo że najlepszym narzędziem wychowawczym jest wzbudzanie lęku czy stosowanie kar. Uciekamy się do wszelkich usprawiedliwień przemocy, pomniejszamy jej rozmiary.

Próbując zrozumieć, co się dzieje, dokonujemy racjonalizacji, uproszczeń, usprawiedliwień. Agresja jest tematem bolesnym dla nas wszystkich.

Drugą grupą wspomnianych powodów są nasze lęki i obawy dotyczące konfrontacji z przemocą i reagowaniem na nią. Mam wrażenie, że obawiamy się – z różnych powodów – rozmawiać na jej temat i przeciwstawiać się zachowaniom przemocowym. Nazwanie tak postępowania, które nie powoduje szkód widocznych gołym okiem, nie pozostawia siniaków czy dziur w szybach, wydaje się nam dyskusyjne. Obawiamy się podejrzewać kogoś o agresję, twierdząc, że nie posiadamy

wystarczających dowodów na to, że miała miejsce, że wygłupimy się, wskazując na konkretne zachowanie, które nam się nie podoba, narusza nasze prawa i granice, krzywdzi nas lub kogoś innego. Mamy również obawy, że skrzywdzimy osobę bezpodstawnym podejrzeniem lub narazimy się komuś własną perspektywą oceny sytuacji, a przecież o tym, co widzimy i co nas niepokoi, powinniśmy móc i potrafić rozmawiać.

Zakładamy, że rozpoznajemy zachowania przemocowe, ale nic z tym nie robimy. Wiele jest jednak sytuacji, w których przemocy nie zauważamy, a nawet akceptujemy jej zastosowanie.

– Tak. Jak można zauważyć, obie wymienione grupy mają wspólny mianownik, jakim są nasze lęki i obawy o siebie oraz o innych. „Lepiej się nie wtrącać, nie wychylać, to nie moja sprawa” – tak często myślimy. Mam wrażenie, że przemoc karmi się naszym milczeniem, lękiem, wstydem, biernością.

Istnieje jednak też trzecia grupa powodów, dla których trudno nam uwierzyć w obecność tego zjawiska w rodzinie. Jest nią obszar zdarzeń i zachowań akceptowanych kulturowo. Myślę, że wiele osób ma pewne doświadczenia z okresu własnego dzieciństwa, które noszą znamiona przemocy. Kiedyś była nienazwana. Dzisiaj nadal mamy z nią do czynienia, ale wiemy już o niej o wiele więcej i potrafimy nazywać własne zachowania oraz postępowanie naszych rodziców, dziadków, pradiadków i innych członków bliskiej społeczności. Pomimo tych społecznych przemian myśli i narracji, niekiedy jednak utykamy zawieszeni, niepewni swojego zdania, zagubieni w tym, co możemy określić mianem przemocy, a czego nie.

Myślę też, że bardzo trudno jest nam dostrzec w sobie samych takie przemocowe obszary, bo wolimy ich nie dostrzegać, a we wszystkich nas jest tendencja do racjonalizowania zła. Nie chciałabym jednak, abyśmy koncentrowali się na moralnej ocenie przemocy. Niekiedy trudno jest dostrzec i zaakceptować własne błędy, słabości, potrzebę czy pokusę skrzywdzenia drugiego człowieka.

Zaakceptować?

– Tak, bo akceptować nie oznacza przyzwalać sobie na coś. Oznacza jedynie przyjęcie, że jesteśmy skłonni zastosować dane zachowanie jak wszyscy. Podobnie jak przyjęcie tego, że każdy z nas może ulec manipulacji, że nie zawsze nasze motywacje biorą się z naszych własnych potrzeb i wartości, czasem ulegamy wpływowi innych, doświadczamy przemocy lub jej ulegamy. Bywa,

przekazać sobie, partnerowi i światu: „Ja tu cierpię i oczekuję zmiany”.

Niestety, w przypadku przemocy osoba ją stosująca nie chce zrezygnować z przewagi nad nami, więc cel ofiary, aby nie być krzywdzoną, rozmija się z celem sprawcy. Dlatego tak ważne jest ujawnienie przemocy, a przez to danie sobie samemu szansy na spokój, bezpieczeństwo i zmianę. Chodzi o przejęcie odpowiedzialności za siebie i zadbanie o swoje

jakbyśmy chcieli powiedzieć: „To moja wina, ale tak już mam i nic z tym nie mogę zrobić, zaakceptuj to. Nie czuję się z tym fajnie, więc się na mnie nie złość, pokajałem/pokajałam się, a teraz daj mi spokój i zaopiekuj się mną”. To taki nieco komfortowy ukryty przekaz, jakim zwalniamy się ze sprawczości. Dlatego czy to w sytuacji przemocy lub konfliktu, czy to w pracy z osobą doświadczającą przemocy lub przemoc stosującą, warto jest pracować nad poczuciem sprawczości, wpływu na własne życie, przenosząc wzrok z winy na odpowiedzialność, z którą znacznie więcej jesteśmy w stanie zrobić, niż tylko się kajać (...).

W przypadku przemocy za jej stosowanie odpowiedzialny jest sprawca i on ponosi winę. Jeśli skoncentrujemy się jedynie na winie, to skupimy uwagę tylko na osobie sprawcy. Jak to ostatnie ma się do pomocy ofierze? Dlatego ważna jest sprawczość, jeśli chodzi o budowanie wpływu na własne życie i przyjęcie odpowiedzialności za nie – o ile wina leży po stronie sprawcy, to postawa odpowiedzialności jest właściwa zarówno dla osoby dopuszczającej się krzywdzenia, jak i krzywdzonej. Ta ostatnia może zdecydować, że postawi granicę, że podejmie kroki służące ratowaniu siebie przed krzywdą, że o siebie zadba.

Przemoc jest przede wszystkim zjawiskiem powszechnym i może wystąpić w każdej grupie społecznej.

że mimo cierpienia podtrzymujemy krzywdę, decydujemy się na życie w niej oraz pielęgnujemy jej poczucie, które pozwala nam fantazjować o wybawieniu, o sprawiedliwości, o zasłużeniu przez cierpienie na lepsze życie. Nasza krzywda daje nam też osobliwe poczucie wyższości, że to my, pokornie cierpiący, byliśmy w porządku. Przypomina mi się w tym miejscu wypowiedź prof. Bogdana de Barbaro o tańcu krzywdowiny, którym potrafimy się związać na bardzo długo, czasem na całe nasze życie.

Taniec krzywdowiny? Opowiedz o tym...

– Prof. de Barbaro opisał kiedyś relację dwojga ludzi, którzy sprowadzili to, co ich łączy, do tańca krzywdowiny – w przypadku przemocy to dość upiorne tango. Naszym relacjom nierzadko nadajemy charakter wojny, procesu sądowego. I jak ma to miejsce na sali sądowej, tak i w związku mamy oskarżonego i oskarżającego, winnego i niewinnego, co wprowadza czarno-biały dualizm do naszej relacji. Oczekujemy osądu, a nie porozumienia; orzeczenia o winie, a nie wzięcia odpowiedzialności każde za siebie. Do tańca krzywdowiny potrzebujemy osoby winnej, najlepiej, żeby to partner był winien i on musiał sprawczość oraz odpowiedzialność za to, co się dzieje między nami, przejąć całkowicie na siebie. Podobnie ochoczo rozsiądziemy się w roli ofiary, ponieważ poczucie krzywdy daje nam poczucie wyższości moralnej, jakbyśmy chcieli

prawa, bez liczenia na to, że ktoś zrezygnuje ze swojej przewagi nad nami – niektórzy tego nie potrafią zrobić i nie spróbują bez interwencji z zewnątrz.

W duecie przemocowego tanga zatracamy własne granice, gubimy się w tym, co moje, a co czyjeś, kostniejemy w strukturze, która nas niszczy, zagubieni i podzieleni osi krzywd i win. Ten brak poczucia sprawczości, jeśli chodzi o zmianę naszego położenia, odbiera nam satysfakcję z życia, obniża samoocenę, sprawia, że karłowacieje nasz potencjał, a z czasem i poczucie, że mamy szansę na zmianę tego, co nas niszczy.

Trudno jest nam dostrzec w sobie samych przemocowe obszary, bo wolimy ich nie dostrzegać, a we wszystkich nas jest tendencja do racjonalizowania zła.

Jak to dokładnie działa?

– Nierzadko utykamy w poczuciu winy, a drugiemu człowiekowi nie trudno jest za nie „pociągnąć”. Sprawia ono, że kostniejemy w przeżywaniu wielu emocji, są to np.: poczucie odpowiedzialności, rozczarowanie samym sobą, wstyd, złość, poczucie długu i zobowiązania wobec drugiego, lęk przed tym, czy nie jesteśmy kimś złym, unieszczęśliwiającym innych ludzi. Zastygamy w poczuciu winy, które ma nam służyć do przypodobania się otoczeniu czy wybranej osobie, ale także usprawiedliwić poczucie własnej niemocy. To tak,

W tym miejscu chciałabym podkreślić, że ważniejsze od stawiania granic innym ludziom jest postawienie ich samemu sobie. Przykładowo nie mam wpływu na to, czy te postawione i zakomunikowane przeze mnie zostaną zaakceptowane przez partnera relacji, ale mam wpływ na to, czy postawię je samej sobie i nie będę pozwalająca na to, aby być krzywdzoną.

Czym zatem jest przemoc i jakie są jej przejawy?

– Przemoc jest przede wszystkim zjawiskiem powszechnym i może wystąpić w każdej grupie społecznej. ▶

► Niesłuszne jest przypisywanie tej patologii życia społecznego wybranym osobom czy grupom. Może występować zarówno w rodzinach o niskim statusie materialnym, jak również w tych zamożnych. Przemoc nie ma też płci – stosują ją, ale i doświadczają jej zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Natomiast ma imię – konkretnej

oddziaływania powoduje w sposób świadomy czyjeś cierpienie, straty, wywołuje lęk. To najprostsza definicja, ale spójrzmy również na tę prawną.

Zgodnie z ustawą z dnia 29 lipca 2005 r. przemocą są takie czynności, które łączą się z groźbą utraty życia, takie zachowania, które naruszają

nietykalność, intymność, swoboda, wszelkie powszechnie uznawane wartości będące przejawami godności i indywidualności każdego z nas, zapewniające bezpieczeństwo, rozwój czy szczęście człowieka.

Jakie przesłanki prawne muszą zaistnieć, abyśmy rozpoznali akt przemocy?

– Są to: 1) intencjonalność osoby wywierającej określony wpływ na drugą osobę; 2) nierównowaga sił, np. pozycji społecznej, sytuacji finansowej; 3) wszelkie przejawy zależności jednego człowieka od drugiego sprzyjające sprawowaniu kontroli, podporządkowaniu i władzy nad drugim; 4) działanie lub zaniechanie istotnego działania, które narusza prawa i dobra osobiste drugiej osoby, a także powoduje jej cierpienie fizyczne i/lub psychiczne. (...)

Fragment rozmowy z książki Urszuli Struzikowskiej-Marynicz i Szymona Żyńskiego *Odzyskaj kontrolę nad swoim życiem. Gaslighting i inne formy przemocy psychicznej*, Mando, Kraków 2024



Poczucie krzywdy daje nam poczucie wyższości moralnej, jakbyśmy chcieli przekazać sobie, partnerowi i światu: „Ja tu cierpię i oczekuję zmiany”.

osoby, która stosując ją, za swoje działanie i jego konsekwencje jest odpowiedzialna. Przemoc ma także imię konkretnej osoby pokrzywdzonej, która cierpi, która ma swoje prawa, na której także spoczywa odpowiedzialność za jej życie bez przemocy i prawo do obrony przed krzywdą.

W dużym skrócie przemoc to każde incydentalne lub powtarzane zachowanie, które jest intencjonalne, służy podporządkowaniu osoby interesowi tej, która poprzez swoje

ludzką godność i nietykalność cielesną, jak również takie, które ograniczają wolność człowieka, powodują jego szkody psychiczne i fizyczne oraz cierpienie i straty moralne. Proszę pamiętać, że przemoc narusza nasze dobra osobiste, odbiera swobodę i powoduje wiele osobistych szkód. Do dóbr, o których tutaj mowa, należą m.in. zdrowie, wolność, godność,

dkms.pl/1.5procent

Ludwik, 6 lat

Niech jak najszybciej wróci na plac zabaw

Pomóż odzyskać normalność Pacjentom chorym na nowotwory krwi!

>> Przekaż 1,5% Fundacji DKMS
KRS 0000 318 602

Rozlicz online



SUŁOSZOWA

– magia pasków i skał

Wielu sułoszowian do niedawna nie zdawało sobie sprawy z wyjątkowości miejsca, w którym żyją

Chrystian Ślusarczyk

Na mapie małopolskich celów turystycznych Sułoszowa pojawia się rzadko. Wieś leży ok. 25 km na północny zachód od Krakowa. Większość krakowian czy mieszkańców Górnego Śląska przejeżdża przez nią, nawet nie wiedząc, jak się nazywa. W weekendy aut bywa więcej. Tamtędy podążają do Ojcowa czy zamku w Pieskowej Skale (leży w granicach administracyjnych Sułoszowej) nie tylko krakowianie, ale i turyści z innych części kraju. Wielu kierowców dziwi się, że obszar zabudowany ciągnie się tak długo. Od pierwszej, umieszczonej przy wjeździe, nieco zardzewiałej tablicy do następnej, z przekreślonym napisem „Sułoszowa”, jest dokładnie 10 km.

I właśnie ten bardzo długi ciąg budynków z wąskimi polami

rozchodzącymi się po obu jego stronach tak zadziwił przedstawicieli światowych mediów, że zaprezentowali swoim odbiorcom widok, który wydaje się niemal nierealny. Widok na sułoszowskie, wielobarwne, cienkie paski pól, w którego stworzeniu nie brała udziału sztuczna inteligencja.

Ulicówka i skały na podwórkach

Jadąc od południa, od strony Maczugi Herkulesa i Pieskowej Skały, naszym oczom ukazują się białe formacje skalne o często dziwacznych kształtach. Wapienne, typowe dla Jury Krakowsko-Częstochowskiej, znajdują się – co przesądza o wyjątkowości Sułoszowej – nie tylko wzdłuż drogi, ale także... na wielu podwórkach. Do skał przytulonych jest wiele domów, na zabudowania gospodarcze brakuje miejsca. Mieszkańcy wsi

ze skałami na własnych podwórkach musieli się zaprzyjaźnić na całe życie. I chyba dobrze im z tym.

Gdy jedzie się w stronę Olkusza, pejzaż się zmienia, wszechobecne skały ustępują miejsca polom. Wąskim, niekiedy pięcio-, może sześciometrowym. Na tym odcinku ze względu na zwartą zabudowę jednorodną możemy mówić o typowej ulicówce.

Przy ulicy Olkuskiej stoją duże, wielopokoleniowe domy. Za nimi, nieco schowane, również spore stodoły i inne budynki gospodarcze. Dalej od ulicy, w odległości mniej więcej 100-150 m, nie ma już żadnych zabudowań. Zaczynają się te kolorowe, starannie zagospodarowane paski upraw: zboża, ziemniaków, kukurydzy, buraków cukrowych, które na zdjęciach z dronów lecących ponad 100 m nad wsią robią na cudzoziemcach piorunujące wrażenie. Z poziomu ▶

► drogi nr 773 oraz budowanego wciąż chodnika tego nie zobaczymy. Ale i tak zorientujemy się, że jesteśmy w miejscu o nietypowej jak na nasze warunki zabudowie. Bo za domostwami i ogrodami widać pustkę pól.

Jako że rozciągnięta na 10 km Sułoszowa nie jest standardową wsią, znajdziemy w niej aż trzy budynki Ochotniczej Straży Pożarnej. To bezpieczne rozwiązanie, przy jednym dojeździe mógłby strażakom zająć za dużo czasu, a tak OSP I, OSP II i OSP III (takie obowiązuje oznaczenie) gwarantują szybką i sprawną interwencję w każdym miejscu.

Sułoszowa może też się pochwalić dwiema świątyniami. Ta większa – eklektyczny, zbudowany z kamienia i cegły w latach 1935-1939 kościół parafialny Najświętszego Serca Pana Jezusa – jest wpisana do rejestru zabytków. Nieco wyżej znajduje się kaplica filialna pw. NMP Królowej Polski. Ze względu na długość wsi większość jej mieszkańców w niedzielę i święta do swojego kościoła udaje się samochodem. Dlatego Sułoszowa w owe dni może być faworytą w plebiscycie na najbardziej zakorkowaną wieś w Polsce.

Przez Sułoszową przebiega Szlak Orlich Gniazd oraz europejski szlak kulturowy i pątniczy Via Regia,



będący jedną z Dróg św. Jakuba prowadzących do sanktuarium w Santiago de Compostela.

Sułoszowa to przykład wsi liniowej. Takie wsie są również w innych krajach Europy. W Holandii noszą nazwę *lintdorp*; często zamiast drogą wieś jest tam przecięta kanałem. W Niemczech podobne wioski nazywa się *Strassendorf*, a we Francji *village-rue*, obie nazwy możemy przetłumaczyć jako ulica-wieś. Miejscowości przypominające Sułoszową znajdziemy także w dolinach na południe od rumuńskich Karpat. Tam zlokalizowane przy głównej szosie (drodze) cztero-, pięciokilometrowe, a nawet dłuższe wioski są ze sobą sklejone. Połączone na odcinku nawet 20 km (!) bywają prawdziwą zmurą dla kierowców. I jednocześnie żyłą złotą dla miejscowej drogówki...

Ukryty klejnot

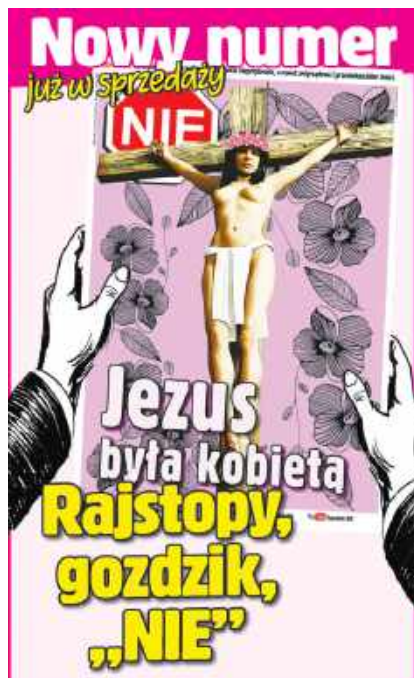
Sułoszowskie 10 km od tabliczki do tabliczki z pewnością robi wrażenie. Jednak to nie Sułoszowa, ale położona u stóp Babiej Góry Zawoja, także w województwie małopolskim, uznawana jest za najdłuższą wieś w Polsce. Ma ok. 18 km. A przy tym 100,78 km kw. powierzchni, więc jest też największa. W jej obrębie znajduje się aż sześć sołectw. Ale beskidzka wieś i jej osiedla są wciśnięte w kilka szerszych i węższych dolin, dlatego odwiedzający Zawoję bardziej zdają sobie sprawę z jej rozległości niż

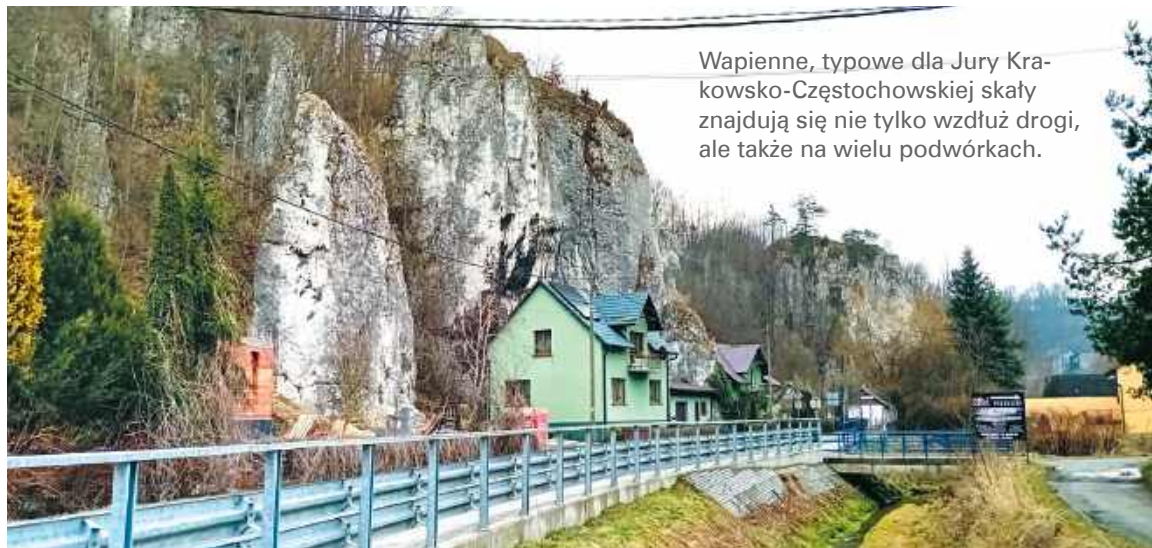
z faktu, że znaleźli się w najdłuższej wsi w Polsce.

W Sułoszowej bardzo łatwo o złudzenie, że przyjechaliśmy do najdłuższej wsi w naszym kraju, ale warto pamiętać, że w II RP miejscowość miała aż 14 km długości i mieszkało w niej 6 tys. osób. Dziś – 3,5 tys.

Europe's hidden gem, ukryty klejnot Europy – tak o małopolskiej wsi napisali dziennikarze popularnego brytyjskiego „Daily Mail”. Czy ukryty – trudno powiedzieć. Sułoszowa nie jest otoczona ani gęstymi lasami, ani wysokimi górami. „Kryje się” wśród bezkresnych pagórków z paskami ziemi uprawnej. Wspólnym mianownikiem w dziennikarskich opisach jest informacja, że w Sułoszowej „wszyscy mieszkają przy jednej ulicy”. Tu zagraniczni żurnaliści odrobinię mijają się prawdą, bo niewielki odsetek sułoszowian ma adresy przypisane do kilku innych uliczek, wychodzących od ulicy Krakowskiej/Olkuskiej.

Okazuje się, że z niepowtarzalności i piękna miejsca, w którym przyszło im żyć, nie wszyscy sułoszowianie zdawali sobie sprawę. „Dopiero gdy zobaczyłem zdjęcia z góry, doceniłem, jak tu jest przyjemnie”, wyznał brytyjskim dziennikarzom Marian Gęgotek, mieszkaniec wsi, traktorzysta. Z kolei Edyta, właścicielka sklepu, także poruszona niezwykłym pięknem zdjęć zrobionych z wysokości, mówiła „Daily Mail”: „Widziałam zdjęcia lotnicze w internecie. Nie jestem zaskoczona, bo





Wapienne, typowe dla Jury Krakowsko-Częstochowskiej skały znajdują się nie tylko wzdłuż drogi, ale także na wielu podwórkach.

wiem, jak tu jest pięknie”. „Myślę, że to, iż nasza wioska prezentuje się tak ładnie, jest zasługą tylko i wyłącznie jej mieszkańców. Zawsze uprawiają swoje pola, zawsze też o te uprawy dbają. Jak wspaniale jest spacerować wśród sułoszewskich pól i cieszyć się ciszą. A jeśli jeszcze uda się nam zobaczyć jelenia, sarnę czy inne zwierzęta...”, zachwalała miejscowa zakonnica, siostra Jolanta.

Zaskakującą liczbę materiałów i filmików o małopolskiej wsi znajdziemy w mediach społecznościowych. I to zarówno w językach powszechnie uznawanych za międzynarodowe, jak i takich, które rozpoznają jedynie specjaliści.

Zagraniczne media podkreślają też aspekt historyczny i fakt, że pierwsze wzmianki o wsi pochodzą z 1315 r. Hindusi, Anglicy czy ukraiński portal Obozrevatel.com dodają, że na obrzeżach Sułoszew 100 lat później zbudowano fortyfikacje chroniące szlak handlowy z Krakowa na Śląsk, a w czasach zaborów wieś przechodziła z rąk austriackich w rosyjskie.

Drzewo wisielców

Do 31 sierpnia 2021 r. Sułoszewa bardziej niż ze swoich krajobrazów znana była z „drzewa wisielców”. Był to potężny, stary dąb, który rósł przy wąskiej drodze między paskami poletek. Samotne drzewo nie wytrzymało jednak silnych porywów wiatru w trakcie jednej z sierpniowych burz.

Dąb miał swoich fanów. Najczęściej byli to rowerzyści zaopatrzeni w dobrej jakości sprzęt fotograficzny. Praktycznie o każdej porze roku w jego okolicy można było spotkać, np. o zachodzie słońca, chętnych do fotografowania martwego już, majestatycznego pomnika przyrody o nagich konarach. Nie inaczej było

tylko na filmach, zachwycając się balonami lecącymi nad dziwnymi wytworami wiatru i wody. Taki lot to gwarancja wrażeń, które turyści z całego świata zachowają na długo. A czy lot balonem nad Sułoszewą, w okresie od wiosny do jesieni, nie mógłby stać się podobną atrakcją? Balony nad Sułoszewą, podobnie

Sułoszewa to przykład wsi liniowej. Takie wsie są również w innych krajach Europy.

podczas pożegnania „drzewa wisielców”, na które przybyło kilkanaście osób, by po raz ostatni spojrzeć na dąb leżący przy drodze.

Z drzewem związanych było sporo lokalnych legend, m.in. o tym, że niegdyś na jego mocnych gałęziach widywano powieszonych, albo że pod dębem zakopane było złoto. Dziś po drzewie nie ma śladu, a legendy powoli odchodzą w zapomnienie.

Kapadocja czy mała Toskania?

Leżąca u wrót stolicy Małopolski wieś ma spory potencjał. Nie umniejsza go w żaden sposób fakt, że oryginalne piękno Sułoszew najlepiej widać dopiero z kilkunastu metrów nad polami. Bo jej urozmaicony krajobraz i skały rodzą przeróżne porównania.

Ci, którzy widzieli to na żywo, ale i ci, którzy oglądali piękno Kapadocji

jak w Kapadocji, mogą dostarczać wrażeń zarówno tym, którzy obserwowaliby je z ziemi, jak i tym, którzy zdecydowali się wsiąść do kosza. Nie tylko specjalistyczne, zagraniczne media będą wiedziały, co zrobić z taką polską atrakcją. A kalendarzowego motywu „Balony nad Sułoszewą” na letnie miesiące inni mogliby nam tylko pozazdrościć...

Nieco inne skojarzenia z Sułoszewą i tamtejszymi krajobrazami mieli niedawno dziennikarze „Times of India”. Zauroczeni wsią wijącą się pośród skał i kolorowych pasków żurnaliści z New Delhi nazwali Sułoszewą „małą Toskanią”! Przesa-da? Cóż, ci, którzy mieli okazję być w tym włoskim regionie, zapewne uśmiechną się dyplomatycznie. I dodadzą: piękno Toskanii już zostało odkryte. A sułoszewska „mała Toskania” pod Krakowem? Ta dopiero jest odkrywana.

Chrystian Ślusarczyk

Kryzys mieszkalnictwa w Hiszpanii

Hiszpania proponuje 100% podatku od domów kupowanych przez osoby spoza UE

Tomasz Skowronek

W Hiszpanii nabywcy nieruchomości niebędący rezydentami w Unii Europejskiej wkrótce mogą zostać objęci 100-procentowym podatkiem, który chce nałożyć premier Pedro Sánchez. Zaporowy podatek jest jednym z kilkunastu ogłoszonych przez niego sposobów walki z kryzysem mieszkaniowym. Rząd planuje złagodzić w ten sposób narastające oburzenie wywołane kosztami mieszkań, które przekraczają już możliwości finansowe wielu Hiszpanów.

„Zachód stoi przed decydującym wyzwaniem: nie może podzielić społeczeństwa na dwie klasy: z jednej

Lider socjalistów przedstawił 12 pomysłów mających poprawić dostępność mieszkań. Chce m.in. ograniczyć spekulacje na rynku nieruchomości i rozwój bazy turystycznej poprzez odstraszające podatki. Zamierza też uprzemysłowić i zmodernizować sektor budownictwa, aby mieszkania powstawały szybciej, taniej i w sposób bardziej zrównoważony, dzięki „projektom strategicznym” dofinansowanym w ramach europejskiego planu naprawczego NextGenerationEU, uruchomionego w 2020 r. Przewiduje również zwiększenie pomocy dla najemców i wprowadzenie zwolnień podatkowych dla małych właścicieli pustych domów, którzy wystawiają je na rynek

w Hiszpanii i pozostają filarami rynku nieruchomości w niektórych regionach, zwłaszcza na Costa del Sol.

Brytyjskie media zwracają uwagę, że liczba Brytyjczyków zarejestrowanych jako mieszkańcy Hiszpanii zgodnie z oficjalnymi danymi wzrosła z 276 089 w 2017 r. do 284 037 w 2023 r., ale ostatnio odnotowuje się stopniowy spadek. W 2023 r. ok. 12 470 transakcji sprzedaży nieruchomości dotyczyło brytyjskich nabywców, co stanowi redukcję o 16,5% w porównaniu z rokiem poprzednim.

„To byłoby coś wielkiego”, skomentowała natomiast dla France 24 Sarah Conroy, angielska agentka, która od ponad trzech dekad zajmuje się nieruchomościami na ekskluzywnym rynku Marbelli w południowej Hiszpanii. Nie podała liczby klientów spoza UE, ale powiedziała, że byli to zarówno brytyjscy nabywcy po brexicie, jak i klienci z Arabii Saudyjskiej i Dubaju. „Rząd musi coś zrobić. Ludzie mieszkający tutaj nie mogą niczego wynająć, ponieważ lokale są tak drogie – przyznała Conroy. – Mówiąc szczerze, ok. 80% osób, dla których pracuję, kupuje drugie domy”.

Madryt jak nowe Miami

Hiszpański bank centralny niedawno zwrócił uwagę na zwiększoną liczbę nieruchomości zakupionych przez rezydentów i cudzoziemców. Ów wzrost podnosi też prawicowa opozycja. Lider konserwatywnej Partii Ludowej Alberto Núñez Feijóo stwierdził, że zwykła cen w Madrycie jest napędzana przez bogatych Wenezuelczyków, Kolumbijczyków i Meksykanów.

Nie bez powodu Madryt w ostatnim czasie jest nazywany „nowym Miami”. W stolicy Hiszpanii mieszka ponad 1 mln osób z Ameryki

Ceny mieszkań w Europie w ciągu ostatniej dekady wzrosły o 48%, czyli prawie dwukrotnie więcej niż dochód rodziny.

strony bogatych właścicieli, a z drugiej biednych najemców”, przekonywał premier Hiszpanii, przypominając, że ceny mieszkań w Europie w ciągu ostatniej dekady wzrosły o 48%, czyli prawie dwukrotnie więcej niż dochód rodziny.

„Żeby dać wyobrażenie problemu, należy wskazać, że w samym 2023 r. osoby spoza Unii Europejskiej kupiły ok. 27 tys. domów i mieszkań w Hiszpanii. I nie zrobili tego, aby w nich mieszkać, nie zrobili tego, aby ich rodziny miały gdzie mieszkać, zrobiły to, aby spekulować, aby na nich zarobić, na co my – w kontekście niedoboru, w którym jesteśmy – oczywiście nie możemy pozwolić”, powiedział Sánchez i dodał: „Jest za dużo lokali typu Airbnb, a za mało mieszkań. To niesprawiedliwe, że ci, którzy mają trzy, cztery lub pięć mieszkań na wynajem krótkoterminowo, płacą niższy podatek niż hotele”.

po umiarkowanych cenach. Największe emocje budzi jednak ów 100-procentowy podatek. Żadnych dotyczących go konkretów ani tego, kiedy może on zostać wprowadzony, premier nie ujawnił. Część analityków podejrzewa, że już sama groźba wdrożenia takiej daniny może zmniejszyć chęć inwestorów do kupowania hiszpańskich nieruchomości.

Zamożni obcokrajowcy windują ceny

„Propozycje rządu pojawiają się w momencie, gdy ceny w takich miastach jak Madryt czy na Majorce zwiększają się dzięki nowej fali zamożnych obcokrajowców ze Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Wenezueli”, podkreśla „Financial Times”. Jeśli chodzi o brytyjskich nabywców, stanowią oni prawie 8,5% zagranicznych inwestorów



Kryzys mieszkaniowy narasta w niemal całym kraju. Baner na budynku w Gironie przypomina, że każdy apartament turystyczny jest odbierany miejscowej ludności. Styczeń 2020 r.

we Francji i 34% w Holandii). Kraj zapełnił się dziesiątkami tysięcy obiektów noclegowych, co wywarło presję na rynek wynajmu. A liczba ludności w ciągu dziesięciu lat wzrosła o 2,5 mln, co było spowodowane intensywną falą migracji, która zwiększyła popyt na mieszkania. Władze przekonują więc, że tylko dzięki radykalnym krokom będzie można rozwiązać kryzys mieszkaniowy w Hiszpanii.

Podatek od luksusu czy brak mieszkań?

łacińskiej, co stanowi ogromny skok, 25 lat temu było ich zaledwie 81 tys. Najbogatsi Latynosi kupują luksusowe apartamenty w dzielnicy Salamanca, w samym centrum. Ma to konsekwencje – gentryfikację, czyli zmianę charakteru części miasta, co odczuwają zarówno mieszkańcy, jak i małe firmy, które notują wzrost czynszów.

Półowa mieszkańców dzielnicy Sol, która obejmuje Gran Vía, Plaza Mayor i tętniący życiem targ San Miguel, nie urodziła się w Hiszpanii. Wielu „prawdziwych” madrytczyków wyjechało, a hiszpańskich studentów nie stać na płacenie czynszu wywindowanego przez dynamicznie rozwijający się sezonowy rynek wynajmu. „Zastępują ich cyfrowi nomadzi i inni profesjonaliści z różnych krajów, dla których angielski jest lingua franca”. Podobnie dzieje się w innych dzielnicach serca Madrytu: Lavapiés, Huer-tas, Chueca czy Malasaña.

Kapsuły zamiast mieszkań

Jak podaje „El País”, w stolicy Hiszpanii furorę zaczęły robić... kapsuły. Noclegi zaprojektowane na wzór japońskich hoteli kapsułowych, w których goście śpią w boksach o powierzchni niecałych 2 m kw., cieszą się ogromnym

zainteresowaniem. Nie, nie wśród turystów, ale wśród samych Hiszpanów, którzy uczą się bądź dojeżdżają do pracy.

To tylko przykład z Madrytu. A podobno wykupywanie mieszkań przez cyfrowych nomadów bądź przetwarzanie na kwatery turystyczne jest powszechne prawie w całym kraju, m.in. w Maladze, Walencji, Barcelonie, Sewilli, Alicante czy na Ibizie.

Zgodnie z grudniowym badaniem przeprowadzonym przez krajowe centrum sondażowe mieszkalnictwo stało się dla Hiszpanów najpilniejszą kwestią, zajmując wyższą pozycję niż bezrobocie i migracja. Koszt wynajmu w miastach między 2015 a 2022 r. wzrósł o ok. 30%, zmuszając młodych pracowników do przeprowadzki na obrzeża Madrytu i Barcelony lub zadowalania się małymi, często ledwo nadającymi się do zamieszkania lokalami. W popularnych regionach turystycznych, takich jak Walencja, Alicante i Malaga, czynsze wzrosły o 40%. Dla osób pracujących na Balearach codzienny przelot z Majorki może być tańszy niż płacenie czynszu na Ibizie. Te przypadki pokazują skalę problemu.

Mieszkania komunalne stanowią zaledwie 2,5% zasobów przeznaczonych na wynajem (znacznie mniej niż w innych krajach UE, np. 14%

Jednak partie opozycyjne i część mediów skrytykowały pomysł Sáncheza. Luis de la Matta, dyrektor ds. komunikacji konserwatywnej Partii Ludowej (PP), powiedział: „Problemem nie jest to, że ludzie chcą mieszkać w Hiszpanii. Problemem jest brak mieszkań. Nie będziemy wspierać działań ksenofobicznych”.

María Ramírez, dziennikarka i zastępczyni redaktora naczelnego portalu elDiario.es, pisze, że „zmuszanie gości do płacenia wyższego podatku nie jest równoznaczne z budową większej liczby domów”, i dodaje: „Podatek odstraszy niektórych – nie superbogaty – od kupowania domów. Ale to dalekie od rozwiązania problemów lokalowych w Hiszpanii. Trzeba po prostu budować więcej mieszkań”.

Nabywcy domów płacą obecnie podatek od sprzedaży wynoszący w zależności od regionu 6-13%. Według Banku Hiszpanii do końca 2025 r. potrzebnych będzie ok. 600 tys. nowych domów, ale co roku buduje się ich ok. 90 tys. Jednak według ekspertów specjalny podatek prawdopodobnie niewiele zmieni, a nawet może działać na korzyść polskich czy niemieckich nabywców, których w Hiszpanii nie brakuje. ■

Sztuczna inteligencja a etyka

Rozwój AI jest okazją do szybkiego zbitcia majątku, ale istnieje duże ryzyko, że przy okazji wyrządzi się krzywdę innym

Walter Sinnott-Armstrong,
Jana Schaich-Borg,
Vincent Conitzer

Zanim zajmujemy się problemami etycznymi związanymi ze sztuczną inteligencją, powinniśmy zrozumieć jeden ważny aspekt istnienia systemów AI, a mianowicie wyjaśnić, jak one powstają. Gdy w filmach i powieściach fantastycznonaukowych pojawia się groźna sztuczna inteligencja, to często okazuje się, że jest ona robotem zbudowanym potajemnie w piwnicy przez genialnego złoczyńcę. W rzeczywistości jednak taki złoczyńca musiałby mieć dostęp do ogromnej ilości danych, mieć odpowiednie wykształcenie i zdobyć pokaźne środki, by zrealizować samodzielnie tak duży projekt. Taki wątek sensacyjny brzmiałby bardziej

uzyskać oczekiwane zachowanie tworzonego systemu. Algorytmy powstają zazwyczaj w instytucjach badawczych (uniwersyteckich, korporacyjnych lub rządowych) i nierzadko ich rozwojem zajmują się uczeni ze stopniem doktora lub nawet tytułem profesora w jakiejś dziedzinie matematyki.

Później, przynajmniej w przypadku zastosowań wykorzystujących uczenie maszynowe, należy przeprowadzić „szkolenie” modelu sztucznej inteligencji, które polega na wprowadzeniu do algorytmu AI starannie przygotowanych danych. Modele sztucznej inteligencji są tym, czego w istocie nauczył się algorytm, i określają, jakie czynniki sztuczna inteligencja będzie brała pod uwagę i w jaki sposób będzie je wykorzystywała. W odróżnieniu od etapu projektowania algorytmu proces

pośrednictwem możemy się komunikować z modelami sztucznej inteligencji w celu wykonania określonego zadania. Mogą to być strony internetowe, aplikacje w telefonie, programy wspierające różne działania, roboty, drony lub dowolne inne systemy. Aby mógł powstać jakiś produkt wykorzystujący AI, potrzebna jest wiedza biznesowa, projektowa i operacyjna, a nierzadko także duże pieniądze. Nic więc dziwnego, że najczęściej są one dziełem zespołów działających w dużych firmach lub organizacjach rządowych.

W skład zespołów tworzących produkty ze sztuczną inteligencją wchodzi zazwyczaj specjalista w dziedzinie znanej jako doświadczenie użytkownika (UX, od ang. *user experience*) – projektanci interfejsu użytkownika, inżynierowie różnych specjalności, analitycy biznesowi i menedżerowie. Specjaliści od doświadczenia użytkownika starają się ustalić, jakie cechy musi mieć ich produkt, żeby był atrakcyjny dla klientów, projektanci interfejsu określają, jak te cechy powinny wyglądać, inżynierowie tworzą produkty zgodnie ze specyfikacją przygotowaną przez innych członków zespołu, a analitycy i stratedzy biznesowi pilnują, by produkt opierał się na modelu biznesowym, który zapewni zyski (a przynajmniej nie będzie przynosił strat). Menedżer produktu (czyli jego „właściciel”) ustala strategię określającą, co ostatecznie ma on robić i jaką grupę użytkowników powinien zainteresować. Kieruje też pracami zespołu, dbając o dobry przepływ informacji między specjalistami, projektantami, inżynierami i organizacjami, które zapewniły środki na realizację przedsięwzięcia. Musi też zwracać uwagę na to,

Możemy zbudować sztuczną inteligencję, która sama będzie strzegła swojej moralności.

realistycznie, gdyby się okazało, że niebezpieczna maszyna jest dziełem wielu genialnych złoczyńców, wspieranych być może przez bogatych inwestorów. Obecnie większość urządzeń wykorzystujących sztuczną inteligencję powstaje dzięki współpracy naukowej i finansowej wielu osób, nawet gdy chodzi o stworzenie bardzo wąskiej sztucznej inteligencji, przeznaczonej do realizacji określonego zadania.

Proces tworzenia systemów sztucznej inteligencji przebiega przynajmniej w trzech etapach. Najpierw rozwija się algorytmy AI, opisujące funkcje i zasady logiczne, które należy zastosować do danych, by

uczenia modelu AI wymaga przetworzenia ogromnej ilości danych i wykazania się dużą wiedzą informatyczną, dlatego biorą w nim udział m.in. inżynierowie, informatycy, analitycy, a nawet ochotnicy wywodzący się ze społeczności entuzjastów sztucznej inteligencji, którzy nie muszą już mieć tak dużej wiedzy matematycznej jak twórcy algorytmu.

Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że większość z nas nie komunikuje się bezpośrednio z modelami i algorytmami sztucznej inteligencji. Mamy jedynie dostęp do produktów wykorzystujących AI, które są złożonymi strukturami, interfejsami i urządzeniami. Właśnie za ich



by prace toczyły się w sposób zaspokajający potrzeby wszystkich zainteresowanych stron. W działaniach mogą brać udział również inne osoby, np. prawnicy, specjaliści do spraw zapewnienia zgodności z normami, specjaliści od danologii i sztucznej inteligencji, którzy pomagają w powstaniu produktu. Nie bez znaczenia jest to, że czasami osoby te są zatrudnione w innych firmach lub świadczą usługi konsultingowe. Warto też podkreślić, że twórcy algorytmów AI zazwyczaj nie wchodzi w skład zespołu przygotowującego produkt ze sztuczną inteligencją, a nierzadko nie należą nawet do organizacji, które wyłożyły środki na realizację całego przedsięwzięcia. W największych firmach technologicznych pracują czasami światowej sławy eksperci od sztucznej inteligencji, którzy współdziałają z zespołami przygotowującymi produkty, ale taka sytuacja jest raczej wyjątkiem, a nie regułą. Wiele firm

Aby sztuczna inteligencja mogła cokolwiek zrobić, ludzie nadal muszą budować jej modele.

wprowadza sztuczną inteligencję do swoich produktów, korzystając z modelu „sztuczna inteligencja jako usługa” (AlaaS, od ang. *AI as a service*), co oznacza, że płacą innej firmie za dostęp do narzędzi AI, takich jak systemy do tłumaczeń językowych lub rozpoznawania twarzy. Jak się przekonamy, te różnorodne możliwości tworzenia produktów ze sztuczną inteligencją mają znaczenie dla tego, jak wpływa ona na społeczeństwo, powinniśmy więc o tym pamiętać podczas dalszej lektury.

Wiemy już, czym jest sztuczna inteligencja, i mamy pewne wyobrażenie na temat tego, jak powstaje. Oczywiście problemy natury technicznej i praktycznej, z jakimi muszą się zmagać twórcy systemów AI, są tylko niewielką częścią wyzwania,

z którymi musimy się zmierzyć, jeśli chcemy, by sztuczna inteligencja pozytywnie wpłynęła na nasze życie. Nie unikniemy przy tym konieczności stawienia czoła problemom natury etycznej. Zastanówmy się więc, jakiego rodzaju problemy etyczne wiąże się z pojawieniem się w naszym życiu sztucznej inteligencji.

Wierzmy głęboko, że systemy AI mogą poprawić nasze życie, ale jednocześnie obawiamy się, że sztuczna inteligencja może zagrażać naszemu bezpieczeństwu, prywatności i sprawiedliwym decyzjom. Mamy także pewne wątpliwości, czy zdołamy pociągnąć właściwe osoby do odpowiedzialności za wyrządzone przez nią szkody. (...) Jak doskonale wie każdy żołnierz, nawet najlepsze rozpoznanie i plan bitwy nie wystarczają do odniesienia zwycięstwa. Potrzebne jest jeszcze odpowiednie nastawienie, które pomaga w podejmowaniu właściwych decyzji. Aby zrozumieć, jaki sposób myślenia będzie właściwy w naszym przypadku, możemy spojrzeć na historię. (...)

Z przełomowych momentów w naszej historii możemy wyciągnąć naukę, która może nam się przydać

w obecnej epoce sztucznej inteligencji. Pierwszy nasuwa się wniosek, że niektóre najbardziej istotne konsekwencje wprowadzenia nowej technologii są wprawdzie znane od samego początku, ale zawsze istnieją jakieś skutki, które ujawniają się dopiero po pewnym czasie. Po drugie, nawet patrząc na to wszystko z perspektywy czasu i biorąc pod uwagę zebrane w ciągu wielu dziesięcioleci dane, pokazujące godne pożałowania skutki uboczne rewolucji przemysłowej i złotej epoki chemii, większość ludzi zgadza się, że społeczeństwo postąpiło właściwie, decydując się na budowę zakładów włókienniczych, produkcję wydajnych i tanich paliw, a także na wprowadzenie nowoczesnych metod chłodniczych. W większości ►

► uważamy, że nasza jakość i długość życia znacznie się poprawiły dzięki tym przemianom, mimo ich wad. Problematyczne jest tylko to, w jaki sposób rozwijaliśmy te technologie, a nie to, czy w ogóle należało je rozwijać.

W podobny sposób należy patrzeć na sztuczną inteligencję. Powinniśmy dbać o właściwe kształtowanie systemów AI, nie szczczędając środków na ich rozwój, ponieważ dzięki nim może się dokonać ogromny postęp. Wprowadzenie całkowitego zakazu używania AI w każdej jej postaci w celu uchronienia się przed związanymi z nią niebezpieczeństwami byłoby w chwili obecnej nie tylko niewykonalne, ale i głupie, a może nawet niemoralne. (...)

Musimy się zmierzyć z jeszcze jednym trudnym wyzwaniem, którym są nasze słabości. Nie jesteśmy szczególnie dobrzy w podejmowaniu właściwych decyzji etycznych

emocjonującą przygodą, nawet jeśli tylko przyglądamy się im z boku. J. Robert Oppenheimer, który kierował pracami zespołu budującego bombę atomową, powiedział kiedyś: „Gdy dostrzegamy coś, co jest pociągające z technicznego punktu widzenia, od razu zabieramy się do zrobienia tego i dopiero po odniesieniu sukcesu zastanawiamy się, do czego może się to przydać”. Wypowiadając się na temat programu rozwoju broni jądrowej, historyk Steven Shapin zauważył: „To właśnie ta fascynacja, to całkowite pochłonięcie hojnie finansowanym rozwiązywaniem »pociągających« problemów technicznych pozwalało nie dopuszczać do głosu ewentualnej refleksji moralnej”.

To samo dzieje się obecnie ze sztuczną inteligencją, ale prawdę mówiąc, ignorowanie obaw moralnych w obliczu pociągających problemów technologicznych jest obecnie jeszcze bardziej niepokojące, ponieważ

też opracować zasady działania organizacji, przygotować platformy edukacyjne i serwisy wspierające mechanizmy demokratyczne, które pozwolą nam zmniejszyć ryzyko korzystania ze sztucznej inteligencji w sposób niemoralny lub szkodliwy dla społeczeństwa. Aby jak najlepiej zrealizować te zadania, powinniśmy poszerzyć naszą wiedzę naukową na temat działania systemów AI. Dzięki temu uda nam się zrozumieć, co musimy zrobić, by działały dla dobra ludzkości. To również są niezwykle fascynujące zagadnienia badawcze i zajmowanie się nimi przynosi ogromną satysfakcję, bez konieczności budowania coraz to większych i coraz potężniejszych systemów AI. A jeśli dopisze nam szczęście, to być może dzięki tym analizom uda nam się także wyjaśnić odwieczną tajemnicę związaną z ludzką inteligencją i świadomością. (...)

Istniejące obecnie systemy AI nie mogą oddziaływać ze społeczeństwem ani na nie wpływać bez naszej pomocy. Aby sztuczna inteligencja mogła w ogóle cokolwiek zrobić, ludzie nadal muszą budować jej modele, uczyć je na zbiorach danych, rozwijać ich funkcjonalność i udostępniać gotowe produkty użytkownikom. Nawet jeśli w przyszłości jakaś sztuczna inteligencja przejmie ostatecznie kontrolę nad światem, to my będziemy musieli najpierw ją stworzyć. Zatem dalszy przebieg tej historii będzie zależał w równym stopniu od decyzji etycznych podejmowanych przez ludzi i naszej inteligencji moralnej, jak i od decyzji podejmowanych przez systemy komputerowe i sztuczną inteligencję.

Gdy rozmyślamy o AI, musimy jasno określać własną rolę. W końcu to ludzie są zarówno reżyserami, jak i głównymi bohaterami tej historii o przestrzegającej zasad moralnych sztucznej inteligencji. Sztuczna inteligencja odgrywa w niej tylko rolę drugoplanową – na razie.

Nawet jeśli w przyszłości AI przejmie kontrolę nad światem, to my będziemy musieli najpierw ją stworzyć.

przynoszących pozytywne skutki dla całej społeczności, gdy w grę wchodzi osobiste korzyści – a nawet sama tylko możliwość ich odniesienia. Trudno jest nam też zrezygnować z natychmiastowej nagrody w nadziei odniesienia większych zysków w przyszłości, szczególnie gdy w tym drugim przypadku ich beneficjentami będą następne pokolenia. Rozwój sztucznej inteligencji jest wspaniałą okazją do szybkiego zbiccia majątku, ale istnieje duże ryzyko, że przy okazji wyrządzi się krzywdę innym. W takich okolicznościach nasza ograniczona zdolność do właściwej oceny moralnej nie stawia nas w pozytywnym świetle.

Na koniec trzeba wspomnieć o jeszcze jednym problemie, o którym nikt nie chce głośno mówić. Chodzi o to, że dla wielu ludzi tworzenie sztucznej inteligencji jest fascynującym zajęciem. Wymaga zmagania się z intrygującymi pytaniami naukowymi i intelektualnymi zazwyczaj w towarzystwie mądrych i ciekawych osób. Takie badania są

teraz zjawisko to nie dotyczy tylko niewielkiej grupki fizyków jądrowych, ale też znaczącej części społeczeństwa, tak zafascynowanej rozwojem sztucznej inteligencji, że całkowicie przestała się przejmować możliwymi nadużyciami i szkodami wynikającymi ze stosowania systemów AI.

Obecnie działa wiele mechanizmów, które wpływają na nas w taki sposób, że nie zwracamy uwagi na sygnały świadczące o tym, iż powinniśmy podchodzić do sztucznej inteligencji z dużą rezerwą, lub wręcz przekonujemy samych siebie, że ewentualne negatywne skutki korzystania z AI są już z góry przesądzone i nie można z tym nic zrobić. Nie wolno nam się zgadzać na takie myślenie. Możemy zbudować sztuczną inteligencję, która sama będzie strzegła swojej moralności, unikając działań prowadzących do nieetycznych skutków, ale będzie to wymagało cierpliwości i wykonania specjalistycznych badań. Możemy



Fragmenty książki Waltera Sinnotta-Armstronga, Jany Schaich-Borg i Vincenta Conitzera *Moralna AI. Czy bać się sztucznej inteligencji*, Prószyński i S-ka, tłum. Bogumił Bieniok, Ewa L. Łokas, Warszawa 2024



„Cesarz” na lodzie

Pingwin cesarski jest doskonale przystosowany do swojego środowiska – żyje na Ziemi od 2,5 mln lat

Gerald L. Kooyman, Jim Mastro

Pingwin cesarski został zaobserwowany prawdopodobnie po raz pierwszy w 1820 r. na pływającym lodzie gdzieś na północ od Morza Rossa przez rosyjskiego odkrywcę Thaddeusa von Bellingshausena podczas jego rejsu dookoła kontynentu antarktycznego. Chociaż już wcześniej niemieccy przyrodnicy, ojciec i syn Johann Reinhold Forster i Johann Georg Adam Forster, opisali ptaka być może będącego pingwinem cesarskim – działo się to podczas drugiej wyprawy Cooka (1772-1775), gdy poszukiwał on (bezsukcesownie) Terra Australis Incognita (nieznanego kontynentu południowego). (...)

Te niezwykle ptaki mają kilka wyjątkowych cech, które odróżniają je od wszystkich innych pingwinów: (1) są największymi przedstawicielami tej grupy; (2) są jedynymi pingwinami o złotym upierzeniu piersi; (3) całe życie spędzają w morzu lub na lodzie morskim; (4) rozmnażają się

i wysiadują jaja w środku zimy (pingwin grubodzioby z nowozelandzkiego Fiordlandu również tak robi, ale w znacznie mniej surowych warunkach termicznych); (5) jaja inkubują wyłącznie samce; (6) 120-dniowy post inkubującego samca jest najdłuższym u wszystkich pingwinów i być może wszystkich ptaków; (7) na najwyższych szerokościach geograficznych rozmnażanie i inkubacja odbywa się całkowicie w ciemności, bez gniazda, w warunkach surowej antarktycznej zimy; (8) nie są terytorialne, a samce przytulają się do siebie, aby przetrwać długą zimową noc; (9) kiedy maszerują w grupie, idą jedną kolumną; oraz (10) są to jedyne pingwiny, które krocą ze skrzydłami przyciśniętymi do boków ciała, zamiast trzymać je rozłożone dla równowagi.

Chociaż w normalnej pozycji stojącej ich wysokość wynosi nieco poniżej metra, mogą wysunąć szyję o kolejne 10 cm, aby spojrzeć ponad tłumem. Ich masywne stopy stanowią barierę termiczną pomiędzy ciepłym ciałem a lodem morskim,

na którym stoją. Te niezwykle stopy pełnią także wiele innych funkcji. Zaopatrzone w pazury, stanowią główny element napędowy podczas jazdy na brzuchu (technika określana jako „zjazd na sankach”), a podczas pływania w wodzie służą za hamulec i ster. Pełnią także funkcję przenośnego „gniazda” dla jaja i pisklęcia podczas inkubacji i wygrzewania młodego. (...)

Pingwin cesarski jest doskonale przystosowany do swojego środowiska. I nic dziwnego: pingwiny istnieją od czasów, gdy w późnej kredzie oddzieliły się ewolucyjnie od nurów, a sam pingwin cesarski żyje na Ziemi od 2,5 mln lat, nieco tylko krócej niż pingwin białooki (zwany też pingwinem Adeli, *Pygoscelis adeliae*). (...)

Za każdym razem, gdy myślę o pingwinach cesarskich, przychodzi mi na myśl wszelkiego rodzaju superlatywy: największe, najgłębiej nurkujące, najdłużej wstrzymujące oddech. To ptak, który poradziłby sobie wszędzie, ale żyje w miejscach, które trudno nam sobie wyobrazić. ►

► (...) Jak utrzymują ciepło i jak ich skóra pozostaje sucha na takich głębokościach? Jak wstrzymują oddech na wystarczająco długo? Jak widzą w czasie polowań? Jak ich narządy radzą sobie z ciśnieniem panującym na 500 m pod powierzchnią oceanu? To prawie 50 atmosfer! Inaczej mówiąc, to ponad 51 kg naciskających na każdy centymetr kwadratowy ciała! Aby żyć w tak ekstremalnym środowisku, pingwin cesarski musi być stworzeniem o skrajnych możliwościach.

Nurkowie narażeni na dużej głębokości na działanie wysokiego ciśnienia azotu w ich mieszance oddechowej cierpią na coś, co nazywa się narkozą azotową, a co przypomina stan upojenia alkoholowego. Wydaje się, że „cesarze” nie odczuwają tego narkotycznego efektu. Ludzie, jeśli nie są ostrożni (a czasami nawet gdy są), mogą też zapaść na chorobę dekompresyjną (kesonową), spowodowaną tworzeniem się pęcherzyków azotu we krwi i tkankach. Pingwiny przechodzą dekompresję bezpiecznie, bez tworzenia się bąbelków w niepożądanym miejscu, takich jak mózg, krew czy serce. „Cesarze” nie tracą również przytomności z powodu hipoksji (niedotlenienia), do którego często dochodzi podczas ekstremalnych nurkowań. Co więcej, jakimś cudem udaje im się złapać ofiarę, nurkując głęboko

w połączeniu z wiatrem powoduje spadek odczuwalnej temperatury nawet do minus 84 st. C. Nawet gdy jest spokojnie, temperatura otoczenia może spadać poniżej dolnego końca skali większości konwencjonalnych termometrów. Mimo to w skupiskach pingwinów robi się tak gorąco, że ptaki mają tendencję do okazjonalnego rozpraszania się, aby się ochłodzić.

To jedyne pingwiny o złotym upierzeniu piersi, całe życie spędzają w morzu lub na lodzie morskim.

(...) W długiej historii pingwina cesarskiego w miejscu jego życia nigdy nie było żadnych drapieżników lądowych, którymi można by się martwić. Jeśli chodzi o zimno, kiedyś zmierzono temperaturę pod piórami u odpoczywającego ptaka podczas antarktycznej nocy i różnica między temperaturą skóry, a temperaturą zewnętrzną wynosiła 69 st. C. Dzięki temu rodzajowi izolacji „cesarz” może spać spokojnie podczas burzy, nawet jeśli nawiewany śnieg stopniowo pokrywa jego ciało. Ten nie tylko się nie topi, ale wręcz tworzy warstwę przypominającą śpiwór.

Odporność na zimowy chłód jest łatwa do zrozumienia. Wystarczy mieć odpowiednią odzież wierzchnią, w tym przypadku dobry płaszcz

działa, podobnie jak suchy skafander człowieka nurka.

Pingwin cesarski ma 22 rodzaje piór, które w sumie pokrywają całe ciało z wyjątkiem stóp i dzioba. Mają różną wielkość: od długich, sztywnych piór ogonowych (sterówek) po małe pióra (pokrywy), które pokrywają przednią krawędź skrzydeł i wyglądają jak łuski. Na ciele dominują pióra konturowe, cechujące

się pewnym zróżnicowaniem pod kątem koloru i kształtu. Każde z nich ma dodatkową stosinę, która łączy się z główną osią pióra blisko jego podstawy i posiada także dodatkowy pióropusz promieni (dodatkową chorągiewkę). Te małe piórka mają długi trzon i mały pióropusz na końcu i są połączone z receptorami czuciowymi w skórze. Najliczniejszymi piórami, kluczowymi dla izolacji termicznej, których jest czterokrotnie więcej niż piór konturowych, są pióra puchowe.

Ponieważ zasugerowano kiedyś, że pingwiny mają najgęstsze pióra ze wszystkich ptaków, moja koleżanka i była studentka Cassandra Williams spędziła ze mną sporo czasu na liczeniu piór na trzech zmarłych dorosłych pingwinach cesarskich, które zebrałem w Cape Washington. Ich ciała przez lata przechowywane były w naszej laboratoryjnej zamrażarce, czekając na dogodny moment.

Nienaruszone zwłoki dorosłych pingwinów cesarskich są w Cape Washington rzadkie i w ciągu kilku sezonów, które tam spędziłem, znalazłem tylko kilka martwych osobników, w porównaniu z ok. 40 tys. przybywających co roku do kolonii. W jednym przypadku bryła lodu spadła na śpiącego ptaka i unieruchomiła go, aż umarł z głodu. W innym znaleźliśmy zamrożoną samicę, zgarbioną, z otwartym dziobem wbitym w śnieg. Była to postawa sugerująca bolesną śmierć. Podczas późniejszych badań odkryliśmy, że zmarła w trakcie składania jaja. Dolna część jej macicy pękała i wykrwawiła się na śmierć.

Pingwiny cesarskie często ślizgają się po podłożu ruchem saneczkowym, co pozwala im poruszać się łatwiej, szybciej i przy mniejszym zużyciu energii, niż gdyby chodziły.

w słabnym świetle po wędrowce po lodzie morskim pod olśniewającym słońcem Antarktyki.

Jak one to wszystko robią? Zaczniemy od piór.

Wyobraźmy sobie długą zimową noc, podczas której wysiadujące samce kulą się i garbią, aby utrzymać jajo w temperaturze 37 st. C, podczas gdy dookoła szaleją burze śnieżne. Wiatry wieją wtedy z prędkością od 32 do 64 km/godz. temperatury spadają do poziomu od minus 20 st. C do minus 40 st. C, co

wypełniony pierzem. Ubrane czy nie – pingwiny wciąż jednak są bose! Obraz tego niezwykłego gatunku staje się jeszcze bardziej niesamowity, gdy weźmiemy pod uwagę to, co „cesarz” robi na co dzień, by się utrzymać: nurkuje w poszukiwaniu pożywienia w najzimniejszej wodzie na Ziemi. Wyobraź sobie, że masz na sobie kombinezon, który nie tylko zapewni ciepło w temperaturze minus 84 st. C, ale jest także wodoodporny do głębokości 500 m. Powłoka piór pingwina cesarskiego dokładnie tak

Odkryliśmy, że grzbietowe pióra konturowe rosną w zagęszczeniu około sześciu na centymetr kwadratowy, a brzuszne – po dziewięć na centymetr kwadratowy. Nie jest to najgęstsze upierzenie, jakie kiedykolwiek odnotowano. Mały euroazjatycki ptak – pluszcz – ma upierzenie wielokrotnie gęstsze. Niemniej płaszczyzna piór „cesarza” całkiem nieźle spełnia swoje zadanie.

Pióra konturowe i puchowe mają kluczowe znaczenie nie tylko dla utrzymania temperatury ciała w bardzo zimnym środowisku Antarktyki, ale są również ważne przy niektórych mniej konwencjonalnych aktywnościach. Podczas inkubacji samiec

jednej piątej swojej pierwotnej objętości, w wyniku czego powstaje bardzo niewielka przestrzeń izolacyjna. Ponadto przewodność cieplna wody jest ok. 60 razy większa niż w przypadku powietrza. Bez izolacji przepływ wody podczas nurkowania ptaka odprowadzałby ogromne ilości ciepła z jego ciała, zwłaszcza że temperatura wody na głębokości 500 m w Morzu Rossa wynosi minus 2 st. C.

Tutaj to pióra puchowe muszą odegrać najważniejszą rolę. Spekuluję, że nieścisliwy puch znajdujący się pod piórami konturowymi jest tak gęsty, że przypomina warstwę azbestu. Stanowi izolację termiczną

wyblakłymi plamami, takie jak osobniki jednoroczne lub nieco starsze młode, nie są interesujące dla potencjalnego dorosłego partnera. Kolor tej barwnej plamy może też do pewnego stopnia wskazywać na ogólną kondycję ciała ptaka i jego generalny wigor.

Co ciekawe, pingwiny cesarskie rzadko wykazują różnice w kolorze, które są wynikiem wypadków genetycznych (mutacji). Kiedy do nich dochodzi – większość, jeśli nie wszystkie, negatywnie wpływa na szanse osobnika na przeżycie. Pingwiny cesarskie mają jednolicie czarne plecy. Jednakże podczas obserwacji i liczenia dziesiątek tysięcy ptaków czasami zdarzało się nam zobaczyć w sezonie jednego lub dwa ptaki z białymi wzorami na grzbiecie. (...)

Pióra dają „cesarzom” również inne cenne zdolności. Pingwiny cesarskie często ślizgają się po podłożu ruchem saneczkowym, co pozwala im poruszać się łatwiej, szybciej i przy mniejszym zużyciu energii, niż gdyby chodziły. Nigdy jednak nie widziałem tych ptaków jeżdżących po lodzie – zawsze sunęły tylko po miękkiej powierzchni śniegu. Podczas tej czynności ważna może być izolacja piór na piersi i być może z tego powodu pióra konturowe są gęstsze na klatce piersiowej niż na plecach.

Innym powodem zwiększenia gęstości zarówno konturowych, jak i puchowych piór na klatce piersiowej jest ich działanie w charakterze poduszki. Wszystkie inne pingwiny antarktyczne, które wskazują na kry lodowe lub lód stały (białobrewy, paskobrodzie oraz Adeli), lądują na nogach. Tylko „cesarz” ląduje na piersi, nigdy na nogach. Uderzenie w czasie takiego skoku może być znaczne w przypadku 25-kilogramowego ptaka i często podczas uderzenia o lód słychać pisk, gdy część powietrza z worków powietrznych zostaje nagle wyrzucona na zewnątrz.

Pingwin cesarski ma 22 rodzaje piór, które pokrywają całe ciało z wyjątkiem stóp i dzioba.

musi utrzymywać jajo w temperaturze ok. 37 st. C, nawet jeśli temperatura otoczenia wynosi minus 40 st. C. Różnica temperatur wynosi tutaj 77 st. C! Utrzymuje się ona wyłącznie dzięki piórom konturowym i puchowi oraz stopom (które utrzymują jajo z dala od lodu).

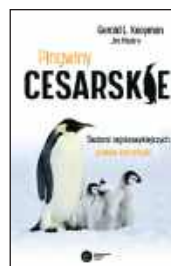
Pingwin trzyma palce u stóp uniesione nad śniegiem lub lodem i schowane w worku łęgowym, który jest płatem opierzonej skóry pokrywającym fragment skóry nagiej (bezpośrednio przekazującej ciepło inkubowanemu jaj). Z zamrożoną powierzchnią styka się wyłącznie poduszka pod piętą. Poduszka ta ma mniej więcej wielkość amerykańskiej ćwierćdolarówki, nie przepływa przez nią krew, która mogłaby powodować utratę ciepła, i jest ona zbudowana z komórek powietrznych i keratyny (tego samego włóknistego białka, z którego zbudowane są włosy, paznokcie i rogi). Ciepło w trakcie inkubacji zapewnia unaczyniona skóra worka łęgowego, która ma bezpośredni kontakt z jajem. (...)

Na lądzie to warstwa powietrza uwięzionego przez pióra puchowe zapewnia większą część izolacji. Kiedy pingwin nurkuje, ciśnienie wody spręża powietrze. Na głębokości 500 m powietrze uwięzione w warstwie puchu jest sprężane do około

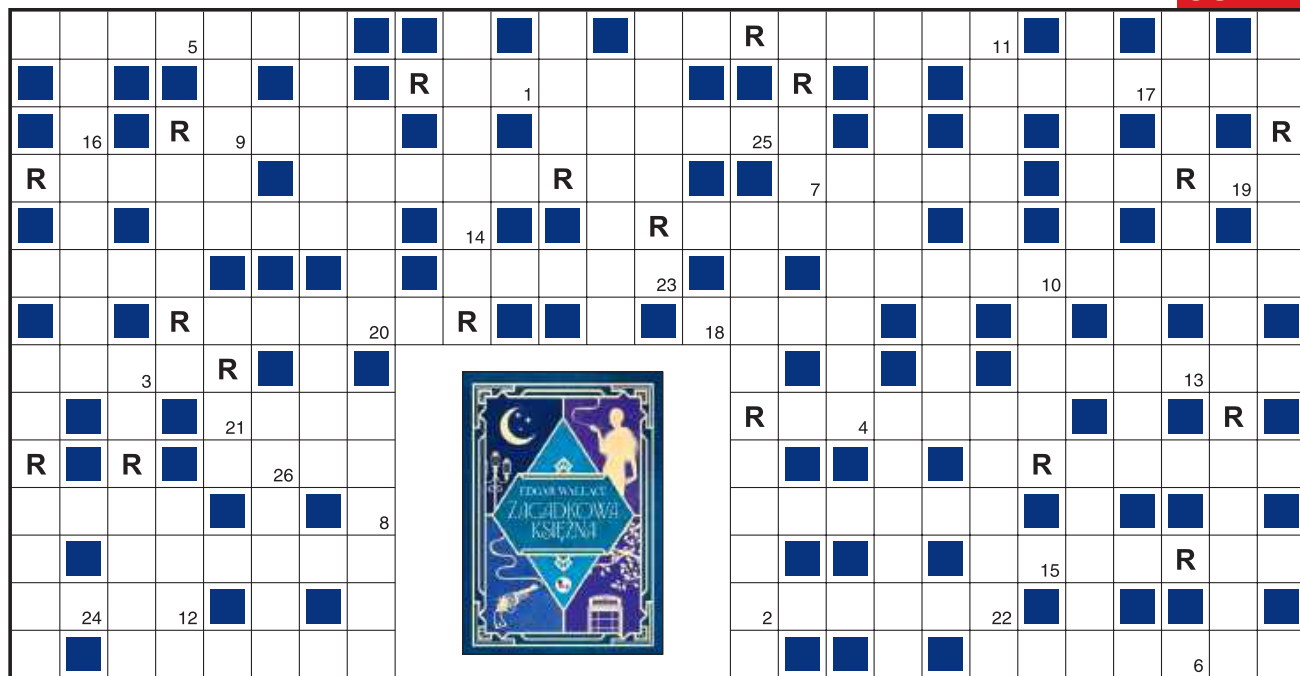
i staje się główną barierą ograniczającą utratę ciepła. Jednocześnie wodoodporna warstwa piór konturowych zapobiega przedostawaniu się wody morskiej do skóry. Unikatowy, trudny do wykonania pomiar wykazał kiedyś, że na głębokości 90 m, gdzie jakkolwiek masa powietrzna zostałaby ściśnięta do jednej dziesiątej swojej objętości na powierzchni, temperatura pod piórami pingwina nadal wynosiła 5 st. C.

Kiedy ptak powraca na powierzchnię, pióro pełni inną funkcję. Począwszy od głębokości ok. 10 m podczas wznoszenia się pingwina, z piór wypływa struga bąbelków powietrza, tworząc „smugę kondensacyjną” podobną wyglądem do tej tworzonej przez wysoko lecący odrzutowiec. „Hipoteza smarowania powietrzem” sugeruje, że ten strumień pęcherzyków ułatwia przepływ laminarny wody wokół ciała pingwina i zmniejsza jej opór, zwiększając w ten sposób przyspieszenie

Pióra nie tylko zapewniają pingwinom cesarskim ciepło. Żółte plamy na szyi mogą służyć doborowi płciowemu. Jaskrawość plamy może wskazywać na dojrzałość ptaka, ponieważ ptaki z bladymi lub



Fragmenty książki Geralda L. Kooymana i Jima Mastro *Pingwiny cesarskie. Śladami najniezwyklejszych ptaków Antarktyki*, tłum. Szymon Drobniań, Copernicus Center Press, Kraków 2024



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- silne wzburzenie, a dawniej miłość
- nie potrafisz, nie pchaj się nań
- z szalowej mocne włókno
- ...i pasywa
- arkusz sondażowy
- gloria, nimb
- z I ligi do Ekstraklasy

- przedwojenny aktor Eugeniusz
- bale, belki
- krzywa zamknięta, owal
- „...i Psyche” Jerzego Żuławskiego
- ...amerykański – kontaktowy sport drużynowy
- niebieski pachnący z piosenki Magdy Umer

- odgromowa lub zwieńczenie wieży
- obok „Odysei”
- melodramat Jamesa Graya z Marion Cotillard
- do nasycania drewna, tkanin
- oddział chorób wewnętrznych
- imię tenisisty Lendla
- ziemniak
- podrzędny lokal z wyszynkiem
- lada sklepowa
- ...kreta – ciasto
- zapłatana lub do ścinania zboża, trawy
- żartowniś, ironista
- porcja energii Maksa Plancka
- kubek o pojemności jednej czwartej litra
- miasto z UMCS

- prostokątne żagle rejoye dolny i górny
- obok żelaza w jądrze Ziemi
- członek elity starożytnego Rzymu
- piwo z Brzeska
- szoty, sztagi i wanty jego częścią
- miasto znane z garnków
- wykona okulary na podstawie recepty
- imię ekonomisty Langego
- w Niemczech po zjednoczeniu ten z Niemiec Wschodnich
- upowszechnianie wiedzy, kształcenie
- dodawać jej to pocieszać
- do zębów, butów, kanapkowa
- gdzie on jest pogrzebany, w tym sedno
- „...i wieczór”, sonet Mickiewicza
- meldunek, relacja, sprawozdanie

- urządzenie do wytwarzania energii atomowej
- tunel do drzwi samolotu
- wiosenna kaluża
- ze stolicą w Bukareszcie
- przeciwlotniczy, przeciwatomowy
- masa bzdur, kłamstw, wyzwiśk
- do nadawania kierunku statkowi
- gra z figurami i pionami
- owijany wokół szyi lub do okrycia ramion
- uroczyste śniadanie wielkanocne
- ...Televizji w TVP 1
- pocisk podwodny
- hipnotyczny lub twórczy
- robić coś ku niej – ba-wić, sprawiać radość
- plan wobec doktora Hiszpana z fraszki
- stroma ściana skalna
- klub piłkarski z Łodzi
- mityng
- ogólny kształt, wstępny projekt

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1212”. Do rozlosowania książki „Zagadkowa księżna” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 marca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1209” z nr. 8: Potwarz bardziej boli od rany. Nagrody otrzymują: Paweł Balus z Sosnowca, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Maria Przybylska ze Zgorzelca.

Jakiego ambasadora chce Duda?

Miała miejsce kolejna potyczka między prezydentem Andrzejem Dudą a ministrem Radosławem Sikorskim. Dotyczyła Bogdana Klicha, który pełni obowiązki kierownika polskiej ambasady w USA. Nie jest pełnym ambasadorem, jest chargé d'affaires, czyli szarżykiem, bo prezydent nie podpisał mu nominacji.

Otóż w jednym z wywiadów prezydent Duda stwierdził, że Klich „nie nadaje się na ambasadora RP w Stanach Zjednoczonych”. A dlaczego się nie nadaje? Ano dlatego, że jego wcześniejsze wypowiedzi na temat Donalda Trumpa były mało Trumpowi przychylne, więc nie jest on odpowiednim kandydatem na ambasadora. Jest, jak określił Duda, kierownikiem placówki, uczynionym na siłę, na zasadzie „na złość mamie odmrozę sobie uszy”.

Na ten wywiad Sikorski odpowiedział bardzo szybko (ciekawe, czy ktoś go do tej odpowiedzi zachęcał...). Na platformie X zaapelował do Andrzeja Dudy, „by nie osłabiał pozycji polskich dyplomatów”. „Proszę Pana Prezydenta, aby nie dezawuował publicznie naszego chargé d'affaires w Waszyngtonie, gdyż utrudnia mu to pracę na rzecz Rzeczypospolitej”, napisał Sikorski. Dodając, że podczas wizyty Andrzeja Dudy w USA Klich „okazał się bardziej kompetentny niż wybrańcy prezydenta”.

Wymiana tych uprzejmości jest dość śmieszna i średnio trafna. Po pierwsze, dowiedzieliśmy się, jak Andrzej Duda ocenia kompetencje dyplomatów. Jeśli mówią (czy mówili) nieprzychylnie o Trumpie, to znaczy, że się nie nadają. Staż dyplomatyczny, doświadczenie, wiedza – te sprawy są bez znaczenia (a mógł Klich zaatakować za to). Liczy się wazelinka.

Po drugie, nasuwa się pytanie, kogo w takim razie chciałby mieć Duda jako szefa ambasady w Waszyngtonie. Odpowiedź wydaje się prosta – pewnie poprzedniego ambasadora, Marka Magierowskiego, swojego dawnego ministra.

No to posłuchajmy, co Magierowski mówi o Trumpie i trumpowskiej ekipie. Oto kilka jego wypowiedzi z ostatnich dni.

„Jestem bardzo zaniepokojony tym, jak bardzo narracja Kremla przeniknęła do kręgów decyzyjnych w USA. Do Białego Domu i departamentów, które zajmują się polityką zagraniczną. Słyszymy niemalże słowo w słowo komentarze i deklaracje ze strony amerykańskich przedstawicieli, które można wsadzić w usta prezydenta Putina, byłego prezydenta Miedwiediewa czy rzecznika Pieskowa, nie zauważylibyśmy żadnej różnicy”.

„Zajmuję się polityką międzynarodową długo, ale w najdzikszych snach nie spodziewałem się, że dożyję dnia, w którym Stany Zjednoczone będą głosowały tak samo jak Rosja, Białoruś, Korea Północna czy Nikaragua”.

„Słyszałem, że mamy do czynienia z szachistą Trumpem, który rozgrywa pięciowymiarową rozgrywkę z prezydentem Putinem, ale jak spojrzymy na konkretne posunięcia obecnej administracji USA, to naprawdę włosy stają dęba. Mówimy nie tylko o retoryce, ale o konkretnych krokach i faktach”.

„Władimir Putin jest bardzo zdolnym politykiem, który w moim przekonaniu rozgrywa Stany Zjednoczone w sposób mistrzowski. Stany Zjednoczone chyba nie do końca zdają sobie z tego sprawę”.

I co pan, panie prezydencie (jeśli pan jeszcze nie zemdłał), sądzi o tych słowach? Też nieprzychylne?

Attaché

Sabrina Sato ze szkoły samby Vila Isabel podczas pierwszego dnia parady w Rio de Janeiro. Brazylia, 3 marca 2025 r.





KRAKÓW

WITOLD BERESZ, REDAKTOR NACZELNY

Dziennikarstwo to trudny zawód i trudno w nim zachować profesjonalny kręgosłup. I zapewne są media samorządowe, które szkodzą Polsce i zajmują się wazeliną, ale jakże często tak samo działają wolne media ogólnopolskie. Nie chcę przez to powiedzieć, że świętym prawem samorządu jest posiadanie własnych mediów. Chcę tylko powiedzieć, że ujednolicanie świata mediów pod jeden strychulec to wylewanie dziecka z kąpielą. Bo jeśli jest jakieś ogólne prawo opisujące zależności między mediami a wolnością (a ta wartość interesuje mnie od zawsze najbardziej), to brzmi ono: wielość mediów najlepszym gwarantem wolności.

ANGORA

JACEK DUBOIS, ADWOKAT

W tej chwili mamy w Polsce dwoistość porządku prawnego – w tym samym budynku sądu, gdzie pracują ludzie uczciwi i prawi, grasuje też grupa ludzi poprzebieranych w togi. Oni postanowili robić kariery na skrót, często przekupiono ich apanażami albo obietnicą splendorów i wbrew konstytucji udają sędziów. A obywatel nie wie, czy trafi na prawdziwy sąd, czy na przebiegaczy. Nie wie też najważniejszego, czy jego wyrok będzie ważny. Niektóre wyroki już są podważane. (...) Do tego, niestety, doprowadzili, działając w porozumieniu: Ministerstwo Sprawiedliwości, posłowie Zjednoczonej Prawicy i prezydent. Prerażające jest, że ta kryminalna, prawnicza hucpa, bo inaczej tego nie można nazwać, znalazła wykonawców. Za zlecenia, za pieniądze, oferty sowitych wynagrodzeń i awansów były łamane charaktery, które wydawały się przyzwoite. Obrzydliwe. Jako prawnik uważam, że polityka jest największym wrogiem prawa, ale też samych prawników.

FORUM

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI, HISTORYK

Antoni Słonimski w wieku 77 lat stał się aktywnym wolnomularzem, członkiem warszawskiej loży „Kopernik”. Został do niej przyjęty w grudniu 1972 r., a w kwietniu 1975 r. nadano mu tytuł mistrza. Najprawdopodobniej Słonimski otrzymał propozycję wstąpienia do wolnomularstwa od Jana Józefa Lipskiego, ówczesnego współprzewodniczącego loży, choć mógł to też być np. Jan Olszewski, wówczas jej II dozorca. Obu ich znał (jak też innego członka loży, Aleksandra Małachowskiego) z Klubu Krzywego Koła. Sam do klubu nie należał, ale bywał na jego spotkaniach i sympatyzował z klubem. Ze wspomnień jego bliskich znajomych wiemy, że pisarz regularnie jeździł co kilka tygodni (najczęściej w czwartki) na ul. Lekarską na Ochotę, bo tam właśnie, w domu rodzinnym Tadeusza Gliwica, miała swoją siedzibę loża.

twój STYL

ANNA SENIUK, AKTORKA

Przypomina mi się opowieść o Ignacym Gogolewskim, który grał u Krystyny Jandy już jako dojrzały artysta. Miał problem z sercem i kiedyś całą dobę musiał nosić holter, urządzenie rejestrujące pracę serca. Po spektaklu lekarz przeglądał wyniki: „No tak, tak, tak. A tutaj co to jest? O 19 jest wszystko w porządku, a potem o 21 znowu ma pan kłopot z sercem”. Dlaczego? Bo grał. Adrenalina, która pojawia się na scenie, to coś niezwykłego. Zawsze powtarzam: jak przestanę grać, to zejść. Czasem myślę, że jestem jak taki rozpędzony rower, który pędzi, pędzi, pędzi, ale gdy się zatrzyma na moment, to się przewróci. Dlatego rzadko się zatrzymuję.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Owidiusz.



BYĆ ZAKOCHANYM, TO BYĆ SZALONYM PRZY ZDROWYCH ZMYŚLACH.



Aby język giętki...

MAREK BELKA O ADAMIE GLAPIŃSKIM

Jest nie tylko jastrzębiem, ale takim jastrzębiem chaotycznym, bo wypowiadał zupełnie niepasujące do siebie rzeczy.

JAKUB BIERZYŃSKI O KAROLU NAWROCKIM

Jest drewniany, bez charyzmy, polotu, doświadczenia i oglądy. Jest sztywny, mówi jak biurokrata.

ANDRZEJ ANDRYSIAK O WSPIERANIU JAKOŚCI

To niebywałe, że Polska w żaden sposób nie wspiera prasy i – szerzej – jakościowego dziennikarstwa. To się zemści.

PROF. KRYSZTIAN MARKIEWICZ O SĄDOWNICTWIE

Jest pacjentem, którego trzeba jak najszybciej reanimować, i nie stać nas na luksus zwłoki.

ANDRZEJ SEWERYN

O FILMIE „JESTEM POSTACIĄ FIKCYJNĄ”

Teraz film o mnie jest filmem o współczesnym człowieku. O kimś, kto goni, goni, goni. Dokąd? Gram od 57 lat bez przerwy.

DAWID SZURMIEJ O GOŁDZIE TENCER

Kocham moją mamę, ale mam wrażenie, że jej poczucie humoru bywa bardzo głęboko ukryte.

ILONA ŁEPKOWSKA O SERIALACH

Gdyby to tylko ode mnie zależało, skończyłabym dawno każdy z moich seriali, który pisałam.

KATARZYNA DOWBOR

O BYCIU ZADANIOWCEM

Mam silne poczucie obowiązku, jestem zdyscyplinowana, nie odkładam nic na później.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumulowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszna

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

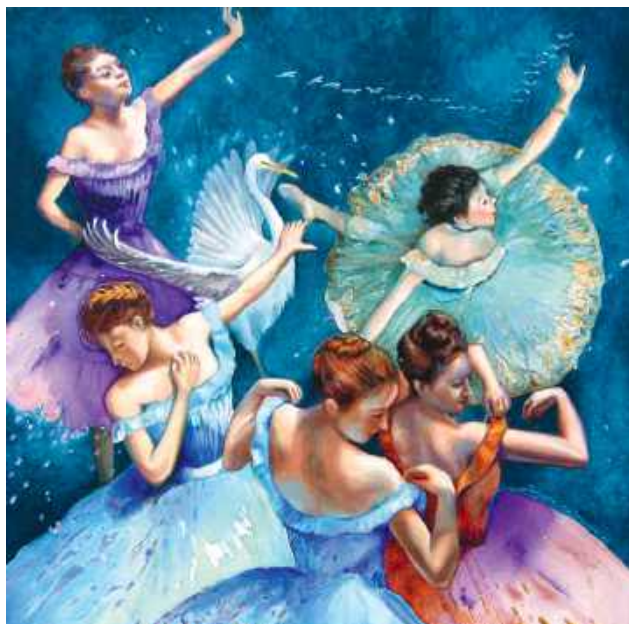




Beata Kowalczyk, Gwiezdni podróżnicy



Jacek Tyczyński, Obraz z freskiem sytuacja



Jolanta Ziółkowska, Dialog z Degasem, jak ptaki

97. AUKCJA NOWEJ SZTUKI

Art in House, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 107, do 14 marca



Ilona Herc, Drugi brzeg

Investowanie w sztukę to sposób na wzbogacenie nie tylko swojej przestrzeni. Dzieła zyskują na wartości, a kolekcjonerzy budują cenne relacje w środowisku kulturalnym i biznesowym. W Domu Aukcyjnym Art in House w Warszawie można właśnie podziwiać wiele atrakcyjnych prac, a już 14 marca o godz. 19.30 wziąć udział w licytacji i którąś nabyć. Cena wywoławcza jest zachęcająca, licytacja rozpoczyna się od 1 tys. zł. Kupowanie obrazów żyjących twórców wspiera młode talenty, pozwala na śledzenie rozwoju kariery artystów i czerpanie korzyści z rosnącego zainteresowania nowoczesnymi trendami.



Ewelina Straszewicz, Olimpia

**Twoje 1,5% to ocean radości, który
daje siłę i nadzieję chorym dzieciom**



opracowanie
podatku dochodowego
opp 1,5%

KRS: 0000168783



Mikromusic

KLUB STODOŁA • WARSZAWA

23/03/25



BILETY: [TICKETCLUB.PL](https://www.ticketclub.pl)

© 2025 Mikromusic. All rights reserved.